Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

Nr 4 (29) Zielona Góra 2009 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754

Eseje Wiersze Proza Szkice krytyczne Sztuka

Zrealizowano w ramach Programu Operacyjnego Promocja Czytelnictwa ogłoszonego przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne
Pro Libris nr 4(29) – 2009

Fotografie artystyczne wykorzystane w numerze
Jan Poppenhagen

Copyright by
Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida, Zielona Góra 2009

Redaktor naczelny
Sławomir Kufel

Zastępca redaktora naczelnego
Grzegorz Gorzechowski

Redaktor graficzny
Magdalena Gryska

Sekretarz redakcji
Ewa Mielczarek

Korekta
Joanna Wawryk

Członkowie redakcji:
Ewa Andrzejewska, Anita Kucharska-Dziedzic, Czesław Sobkowiak, Maria Wasik, Grażyna Zwolińska

Stali współpracownicy:
Krystyna Kamińska, Tomasz Mróz, Ireneusz K. Szmidt, Andrzej K. Waśkiewicz, Jacek Wesołowski

Zdjęcie Kazimierza Furmana
Czesław Łuniewicz

Wydawca
Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida,
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra

Skład komputerowy
Firma Reklamowa GRAF MEDIA, tel. 068 451 72 78

Druk i oprawa
Drukarnia FILIP

Nakład – 350 egz.

ISSN 1642-5995
Nr indeksu 370754

Adres Redakcji:
WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze,
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris);
e-mail: Prolibris@wimbp.zgora.pl
http://www.wimbp.zgora.pl

Od redakcji

Rozpoczął się ostatni rok pierwszej dekady XXI wieku. Jeszcze chwila, a będziemy świętować stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości. To prawie tyle samo, co czas zaborów. I to akurat tyle, by zdać sprawę z tego, co uczyniono dla polskiej kultury. Bilans pewnie nie będzie jednoznaczny, ale Ziemie Zachodnie nie muszą się wstydzić. Nasz region na tyle obrósł literaturą i sztuką, że śmiało możemy stanąć i powiedzieć: szansy nie zmarnowaliśmy.

Dowodzi tego dyskusja, która rozwija się wokół naszych elit, ale w gruncie rzeczy dotyczy sprawy podstawowej – tożsamości kulturowej regionu. Kolejni autorzy uznają, iż może być lepiej i, mimowolnie niekiedy, potwierdzają w ten sposób wykształcenie się lubuskich elit. To bardzo dobry prognostyk, bo taka dyskusja sprowokuje, miejmy nadzieję, coraz lepsze artystyczne wypowiedzi.

Dlatego cieszy inicjatywa, której opiekunką i moderatorką jest współtwórczyni i pierwsza redaktor naczelna Pro Libris – prof. Małgorzata Mikołajczak. W istocie, pora myśleć o stworzeniu profesjonalnej historii literatury i sztuki naszego regionu. Tekst Małgorzaty Mikołajczak, poświęcony poecie i animatorowi życia kulturalnego Eugeniuszowi Kurzawie rozpoczyna ten, żmudny przecież, proces. Miejmy nadzieję, że środowisko podejmie inicjatywę, tym bardziej że wstępne prace zostały już jakiś czas temu poczynione, na przykład przez dr. Roberta Rudiaka.

Pragnę też zwrócić uwagę Czytelników na wciąż rozwijający się projekt Michaela Kurzwellego. Jeszcze w połowie 2009 roku był to pomysł zaledwie, teraz Mediatheka Frankfurt-Słubice-Zielona Góra nabiera coraz realniejszych kształtów. W tym kontekście również widzieć należy prezentację poświęconą twórczości Jana Poppenhagena, a miejmy nadzieję, że takich, plastycznych związków polsko-niemieckich będzie coraz więcej.

Życzę Państwu, byście w Nowym 2010 Roku oglądali rozwój istniejących, narodziny nowych i wciąż pojawiających się pomysłów inicjatyw kulturalnych, których w naszym regionie jest wiele, tak wiele, że nie musimy już obawiać się porównań z większymi ośrodkami.

A jednak radość zmącona jest smutkiem – w roku 2009 odszedł od nas na zawsze Kazimierz Furman, Poeta. RiP.

Von der Redaktion

Es beginnt das letzte Jahr des ersten Jahrzehnts des 21. Jahrhunderts. Es dauert nicht mehr lange, bis wir den hundertsten Jahrestag der Wiedererlangung der Unabhängigkeit durch Polen feiern werden. Das ist fast so lange, wie die Teilungen selbst. Und gerade genug, um ein Revue passieren zu lassen, was für die polnische Kultur getan wurde. Die Bilanz fällt kaum eindeutig aus, aber die Westlichen Gebiete Polens brauchen sich nicht zu schämen. Unsere Region hat so viel Literatur und Kunst hervorgebracht, dass wir ohne Scheu aufstehen können uns sagen: Wir haben unsere Chance nicht vertan.

Beweis dafür ist die Diskussion, die sich um unsere Eliten dreht, die aber letzten Endes das Grundsätzliche berührt – die kulturelle Identität unserer Region. Manche Autoren glauben allerdings, dass es noch besser sein könnte, und bestätigen damit, manchmal gar unwillkürlich, dass sich die Lebuser Eliten doch ausgebildet haben. Es ist ein sehr gutes Signal für die Zukunft, denn einer solchen Diskussion folgen – hoffentlich – immer interessantere künstlerische Äußerungen.

Deswegen freuen wir uns über die Initiative, betreut von der Mitbegründerin und ersten Chefredakteurin von Pro Libris – Prof. Małgorzata Mikołajczak. In der Tat, die Zeit ist reif, um eine professionelle Literatur- und Kunstgeschichte unserer Region zu schreiben. Małgorzata Mikołajczaks Beitrag über den Dichter und Kulturaktivist Eugeniusz Kurzawa bildet den Auftakt für diese doch mühselige Arbeit. Hoffentlich lässt sich das Milieu von dieser Initiative anregen lassen, zumal bestimmte Vorstudien schon vor einiger Zeit vorgenommen worden sind, etwa von Dr. Robert Rudiak.

Ich möchte unsere Leser auch auf das sich immer weiter entwickelnde Projekt von Michael Kurzwelly hinweisen. Noch in der Mitte des Jahres 2009 war die Mediathek Frankfurt-Zielona Góra-Słubice nur eine Idee, heute nimmt sie eine immer realere Gestalt an. In diesen Zusammenhang ist auch die Präsentation des Werkes von Jan Poppenhagen zu stellen; hoffentlich gibt es in Zukunft immer mehr solche deutsch-polnische Verbindungen auf dem Feld der bildenden Künste.

Ich wünsche Ihnen, dass Sie im Neuen Jahr 2010 eine Entwicklung der vorhandenen sowie Geburten von neuen, immer wieder aufkommenden Ideen und Initiativen im kulturellen Leben beobachten dürfen, von denen wir inzwischen so viele haben, dass wir vor Vergleichen mit anderen, größeren Zentren nicht mehr zurückscheuen müssen.

Und doch ist unsere Freude nicht ganz ungetrübt: Im Jahre 2009 hat uns für immer der Dichter Kazimierz Furman verlassen. RiP.

Übersetzung von Grzegorz Kowalski

Spis treści

Czesław Sobkowiak, Wiersze [*Pierwszy wiersz wigilijny*, *Drugi wiersz wigilijny*] 6
Krystyna Kamińska, Dwanaście tomów wierszy Kazimierza Furmana 8
Mieczysław Warszawski, Brzemię albo spóźniony list do Kazimierza Furmana 17
Grażyna Zwolińska, Autorytety a media, czyli brylowanie na ekranie 18
Zbigniew Czarnuch, O wieżach z kości słoniowej i ich mieszkańcach 22
Eugeniusz Kurzawa, Polska elita w wazelinie 26
Rafał Krzymiński, Nowe elity pieniądza 29
Stanisław Turowski, Elity elit 32
Andrzej Buck, Elity kulturalne na prowincji/w małej ojczyźnie?!
(esej subiektywny o poszukiwaniu obecności) 36
Kinga Mazur, Wiersze [*Kot w butach, Śnieżka, Kopciuszek, Pinokio*] 42
Marek Grewling, Dziecię (fragment powieści) 46
Olga Świderska, Opowieści o Dorocie Mahlo 48
Wojciech Jachimowicz, Floreny aptekarza 52
Zawsze jest czas, by zaczynać od nowa. Wywiad z pisarką Małgorzatą Kalicińską
przeprowadziła Elżbieta Wozowczyk-Leszko 56
Bernard Świderski, Mój powojenny, subiektywny Trzciel 61

NA GRANICY 68
Jacek Wesołowski, Niemcopolak/Polakoniemiec w literaturze, część druga
(Rozwagi polsko-niemieckie VI) (Deutschpole/Polendeutscher in der Nachkriegsliteratur, Teil zwei
(Deutsch-polnische Abwägungen 6) 68
Konrad Krakowiak, Wiersze [*Poranek 5.45, W kościele*] 78
Michael Kurzwelly, Nachdenken über... Słubfurt (Rozmyślania o... Słubfurcie) 80

VARIA 84
Małgorzata Mikołajczak, Oblicza prywatności. O twórczości poetyckiej Eugeniusza Kurzawy 84
Eugeniusz Kurzawa, Wiersze [*** *najlepiej się czuję*, *Napiera,*
*** *wciąż odrastają ci paznokcie, Wszystko rośnie*] 91
Maria Radziszewska, Wspomnienie o Józefie Kostrzewskim
w 40. rocznicę śmierci nestora polskiej archeologii 95
Władysław Łazuka, Wiersze [*Z pamięci, Kino 1953/54*] 101
Alina Polak, *Paradisus Sanctae Mariae*, czyli jak powstawał dokument średniowieczny 103

PREZENTACJE 106
Jan Poppenhagen 106
Black is Black is Black is Black. Ein Gespräch von Michael Kurzwelly.
(Wywiad z Janem Poppenhagenem przeprowadził Michael Kurzwelly) 107

RECENZJE I OMÓWIENIA 113

Liryczne podzwonne. Żarskie Kunice w poetyckim zbliżeniu Janusza Werstlera
Jan Janusz Werstler, *Kunickie strofy* (**Małgorzata Mikołajczak**) 113

Bolesna prawda o *Wierszach rozproszonych* Henryka Szylkina
Henryk Szylkin, *Wiersze rozproszone* (**Małgorzata Mikołajczak**) 115

Zielona Góra w obiektywie młodych
Zaułki Zielonej Góry 2000-2009 (**Ewa Andrzejewska**) 116

Zaułki okiem eksperta
Zaułki Zielonej Góry 2000-2009 (**Paweł Janczaruk**) 118

Złożone „wypowiedzi" Małgorzaty Tokarskiej (**Agnieszka Graczew-Czarkowska**) 119

Kurowicki na ścieżce
Jan Kurowicki, *W poranku słonecznej rosy* (**Eugeniusz Kurzawa**) 121

Księga
Joanna Szczepaniak, *Po jasnej stronie myśli* (**Czesław Sobkowiak**) 121

Czy to na pewno książka...
Małgorzata Tokarska, *Chemia na zlecenie* (**Czesław Sobkowiak**) 123

Sobie a muzom
Jerzy Beniamin Zimny, *Zwrotnik Skorpiona* (**Czesław Sobkowiak**) 124

Czesi/Słowacy atakują!
David Drábek *Pływanie synchroniczne* (**Andrzej Buck**) 125

Detektyw Gloria Kosz na tropie
Viktoria Korb, *Śmierć naukowca* (**Rafał Krzymiński**) 127

Mądzik dokumentowany
Leszek Mądzik. Teatr, scenografia, warsztaty, fotografia, plakat (**Andrzej Buck**) 128

Kiczowaty bestseller
Stephenie Meyer, *Zmierzch* (**Marta Wiatrzyk-Iwaniec**) 134

KSIĄŻKI NADESŁANE 136

KRONIKA LUBUSKA 140

AUTORZY NUMERU 141

Pierwszy wiersz wigilijny

Wiadro węgla i drewna kaflowy piec i zapach w kuchni
Rozpala się ogień zima w polu nabiera śniegu i mrozu
Jeszcze cierpliwie czekamy na kogoś i na coś ważnego
Aż powie matka żeby wokoło zasiąść do wigilii

Ciemność za oknem taka w sam raz jak to na wsi
Lecz gwiazda mocno w naszą stronę świeci
Wtedy opłatkiem i złotem przepełnił się wieczór
Wtedy do nikąd nie dało się uciec ze łzami

Żal rósł w gardłach wielki i taki dziwny
Żal co ma moc najbiedniejszej miłości
Gdzieś kiedyś to było nocą śpiewaliśmy kolędy
Po domowemu maleńkiemu bo wtedy nie ma śmierci

Wiedzieliśmy tak jak nikt już nie wie
Czemu siana pod obrusem nie może zabraknąć
I że dziecięcia Matce żaden Herod nie odbierze
Dawno temu jego narodzin bydlęta były świadkami

Wystarczyła naftowa lampa miska gorącej wody
W której po kolei umyliśmy twarze i szorstkie ręce
Wystarczył żytni chleb i kapusta i grzyby by uwierzyć
W słowa na ten dzień wybrane czyste i prawdziwe

Drugi wiersz wigilijny

Usmażyliśmy rybę kipi barszcz czerwony
Tak ubrani że prawie nowi i tylko
Nikt nie mówi po co i na co tak się staramy

Biały obrus na stole coś zapowiada
Talerze poustawiane sztućce czekają kolacji
Z kosmosu świeci gwiazda co nie zbawia

Stoi choinka komentowana ochoczo
W ciepłym pokoju tego wieczoru
Głęboko i uczenie wykłada się prawda

Kolorowe są prezenty bo je kupiliśmy
A słowom brak czekanej melodii i ciszy
Ani Dziecięcia i ani jednej kruszyny poezji

Co jeszcze komu dla sytości na stole postawić
I jakie serce zjeść na ciepło lub zimno
Gdy nie jesteśmy już głodni jak być powinno

Wśród nocy zgodnie wychodzimy palić papierosy
Stojąc na niebieskim śniegu dokładnie sprawdzamy
Jak grubo zasypane są nasze citroeny i toyoty

Krystyna Kamińska

Dwanaście tomów wierszy Kazimierza Furmana

„Na początku pisałem kryminały dla naszej listonoszki" – wspominał Kazimierz Furman w chwili szczerości. „Ona bardzo lubiła je czytać. Jednak nigdy ich nie kończyłem. Kiedy miałem 15 lat, zakochałem się w starszej od siebie o pięć lat dziewczynie. Napisałem do niej list miłosny, który ona spaliła. Później były już wiersze"[1].

Czy tamta listonoszka pamięta pisane dla niej kryminały? Czy starsza o pięć lat dziewczyna zachowała wspomnienie o chłopaku z gorzowskiego Zawarcia, który z miłości do niej napisał poetycki list? Tego nie wiemy.

Natomiast wierszy pozostawił Furman dużo i czytelników miał licznych. Teraz, gdy po jego śmierci (zmarł 14 października 2009 r.) wiemy, że już więcej nie napisze, warto przypomnieć 12 jego tomików. Tym bardziej że dotrzeć do nich niełatwo. Wydawane były w niewielkich nakładach, najczęściej przez samego poetę, bez formalnego wydawcy, rozprowadzane wśród znajomych, sprzedawane przez autora, bez pośrednictwa hurtowni i księgarzy. Dopiero ostatnie mają numery ISBN, ale czy ich egzemplarze obowiązkowe dotarły do bibliotek, także nie wiadomo.

Morawski – mistrz i Furman – jego uczeń

Zdzisław Morawski pozostawił zapis pierwszych kontaktów z Furmanem:

„07.01.1974 – Przed wieczorem był u mnie Furman. Pisze wiersze i stale robi w tej dziedzinie postępy. Cieszy mnie, że moje uwagi nie są puszczane w próżnię.

09.01.1974 – Furman przyniósł mi przepisane wiersze. W maszynopisie jeszcze lepiej wyglądają. A chłopak spieszy się, niecierpliwi, chce widzieć

1 E. Szutowicz, *Lamus Furmana* [wywiad], „Ziemia Gorzowska" 1996, nr 20.

nazwisko w gazecie. Nie wie, ile razy będzie gasił swoją gorączkę o nieufny lub nieżyczliwy chłód otoczenia. Ale taka jest droga pisarza. Innej nie ma.

19.05.1974 – W »Nadodrzu« ukazał się debiut Furmana. Ładny liryk, jaki dałem Koniuszowi. Tylko zdaje mi się, że ten chłopak ostatnio trochę zgłupiał. Cóż, za mądrość zdolnych do wierszowania ludzi nie mogę brać odpowiedzialności"[2].

Wchodził więc Furman do poezji z błogosławieństwem gorzowskiego Księcia Poetów – Zdzisława Morawskiego. „To, co on mi dał, zostało. A były to naprawdę ważne rzeczy"[3] – powiedział znacznie później. Podkreślił też w wierszu *Rzecz o schodach* dedykowanym Zdzisławowi Morawskiemu:

Wschodziłem po tych schodach
Przemierzałem je w poziom i w pion
Deptałem ten beton
Ażeby słowu miano słowa nadać
By wyjąć je z młyna byle jakich znaczeń
I tak je położyć aby się znaczyło[4]

Morawski nauczył go świadomości dobierania słów, dyscypliny literackiej wypowiedzi. Szybko jednak takie powinowactwo zaczęło Furmanowi ciążyć. Miał inną wrażliwość poetycką niż jego mistrz, musiał więc wyzwolić się spod tego wpływu. Natomiast Zdzisław Morawski swoje uznanie dla twórczości Kazimierza Furmana zachował do końca. W 1995 r. ukazał się jego szkic pt. *Gorzów w czasach Furmana* jako wstęp do tomu Furmana pt. *Wiersze*. Jest to jeden wielki pean dla talentu i postawy Kazimierza Furmana w mieście, które mu do pięt nie dorasta. „Uważam, że wiersze Furmana będą w pełni czytelne dopiero w roku 2002" – konkluduje Morawski[5].

Powrót do osłupienia

Pierwszą książkę wydał Kazimierz Furman w 1976 r. Jej tytuł – *Powrót do osłupienia*. Wydawcą było Gorzowskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, a wydrukowała Gorzowska Drukarnia Akcydensowa. Format A-6, stron 20, pomieszczono na nich tylko 12 wierszy. Na okładce rysunek Andrzeja Gordona. W czasach cenzury i bardzo ograniczonego dostępu do papieru, taki debiut w nakładzie 300 egzemplarzy mógł uchodzić za sukces. Dziś zauważamy nieudolności typograficzne składu, a i wiersze tam zamieszczone zaskakują poddawaniem się autora ówcześnie obowiązującej konwencji. Żadnego z wierszy z tej książki Furman nie powtórzył.

Kształcenie pamięci

Drugą książkę Furmana pt. *Kształcenie pamięci* wydało Gorzowskie Towarzystwo Kultury w 1980 r. Stron też 20, ale wierszy już 15. Projekt okładki – Bolesław Kowalski. Wydaniu książki na pewno pomógł także Morawski, jako że był we władzach stowarzyszenia, jednak jako redaktor podpisał ją ceniony poeta warszawski Andrzej Tchórzowski. Związek to raczej inspirowany przez Morawskiego dla podniesienia prestiżu Furmana niż prawdziwy. Kilka tytułów wierszy z tego tomu zaskakuje deklaratywnością: *Tacy jesteśmy*, *Do poetów list otwarty*, *Jesteś mi, Kraju*, *Do obywatela szarego*. Ale obok: *Kiedy wyzwolony z cienia*, *Bardzo prywatny monolog*, *Jest w nas coraz mniej czasu*. Aktualna lektura tych wierszy rodzi pytanie: jak mogły stanąć obok siebie utwory tak odmienne zarówno tematycznie, jak i ze względu na zawartość literackiego obrazowania? Może to wynik jakichś ustępstw, np. politycznych, a może ciągle brak samoświadomości autora.

Tomik *Kształcenie pamięci* był rekomendowany przez redaktora jako bliski Stachurze i Milczewskiemu-Bruno. Z takim odczytaniem zdecydowanie rozprawił się Andrzej K. Waśkiewicz stwierdzeniem: „Być może (podobieństwo) jest w postawie, w sposobie życia. W twórczości wszakże – nie". I dalej ostro o niespójności światopoglądowej Furmana: „Autor jak gdyby nie może się zdecydować, kim właściwie jest: jednym z »obywateli szarych«, posiadającym ten sam co oni status, tyle że dysponującym wrażliwością, która pozwala głębiej i intensywniej doświadczać rzeczywistość, czy też tej rzeczywistości diagnostą (co wymaga przyjęcia innej perspektywy poznawczej), czy wreszcie poszukiwaczem »światów ukrytych«, pragnącym »choć raz zdarzyć się w wierszu«. [...]

2 Z niepublikowanych pamiętników Zdzisława Morawskiego. Tekst udostępniła Maria Morawska.
3 E. Szutowicz, j.w.
4 K. Furman, *Rzecz o schodach*, [w:] tegoż, *Wiersze*, s. 37.
5 Z. Morawski, *Gorzów w epoce Furmana*, [w:] K. Furman, *Wiersze*, s. 6.

Najlepsze efekty osiąga Furman w tych wierszach, w których bez dystansu, choć z pewną dozą autoironii rejestruje przypadłości szeregowego uczestnika rzeczywistości". Omówienie tomu kończy łagodniejszą konkluzją, choć także sarkastyczną: „Furman będzie zapewne poetą »profesjonalnym«, wyda trzecią, czwartą książkę. Otrzyma legitymacje ZLP. Te wiersze bowiem doskonale mieszczą się w »średniej statystycznej« młodopoetyckiego poezjowania. Tyle że wciąż nie potrafimy powiedzieć, na czym miałaby polegać indywidualność autora. Gdzie brzmi jego własny i tylko jego głos"[6].

Image - poeta

W końcu lat 70. i na początku 80. Furman bardzo dużo pisze. Z tych zasobów, a przede wszystkim z poetyckich pomysłów z tamtych lat będzie długo jeszcze czerpał, czego nigdy nie ukrywał. Wiersze jego publikowane są w wielu czasopismach, systematycznie wysyła je na konkursy, które wygrywa. Nigdy nie sporządził wykazu nagród, ale było ich na tyle dużo, że poeta całkiem dobrze z nich żył. Jest coraz bardziej popularny, mimo że znaczących jego książek ciągle nie ma. Już miał zaakceptowany do druku tom wierszy w jednym z warszawskich wydawnictw, ale kryzys końca lat 80. spowodował, że wydawnictwo odstąpiło od umowy.

Tymczasem pracuje nad stworzeniem indywidualnego image. Zawsze będzie ubrany na czarno, zawsze z długim szalem, najpierw w różnych kolorach, potem wyłącznie białym. Zawsze miał czarne włosy, najczęściej dłuższe, wiązane w kitkę, a gdy czas przyprószy je siwizną – farbowane na czarno, czasami, od święta, nawet z czerwonymi pasemkami. W uchu kolczyk, na nadgarstku wytatuowana litera „U", skrót od „ultio", czyli „zemsta", co mu pozostało z przelotnego kontaktu z satanistami. Najczęściej z papierosem i szklanką piwa. Mówił krótkimi zdaniami, często wyłącznie monosylabami, szybko, podczas mówienia szeroko gestykulował. Niewysoki, drobny, bardzo ruchliwy. Jeśli gdzieś pracował, to krótko, absolutnie nie angażując się w obowiązki, które nie wiązały się z poezją. Swoje sądy wypowiadał dosadnie, ostro, lekceważył autorytety, choć przecież je miał. Na przykład wysoko cenił twórczość Tadeusza Różewicza, ale kiedy spotkał się z nim na scenie teatru, odnosił się doń – delikatnie mówiąc – nieobyczajnie. Można było go lubić lub nie, on sobie z tego nic nie robił. Miejsce i towarzyską pozycję określała jego poezja.

Drzewo grzechu

Następny tomik poprzeczkę tę ustawił wysoko. A był nim wydany w 1989 r. przez Gorzowskie Towarzystwo Kultury tom *Drzewo grzechu*. Redagował go Zdzisław Morawski, graficznie opracował i zilustrował Andrzej Gordon. Stron też zaledwie 20, ale wierszy już 35. Tematycznie związane są wyłącznie z miłością, kobietą, różnymi odcieniami uczuć. Weszły tam wiersze pisane od 1974 do 1986 roku i nie jest ważne, czy inspirowane były przez jedną, czy kilka bliskich poecie kobiet. Ostre, gorączkowe to wiersze, zarówno w uniesieniach, jak i w degradacji siebie (poety), partnerki, ich uczucia. Wyraźne są w tych wierszach lektury klasyków literackich, odniesienia do Biblii. Horyzont intelektualny tego „chłopaka z Zawarcia" zdecydowanie się rozszerzył. Książka ta nie doczekała się żadnej osobnej recenzji.

Kalendarz polski

Na początku lat 90. w kraju się gotowało. Trudno wówczas było znaleźć wydawcę. Następny tomik zatytułowany *Kalendarz polski* liczy – jak wcześniejsze – 20 stron, ale zawiera tylko 12 wierszy. Nie ma formalnego wydawcy, ponieważ został – jak podano w metryczce – „wydany staraniem Bogdana J. Kunickiego dzięki bezinteresownej pomocy Zenona Kmiecika w 15 ponumerowanych bezpłatnych egzemplarzach autorskich". Format B-6, papier kredowy, czarna obwoluta z naklejonym tytułem książki. Na stronie 3. wklejone zdjęcie Kazimierza Furmana, a w tle pomnik Adama Mickiewicza. W środku artystyczne zdjęcie Zenona Kmiecia oraz kartonowa wklejka z własnoręcznie przez Furmana napisanym wierszem *** (*Sokrat zamyślony*): drukowane, lekko pochylone litery, charakter pisma czytelny, staranny.

Jako rok wydania podano 1993, natomiast w środku mamy wiersz datowany 24 kwietnia 1993 r.

6 A. K. Waśkiewicz, *Trzy tomiki*, „Ziemia Gorzowska" 1981, nr 13.

To znak przemian. Do tej pory proces wydawniczy trwał nawet kilka lat. Tomik kończy posłowie Bogdana J. Kunickiego, który rekomenduje ten zbiór: „[Wiersze] utrzymane w różnej atmosferze i nastroju, o zmiennej temperaturze doznań i refleksji, zawsze jednak podejmujące ważkie problemy człowieczej egzystencji i ludzkiego nią zafascynowania. Ta poetyka i ta postawa nie może pozostawiać obojętną, przemawia jasno, rozumnie, z wyszukaną elegancją i niewymuszonym wdziękiem"[7].

Wiersze zawarte w *Kalendarzu polskim* pisane były od 1981 do 1993 r. Poeta Kazimierz Furman, z pozoru odległy od wszystkiego, co nie ma związku z poezją, napisał jednak kilka wierszy inspirowanych politycznymi przemianami.

Tytułowy wiersz *Kalendarz...*, który powstał 14 grudnia 1991 r., czyli w 10. rocznicę wprowadzenia stanu wojennego, niesie więcej pesymizmu z powodu dotychczasowej atmosfery politycznej niż optymizmu z rodzących się przemian:

Niechaj już wszystko będzie czarne jak atrament
Jak żałobny kondukt
Jeśli nie umiemy widzieć tu inaczej (...)
Przyzwyczajeni do pochodów
Przywyknijmy do procesji
Tylko dlaczego wciąż ktoś z boku
W kościele dziwnie na mnie patrzy
Kalendarz polski tak się toczy
Z przyzwyczajenia
I z rozpaczy[8]

Ten iście bibliofilski tomik rozprowadzony był przez autora wyłącznie osobiście. Od tej pory przede wszystkim taką formę sprzedaży przyjmuje Kazimierz Furman. Cenę tomików wyznaczał z zasady dość wysoką i podkreślał, że można dawać więcej. Sprzedaż tomików stała się jednym ze źródeł jego utrzymania.

Ten sam zbiór wierszy, ale już z drukowanymi zdjęciami, wznowił Furman w 1997 r. z adnotacją: „Wydawnictwo niniejsze oparte o analogiczną publikację Bogdana J. Kunickiego z 1993 r. wykonano staraniem autora w nakładzie 15 numerowanych egzemplarzy".

Wiersze

Tom zatytułowany mało odkrywczo *Wiersze* ukazał się w 1995 r., choć gotowy do druku był już w 1992. To do tej książki wiosną tamtego roku Zdzisław Morawski napisał wstęp, w którym uznał Furmana za gwiazdę na szarym gorzowskim padole. Rysunki przygotowywał Andrzej Gordon, ale że nadzieje na druk były nikłe, zakończenie pracy stale odkładał. Tymczasem niespodziewanie jesienią 1992 r. zmarli dwaj przyjaciele Furmana i współtwórcy tomiku – Gordon i Morawski. Jako dowód pamięci, Furman napisał dla nich wiersze, które włączył do tomu. Jako redaktor pod zbiorem tym podpisał się Bogdan J. Kunicki, a publikację zaopatrzono informacją: „Tomik wydano staraniem Klubu Myśli Twórczej »Lamus« dzięki finansowemu wsparciu Radia Zachód S.A. w Zielonej Górze oraz Wydziału Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego w Gorzowie przy współudziale Jazz Clubu »Pod Filarami« w nakładzie 500 + 50 numerowanych egzemplarzy bibliofilskich". Format A-5, stron 40, wierszy 21. Książka ma nietypową dla Furmana buro-czerwoną obwolutę. Nazwisko autora i tytuł wydrukowano na niej niewielką białą czcionką. Wiersze drukowane są wąską czcionką, więc jakby ściśnięte, trudne w lekturze. Ilustracje Gordona duże, na całą stronę, zdają się wypierać tekst. Strona graficzna książki absolutnie nie zachęca do lektury. Tymczasem tom ten jako pierwszy ukazuje Furmana jako poetę pełnego wewnętrznych konfliktów, odkrywczego w warstwie językowej, z oryginalną, własną metaforyką. Otwierają go wiersze inspirowane malarstwem Andrzeja Gordona, szczególnie cyklem *Ukrzyżowania*, na której malarz zobrazował kobietę na krzyżu. Ten krzyż – symbol *sacrum* – w połączeniu z kobietą (erotyką), tu symbolizującą *profanum*, wraca w kilku wierszach jako wieczne balansowanie wartości i pojęć.

Jest tu wiersz o samotności poety w dociekaniu tych relacji, zaczynający się od słów: „Każdy wiersz to moje kolejne samobójstwo", a kończący się konstatacją: „I sam sobie tylko znajomych dopływam okolic"[9].

Książka ta doczekała się dwóch recenzji. Z pełnym uznaniem dla autora pisał o niej Leszek Żuliński

7 B. Kunicki, [w:] K. Furman, *Kalendarz polski*, s. 18.
8 K. Furman, *Kalendarz polski*, s. 14.
9 K. Furman, *** (*Każdy wiersz*), [w:] tegoż, *Wiersze*, s. 22.

na łamach ogólnopolskiego „Tygodnika Kulturalnego": „Ten poeta nie mieści się w porządku społecznym ani obyczajowym. Ale on także nie mieści się w zastanym kanonie sztuki – ta poezja gwałtownie szuka innego języka, buntuje się przeciw obiegowemu modelowi liryczności. Nie mieści się w mitologii kulturowej, np. w sacrum religijnym. W końcu nie mieści się poeta sam w sobie – ma problemy z uzasadnieniem swojej własnej egzystencji, która go irytuje, zawstydza, krępuje, wywołuje masę sprzecznych uczuć. »Tak mi się mnie pisać / Tam mnie się spodziewać / Dopokąd jeszcze życia jak zamiarów« – w takich konstrukcjach przecież kryje się pęd ku jakiemuś dystansowi, całkowicie obiektywnemu dzianiu się życia. Myślę więc, że jest to pełen wachlarz alienacji – od egzystencjalnej ku społecznej. A za tym wszystkim kryje się w tych wierszach na pierwszym planie lekka ironia, sarkazm, kpina, ale głębiej i tak naprawdę – ból, pustka i rozpacz istnienia, dramat nieprzystosowania, zdwojone odczuwanie przeciwności losu i jego kosmicznych niespełnień. U Furmana to wszystko pobrzmiewa bardzo autentycznie; ten dramat nie jest udawany i nie jest szmirą. To jeszcze jedna odsłona »życiopisania« i aż boję się, by nie była zbyt dosłowna"[10].

Książka zyskała także wnikliwą recenzję na łamach „Gazety Lubuskiej", a napisał ją ówczesny profesor Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze, także poeta i krytyk literacki – Jan Kurowicki: „Wiersze tworzą swój »poetycki przedmiot« przez negację. Są jakby ciągiem odchodzenia od płaskich wiar i deklaracji, służącym temu tylko, by się nie wychylać. By dano im święty spokój i słoik z konfiturami. A Furman chce pełni, autentyczności, szczerości. I nie znajduje tego wszystkiego. Więc odchodzi. Ciągle odchodzi. Natomiast każdy akt odejścia jest zarazem negacją różnych świętości i tabu. Nie po to, by je sprofanować, ale wyzwolić ich prawdę, która właśnie przez negację się ujawnia"[11] .

Katalog z wierszami

W grudniu 1996 r. w gorzowskiej Małej Galerii miała miejsce wystawa szczególna. Fotograf Zenon Kmiecik przygotował cykl zdjęć portretowych Kazimierza Furmana. Czarno-białe zdjęcia były wykonane jesienią, w plenerze, wśród pustych pól, na tle odrapanych szop. W takiej zgrzebnej scenerii Furman pokazany został z rozwianym włosem, ze zmierzwioną brodą, w czarnej koszuli, w za dużych spodniach, ale z uduchowionym wyrazem twarzy. Choć często zagubiony, pozostał wyrazistym człowiekiem z charyzmą. Mikry, mało urodziwy Furman okazał się doskonałym modelem.

Z okazji wystawy wydanych zostało 100 egzemplarzy 36-stronicowego katalogu o formacie A-5 z pięcioma wklejonymi zdjęciami Kmiecika (w każdym egzemplarzu inny zestaw) oraz z 10 wierszami Furmana. Pierwszy wiersz – *Załącznik do autobiografii (2)* rozpoczyna się od słów: „Nazywam się Jezus Chrystus / Nie mam stałego miejsca zamieszkania / Ani stałej posady / Zwolniono mnie za opilstwo w Kanie". Można przyjąć – autobiografia Chrystusa. Ale następny wers sugeruje, że podmiotem lirycznym nie jest Jezus: „Teraz utrzymuje mnie opieka społeczna"[12]. Podmiotem jest zwykły człowiek (autor?), którego na co dzień dotykają takie same przykrości, jakie były udziałem Chrystusa, choć przecież był synem Boga. Relacje między człowiekiem a Bogiem to podstawowy temat wszystkich wierszy zamieszczonych w katalogu. Dość zaskakujące okazało się zestawienie tej tematyki ze zdjęciami.

Doświadczanie obecności

Tomik formatu A-5 datowany jest na 1997 r. Na ostatniej stronie znalazła się informacja: „Wydano własnym sumptem autora w nakładzie 20 egzemplarzy numerowanych". Czarna obwoluta z tytułem na naklejce, stron 20, wierszy 15, na 2. stronie duże zdjęcie autora.

Bardzo to osobisty tom wierszy. Zdecydowana większość utrzymana w pierwszej osobie liczby pojedynczej, wiele nawiązań do smutnego dzieciństwa, a podstawowym doznaniem dorosłego twórcy jest samotność.

Tom ten omówiony został przez Jana Kurowickiego w „Gazecie Lubuskiej". Recenzent powtórzył swoją wysoką ocenę twórczości Furmana, wyrażoną już w opinii o tomie *Wiersze* i przywołał utwór

10 L. Żuliński, *Koszmar obecności*, „Tygodnik Kulturalny" 1995, nr 50 z 10 października.
11 J. Kurowicki, *Ciągłe odchodzenie*, „Gazeta Lubuska" 1995, nr 157.
12 K. Furman, *Załącznik do autobiografii (2)*, [w katalogu z wierszami], s. 5.

pt. *Tak jestem* jako najbardziej reprezentatywny dla nowego, bo ukazujący dysproporcję między wspomnieniem dnia Pierwszej Komunii a otaczającym dorosłego autora światem Judaszów. Główny jednak nacisk położył na owe 20 egzemplarzy nakładu, które nie mogą zagwarantować poznania wierszy przez zainteresowanych. Pisze: „Gdyby Furman mieszkał w Zielonej Górze, spokojnie mógłby rzecz wydać czy to w Pro Libris naszej Biblioteki Wojewódzkiej, czy też w And Andrzeja Bucka. W naszym bowiem mieście nie tylko dba się o talenty, ale też stara się je odsłaniać. W Gorzowie – jak widać – tego brak, choć to przecież dla władz miasta czy województwa żaden wydatek"[13].

Wiele racji ma Jan Kurowicki, bo na pewno troska władz lokalnych o poetę mogłaby być większa. Tyle że on nigdy nie dopuszczał współpracy z władzami ani z żadnym wydawnictwem. W tej mierze także cenił sobie przede wszystkim niezależność.

I jeszcze nic nie wiem

Na styczeń 1998 r. datowany jest tomik *I jeszcze nic nie wiem* wykonany zdecydowanie amatorsko, z informacją, że „wydano staraniem autora w 50 numerowanych egzemplarzach". Format A-5, 28 stron, 24 wiersze, szaro-zielonkawa kartonowa okładka.

Natomiast na luty 1998 r. datowany jest tomik pod tym samym tytułem, ale całkiem inny. Ten z lutego ma pomniejszony format A-5, czerwoną, kartonową okładkę z czarną obwolutą, zastosowano mniejszą niż w poprzednim, ale pogrubioną czcionkę, ma 36 stron, zawiera 28 wierszy. Autor usunął jeden wiersz, a dodał pięć, także nieco zmienił ich układ. Drugą edycję wyróżniają przede wszystkim rysunki Magdy Ćwiertni. Ten również „wydano staraniem autora w 50 numerowanych egzemplarzach", ale autor dziękuję (pewnie za pomoc finansową) Jazz Clubowi „Pod Filarami", Jurkowi Gawrońskiemu, Janowi Kaczmarkowi i P. J. Sierakowskim. Strona 18 jest pusta, ma tylko niewielki nagłówek: „Od autora". Dlaczego w środku książki i dlaczego autor nic nie napisał, dziś już nie wiadomo.

Do obu włączył autor kilka wierszy publikowanych wcześniej w katalogu, o którym powyżej, ale prawie zawsze ze zmianami. Druga edycja tomu dała autorowi możliwość dokonania zmian w stosunku do pierwszej, więc także z niej skorzystał. Wprowadził kilka wierszy dotyczących własnej rodziny – ojca i brata.

Analiza dwóch wersji tomu jest okazją, by skoncentrować uwagę na problemach warsztatowych. Porównajmy trzy wersje wiersza *Załącznik do autobiografii (2)*: pierwszą z katalogu wystawy fotograficznej, drugą z tomiku ze stycznia i trzecią z tomiku z lutego. Powyżej cytowany był jego początek. Taki sam jest we wszystkich trzech wersjach. Ciąg dalszy też bez zmian: „Ale najczęściej stoję przy kościele / Z wyciągniętą ręką / Udając ślepca". Końcówka w pierwszej wersji wyglądała tak: „To przychodzi mi z łatwością / Znam przecież takie różne sztuczki". W drugiej i trzeciej wersji pozostał tylko jeden wers: „Znam przecież różne takie czary-mary". Następna cząstka wiersza zaczyna się od dwuwersu identycznego we wszystkich wersjach: „Ludzie mną gardzą / Bo jestem życiowym nieudacznikiem". W wersji pierwszej, tej z katalogu, ciąg dalszy całostki ma aż siedem wersów: „Nie z własnej winy! / I co On na to / W moim wieku powinienem mieć żonę syna / Zbudowany dom / Posadzone drzewo / A nie włóczyć się po świecie / Czy bujać w obłokach". W wersji drugiej pozostały tylko cztery wersy. Odrzucony został On (Bóg?), w styczniu formę bezokolicznikową autor zmienił na osobową, w lutym wrócił do bezokolicznika. W styczniu był inny szyk słów w ostatnim wersie. Styczeń: „W moim wieku powinienem mieć dom żonę syna / Posadzone drzewo / A ja włóczę się po świecie / W obłokach się bujam". W lutym: „W moim wieku powinienem mieć dom żonę syna / Posadzone drzewo / A nie włóczyć się po świecie / Czy bujać w obłokach". Zdecydowanej zmianie uległo zakończenie. W wersji pierwszej brzmiało ono: „Mam już tego wszystkiego dość / Powieszę się / Bo przecież poznałem zamiary człowieka". W wersjach książkowych autor wprowadził takie zakończenie: „Skazany na życie / Ukrywam prawdziwe imię i nazwisko".

Temat Chrystusa-człowieka był dla Furmana na tyle frapujący, że pracował nad wierszem także po jego publikacjach. Odrzucił sformułowania banalne („Mam już tego wszystkiego dość"), skondensował

13 J. Kurowicki, *Doświadczenie obecności*, „Gazeta Lubuska" z 15-16 listopada 1997.

wypowiedź (zamiast: „Zbudowany dom" jest po prostu „dom"), a co najważniejsze, odrzucił ingerencję Boga („On"). Natomiast najwięcej kłopotów miał autor z pointą. W wersji pierwszej Chrystus poddaje się, bo „poznałem zamiary człowieka", czyli uznaje swoją moc za niewystarczającą, aby mieć przewagę nad człowiekiem. W wersji książkowej – „Skazany na życie" Chrystus wtapia się w ludzi, staje się anonimowy. Może jest wśród nas?

Tom *I jeszcze nic nie wiem* zawiera w tytule stwierdzenie braku wiedzy (pewności, jasności poglądów?), ale i nadzieję na poznanie. Jest to tom ważny w twórczości Kazimierza Furmana, bo rozpoczyna jego rozważania o śmierci i o Bogu. Żadna z wersji tomu *I jeszcze nic nie wiem* nie miała recenzji.

Odmienne stany obecności

To pierwsza książka, której zarówno opracowanie, jak i zawartość były adekwatne do artystycznej pozycji autora. Format B-6, stron 60, obwoluta czarna z graficznym portretem autora z profilu, rysunki Magdy Ćwiertni, a tylko zszycie metalowymi spinaczami obniża graficzną rangę. Książkę wydano w 500 egzemplarzach + 25 bibliofilskich. Wydrukował ją Zakład Usług Poligraficznych „Druk" z Gorzowa. Lista darczyńców, którzy złożyli się na wydanie książki, jest długa: obok wydziałów kultury Urzędu Wojewódzkiego i Urzędu Miejskiego, wymieniono klub „Lamus", pracownię architektoniczną „Dom" oraz Fundację Kresową „Polonia". Fundacja ta występuje również jako wydawca, numer ISBN pochodzi z jej puli wydawniczej.

Wstęp napisany przez cenionego krytyka literackiego Andrzeja K. Waśkiewicza kończy się słowami: „[Wiersze] niby proste, niby zwykły opis albo konfesyjne wyznanie, a przecież rozbłyskują wewnętrznymi znaczeniami, sytuują się polemicznie wobec utartych (lub właśnie ucierających się) sądów o świecie. One nie chcą do niczego dołączać się ani dopisywać. Są po stronie realności, rzeczywistości doświadczanej aż do bólu"[14].

W książce pomieszczono 48 wierszy, ale jest tu tylko 13 nowych, a 35 powtórzonych przede wszystkim z *Kalendarza polskiego* i z *I jeszcze nic nie wiem*. Tytuł tomu przeniósł autor z wiersza z *Kalendarza polskiego*. Fraza kończąca ten wiersz: „Żyję / I jest to naprawdę kłamstwo / Kłamię / I jest to dopiero życie" tam obrazująca zakłamanie w sferze polityki, tu nabiera szerszego znaczenia. Wiersze dotyczą życia prywatnego (znakomity wiersz *Z życiorysu własnego matki*), tradycji literackich, sztuki, wiary, śmierci, także szarej codzienności.

„O czym jest nowy tom poezji Kazimierza Furmana?" – pyta w recenzji Jarosław Naus – „O wszystkim chyba, co najważniejsze. O potrzebie miłości, potędze uczuć i gorączkowym ich poszukiwaniu. O szaleństwie osamotnienia w świecie i potrzebie dzielenia się z kimś. O zgiełku i chaosie bezrozumnie rozpędzonego świata. O nakręconym raz i nieodwołalnie zegarze, odmierzającym czas ziemskich zmagań każdego z nas. O Tym, który ten zegar nakręcił. Ta poezja dotyczy nędzy ludzkiego ciała i potęgi ducha. Niedocieczonej zagadki śmierci i oswajania się z jej nieuniknionym przyjściem. Fikcyjności rzeczy doczesnych, bezcelowości nerwowej, ziemskiej krzątaniny i rzeczywistej wartości człowieczeństwa. Piękna idei i pokraczności, przypadkowości praktyki. Prawd zbudowanych na kłamstwie. Wielu jeszcze zagadnień ważnych i mniej ważnych, fizycznych i metafizycznych, racjonalnych i irracjonalnych, umiejscowionych w czasie i pozostających poza nim"[15].

Natomiast Jan Kurowicki w omówieniu tomiku wskazuje na przyczyny ambiwalencji w różnych stanach autorskiej obecności: „Wszystkie te wiersze łączy emocjonalność stanowiąca reakcję na brak zakorzenienia w świecie. Nie ma to nic wspólnego z jakimś roztkliwianiem się nad sobą, lecz stanowi przejaw świadomego wyboru niezgody na rzeczywistość"[16].

W konkursie o Lubuski Wawrzyn Literacki tom *Odmienne stany obecności* uznano za najlepszą książkę wydaną na Ziemi Lubuskiej w 1998 r., za co Kazimierz Furman otrzymał właśnie Lubuski Wawrzyn. Był to pierwszy Wawrzyn dla autora z Gorzowa i – jak sam wielokrotnie podkreślał – nagroda, którą cenił najwyżej. Do tej pory pozycję Furmana w świecie literackim silniej niż dokonania

14 A. K. Waśkiewicz, *Doświadczać aż do bólu*, [w:] K. Furman, *Odmienne stany obecności*, s. 4.
15 J. Naus, *Znów ze słowami w zmowie*, „Arsenał Gorzowski" 1998, nr 12.
16 J. Kurowicki, *Cała obecność*, „Gazeta Lubuska" 1998, nr 91.

określał mit, który sam sobie zbudował. Teraz ten mit został poparty przez autorytety, a Furman otrzymał artystyczną legitymację.

Autoportret z drugiej ręki

Jeszcze przed otrzymaniem Wawrzynu Kazimierz Furman złożył w drukarni następną książkę, która wyszła w maju 1999 r. To dwujęzyczny *Autoportret z drugiej ręki / Selbstporträt aus zweiter Hand*. Najgrubsza, bo licząca 100 stron książka, w formacie takim jak poprzednia, także z czarną obwolutą, takim samym liternictwem nazwiska i tytułu oraz z tym samym graficznym portretem autora. Na pierwszy rzut oka może się mylić z *Odmiennymi stanami obecności*. Książkę wydało Polsko-Niemieckie Stowarzyszenie Literackie „Prom", a sfinansował Wydział Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Gorzowie Wlkp. Wszystkie wiersze tłumaczyła ceniona tłumaczka – Karin Wolff

Tytuł podkreślający „drugą rękę", tłumaczenie na język niemiecki, układ z wierszami w języku polskim po lewej (gorszej) stronie, a w języku niemieckim po prawej mogły sugerować, że jest to dokonany przez autora wybór dawnych wierszy. Tymczasem nie. Spośród 39 tylko 4 publikowane były we wcześniejszych tomikach, a żaden w *Odmiennych stanach...* Furman przygotował nowe wiersze, całkiem inne od poprzednich także w temperaturze przekazu. Nie ma tu emocjonalności, która dominowała w poprzednim tomie, jest natomiast refleksja nad światem, nawet sarkazm i żal, że tak źle został urządzony. „Dopatrywałbym się w wierszach Furmana trudu dźwigania ciemnej, bolesnej, niekiedy bardzo tragicznej, nie dającej się oswoić, egzystencji" – pisał w recenzji tomu Czesław Sobkowiak. „Wysiłek dźwigania, a nie bunt. Jest to jeszcze jeden powód, dla którego cenię wiersze Furmana"[17].

Z tego tomu pochodzą ważne w dorobku Furmana wiersze jak poemat zaczynający się od słów „Ten wiersz mógłby napisać poeta Tadeusz Różewicz", tu jest rozrachunkowy poemat *Nie odpływaj Ameryko w historię,* czy wreszcie nowe odczytanie relacji polsko-niemieckich w wierszu *Hans M. Enzensberger oprowadza syna po mapie*. Dzięki nie tylko polskiemu, ale także niemieckiemu adresatowi Furman poszerza znacznie horyzont obserwacji, pisze o sprawach ważnych dla świata. O tych, które on uważa za ważne dla świata. Żadna inna wiedza ani doświadczenie się nie liczą.

Drzewo grzechu +

W dwóch ważnych tomach, o których powyżej, tematyka kobiety, miłości, erotyki, zeszła na dalszy plan. Tymczasem Furman miał wiele dobrych wierszy z tego kręgu. W 2000 r. postanowił je wznowić. Książce nadał tytuł *Drzewo grzechu +*, nawiązujący do tomu wydanego w 1989 r. Do nowej edycji włączył wszystkie wiersze z pierwszego tomu, dodał 14 wierszy już wcześniej publikowanych w innych tomach i tylko jeden całkiem nowy. Książkę wydała także Fundacja Kresowa „Polonia", a sfinansował Wydział Kultury Urzędu Miejskiego. Ma format B-6, czyli taki jak dwa ostatnie, czarną obwolutę z tą samą grafiką Andrzeja Gordona, która zdobi pierwsze *Drzewo grzechu* (tam rysunek jest czarny na białym tle, tu biały na czarnym). Liczy 56 stron, nie ma rysunków Gordona, które były w tomiku z 1989 r. Druk – znów PUP „Druk".

W wierszach jest wiele kobiet życia Furmana: od matki do ukochanej córki Aldy, a po drodze liczne (bez imion i nazwisk), które kochał, pożądał, odrzucił, znienawidził. Są rozmaite stadia miłości, ale mimo różnorodności doznań dominująca okazuje się samotność. A przecież – jak podkreśla Czesław Sobkowiak – „mimo wszystko są to wiersze jaśniejsze w klimacie"[18].

Brzemię

Po trzech tomach publikowanych rok po roku, na następny tom Kazimierz Furman kazał czekać aż dziewięć lat. W czerwcu 2009 r. ukazał się tom *Brzemię* w formacie takim samym jak *Odmienne stany...* i *Autoportret...*, także z czarną obwolutą, ale z innym portretem graficznym. Książkę wydano dzięki wsparciu Wydziału Kultury Urzędu Miejskiego w Gorzowie oraz osób prywatnych: Anny Makowskiej-Cieleń, Pawła Sierakowskiego, Leszka Bończuka i Janusza Dreczki. Wiersze poprzedza szkic *O twórczości Kazimierza Furmana* autorstwa

17 Cz. Sobkowiak, *Poetyckie autoportrety Kazimierza Furmana*, „Ziemia Gorzowska" 1999, nr 49.
18 Cz. Sobkowiak, *Piętno egzystencji*, „Pro Libris" 2006, nr 1(14).

Andrzeja K. Waśkiewicza, ale – jak się wydaje – znacznie wcześniejszy, bo nie dotyczący tego zestawu wierszy, a ukazujący miejsce Furmana z perspektywy socjologicznej. Książka liczy 68 stron i znalazł się w niej tylko jeden wiersz – (tu: *Gniazdo*, wcześniejszy tytuł: *Santocko 1985*), publikowany w poprzednim tomie. Autor wrócił do datowania wierszy. Dominują tu wiersze nowe, napisane ostatnio, ale są i starsze, publikowane dotąd wyłącznie na łamach prasy. Dobrane zostały tematycznie, wszystkie bowiem dotyczą końca ludzkiej egzystencji, śmierci i miejsca Boga w tym procesie. Tytuł tomu *Brzemię* autor przeniósł z tytułu jednego z najwcześniejszych wierszy tu zamieszczonych, bo pochodzącego z 1980 roku. Od 30 lat miał świadomość, że niesie to brzemię.

Wiersz *Miało być pięknie* kończy słowami: „To ani farsa / Ani dramat // Jest smutno / A miało być pięknie // To może nie będzie aż tak źle / Rozstać się / w porę"[19]. Rozstanie nadejdzie. Nie ma dwóch zdań. Tylko: kiedy jest „w porę"? I co pozostawi po sobie poeta? W innym wierszu pisze: „Każdego dnia i o każdej porze / Poecie coś się rodzi / Poecie coś się wymyśla / Poecie coś nie wychodzi"[20]. Gdzie indziej zaś: „I choć życie ich zdradza / Wymyka się spod kontroli // Chcą je dopisać do końca"[21]. W innym wierszu mówiącym jednoznacznie o śmierci pisze: „Jestem pogodzony / Czekam cierpliwie na sen"[22].

Mimo ciemnego tonu dominującego w całym tomiku, Kazimierz Furman przypomniał – jako jedyny powtórzony – wiersz *Santocko 1985* (tu: *Gniazdo*), chyba najpiękniejszy swój wiersz o urodzie świata i o człowieku żyjącym w symbiozie ze światem.

W czerwcu 2009 r. było już wiadomo, że Kazimierz Furman jest poważnie chory, że nadzieja na powrót do zdrowia znikoma. Że tom *Brzmię* to jego pożegnanie ze światem i z poezją. „To są wiersze-żalniki" – napisał Leszek Żuliński. „Śmierć oczekiwana entuzjastycznie? – to by chyba przerastało prawdę życia i prawdę umierania lub wymagało żelaznej, nawiedzonej wiary w boską transcendencję. Ale Furman nie tą kwadrygą powozi. On, jak zawsze się trzymał, tak i teraz trzyma się konkretu, przyziemia, życia tętniącego prawdą. A domysł prawdy o nicości jest bardziej z jego biografii i jego poetyki niż domysł prawdy o wieczności. Inaczej więc być nie może. Kazimierz Furman wydał swój kolejny mocny, przejmujący, autentycznie brzmiący tom wierszy"[23].

Dla przyszłego wydawcy

2 października 2009 r. Kazimierz Furman odebrał *Motyla* – nagrodę kulturalną Prezydenta Gorzowa Wlkp. za tom *Brzemię*. 14 października zmarł.

W jego biogramie podawanych jest 12 tytułów tomików. Powyższy przegląd wskazuje, że wiele z nich było efemerydami, a więc wymagałyby przypomnienia. Kazimierz Furman kochał swoje wiersze, pracował nad nimi, ale nie dbał o publikację dorobku. Nie miał zaufania do wydawców, nie pozwalał sobie pomagać przy doborze wierszy, nie dopuszczał redakcyjnej współpracy. Sam także rozprowadzał swoje tomiki. Podobno całkiem nieźle wychodził na ich sprzedaży, ale dziś okazuje się, że nie ma ich w bibliotekach i że dotarcie do wszystkich jest niemal niemożliwe.

Pamiętać przy tym trzeba, że Kazimierz Furman napisał także wiele opowiadań nagrodzonych na konkursach, że jest autorem powieści, ale jego utwory prozatorskie nigdy nie ukazały się w formie książkowej.

Natomiast sporo publikował w prasie. Bibliografia jego publikacji prasowych opracowana w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Gorzowie zawiera blisko 100 pozycji, a często pod jednym numerem kryje się kilka wierszy. Dotarcie do nich, wybranie ostatecznej wersji, zgodnej z intencją autora, to zadanie dla przyszłego wydawcy dorobku Furmana. Zadanie niełatwe, ale koniecznie trzeba je wykonać i to możliwie jak najszybciej, bo dopiero wtedy objawi się cały dorobek tego – z pewnością – wyjątkowego poety.

19 K. Furman, *Miało być pięknie*, [w:] tegoż, *Brzemię*, s. 39
20 K. Furman, *** (*Poecie wymyśla się*), [w:] tegoż, *Brzemię*, s. 65.
21 K. Furman, *** (*Są poeci*), [w:] tegoż, *Brzemię*, s. 53
22 K. Furman, *** (*Bóg / Co mnie bardzo zastanawia*), [w:] tegoż, *Brzemię*, s. 56.
23 L. Żuliński, *Wiersze-żalniki*, „Pegaz Lubuski" 2009, nr 2.

Brzemię albo spóźniony list
do Kazimierza Furmana

Z okładek
Twoich książek
Spoziera na mnie
Twarz jak żywcem
Z krzyża
Zdjęta

Tych kilka linijek zapisałem
Kiedy życie płatało ci jeszcze figle

Aby móc podziękować za wiersz
Pod tytułem
Człowiek gorszego boga

Nie zdążyłem

Gdyż ten gorszy
Bóg skinął na ciebie
Palcem

I autoportret
Twój wyretuszował poza
Nawias dwóch
Rysopisań:

20 maja 1949 –
14 października 2009

Ani więc to post
Scriptum ani cierniowa
Aureola

Tylko na krzyżowym padole
Brzemię

Twoje brzemię,
Kazimierzu

październik 2009

Grażyna Zwolińska

Autorytety a media, czyli brylowanie na ekranie

Nie pokazują cię w telewizji, więc cię nie ma. Pokazują, jesteś kimś. Oczywiście nie chodzi o pokazywanie z czarnym paskiem na oczach czy w charakterze bohatera reportażu z tzw. głębokiego terenu. Chodzi o brylowanie na ekranie w roli wygłaszacza opinii na aktualny temat. Polityczny, społeczny, kulturalny, wszystko jedno. Skoro cię dziennikarze pytają, to znaczy, że jesteś autorytetem w danej dziedzinie, że należysz do elity wiedzy, władzy, kultury. Skoro nie pytają, to znaczy, że nie masz nic do powiedzenia. Bo gdybyś miał, to przecież by cię zapytali. Proste, jak audiotele, nazywane też pieszczotliwie „idiotentele".

Dzisiejszy świat to świat mediów, czy się to komuś podoba, czy nie. Taki świat nie może istnieć bez autorytetów medialnych. Autorytet medialny do autorytetu prawdziwego ma się często jak Doda do Beethovena. Co nie wyklucza tego, że autorytetami medialnymi są niekiedy autorytety jak najbardziej prawdziwe. Ale tylko takie, które mają specyficzną cechę, a mianowicie medialność. To umiejętność, która powala wpasować się w specyfikę telewizyjnego przekazu. Bez tej cechy można być geniuszem, a nie zaistnieć w świadomości telewizyjnej publiczności. Tym samym nie zaistnieć w świadomości narodu, bo naród i telewizyjna publiczność to dziś już niemal to samo. Niestety, albo „stety".

Skąd biorą się medialne autorytety? Czy ktoś je wyznacza, jak twierdzi felietonista Radia Maryja, Piotr Jaroszyński w felietonie *Elity*? Podkreśla on, że elita dziś nie powstaje naturalnie, lecz jest kreowana przez mass media. Zaraz jednak dodaje, że media te są pod szczególnym nadzorem polityków, ideologów i ludzi biznesu. W związku z tym – jak zaznacza – „mechanizm kreowania elit i w konsekwencji uzyskania statusu przynależności do elity wcale nie jest społeczny, oddolny, ale jest zaprojektowany odgórnie przez tych, którzy decydują o promowaniu kogoś w mediach. Bez takiej promocji, nie będzie się człowiekiem powszechnie znanym, a tym samym nie będzie się należeć do elit".

Być może... Jednak niezbyt chce mi się w to odgórne projektowanie wierzyć, choć nie wykluczam, że czasami tak się może zdarzyć. Prawda o tym, jak zostaje się autorytetem medialnym, jest chyba o wiele bardziej przyziemna i mniej pachnąca polityczno-ideologicznym spiskiem niż sądzi radiomaryjny felietonista.

Od wielu lat „robię w mediach". Na swoją skromną skalę jestem ojcem (a właściwie matką) paru lokalnych medialnych autorytetów w różnych dziedzinach. Większość moich kolegów po fachu też takich ma. Właściwie trudno ich nie mieć, jeśli jest się dziennikarzem.

Wyobraźmy sobie następującą sytuację. Jest godz. 13.00, dziennikarz dostaje zlecenie, żeby zdobyć wypowiedź „jakiegoś rozsądnego lekarza" na temat szczepionek przeciw grypie. Wypowiedź ma

się oczywiście już jutro ukazać w gazecie (w wydaniu internetowym jeszcze szybciej). Co robi dziennikarz? Dzwoni do znajomego lekarza, o którym wie, że ten nie tylko nie odmówi, ale od ręki zgodzi się na rozmowę przez telefon, nie trzeba więc będzie tracić cennego czasu na dojazd. Poza tym w fotograficznym archiwum redakcyjnym na pewno jest jego zdjęcie.

Skąd dziennikarz tego lekarza zna? Na przykład stąd, że kiedy jakiś czas temu rozpaczliwie wydzwaniał do różnych lekarzy z prośbą o wypowiedź na ten czy inny medyczny temat, a ci odsyłali go do diabła lub proponowali rozmowę we wtorek w przyszłym tygodniu, choć on musiał ją mieć natychmiast, tylko ten jeden lekarz się zgodził. Zrozumiał, jaki jest charakter pracy w dzienniku? Lubi publicznie występować? Chce się kreować na autorytet w swojej dziedzinie? Nieważne. Dla dziennikarza istotne jest to, że mógł szybko zdobyć wypowiedź (zakładam, że rozsądną) i zająć się kolejnymi, równie pilnymi tematami. Czy to dziwne, że dzwoni potem do tej osoby raz po raz, gdy musi uzyskać opinię „na już"? A w pamięci czytelników utrwala się określone nazwisko, jako kogoś, kto zna się na rzeczy, więc jest autorytetem, w tym przypadku medycznym.

Inny przykład... Do szefostwa redakcji dotarła informacja, że na uniwersytecie ktoś robi doktorat „z Woodstocku". Festiwal właśnie trwa. „Pojedź, zrób krótką rozmowę" – słyszy dziennikarz. Szef instytutu potwierdza, że taka praca jest przygotowywana. Czy on lub autor pracy zechcieliby powiedzieć czytelnikom gazety kilka słów na ten temat? „Tak, ale najszybciej za pół roku, jak autor będzie miał gotowy pierwszy szkic" – pada odpowiedź. Za pół roku? Dla gazety codziennej pół roku to wieczność, czarna dziura. Taka informacja właśnie teraz jest hitem. Zarówno szef instytutu, jak i doktorant tracą szanse na publiczne zaistnienie poza wąskim zawodowym środowiskiem. Gdyby się zgodzili na krótką rozmowę, niewykluczone, że z czasem zostaliby medialnymi autorytetami, bo dziennikarz zgłaszałby się do nich po opinię w sprawach dotyczących różnych socjologicznych zjawisk.

Oczywiście ani lekarz, ani naukowiec nie mają obowiązku udzielania gazetom wypowiedzi, zwłaszcza natychmiast, od ręki. Co więcej, zadawanie się z „redaktorzyną z lokalnej gazetki" mają prawo uznać za rzecz poniżej ich naukowej godności lub po prostu za stratę czasu, który wolą – zapewne słusznie – wykorzystać na pisanie uczonych dzieł. Ale jeśli tak, to nie powinni potem mieć pretensji do kolegów po fachu, którzy na rozmowę z dziennikarzami się godzą. Godne psa ogrodnika są pretensje typu „a co to z niego za autorytet", „przecież są lepsi, a gazetowe pismaki ciągle zwracają się do tych samych".

Podobny mechanizm działa w przypadku autorytetów medialnych, występujących w telewizjach. Każda stacja ma swoich stałych wygłaszaczy opinii. Jeśli w TVN 24 trzeba będzie skomentować coś związanego z astronomią, można być niemal pewnym, że wypowie się pewien siwawy pan doktor z toruńskiego Centrum Astronomicznego. Jeśli trzeba będzie ustosunkować się do jakiegoś społecznego faktu, zrobi to socjolog lub politolog znany nam z co najmniej kilkunastu wcześniejszych wypowiedzi. Zrobi to o każdej porze dnia i nocy, w świątek piątek. Wystarczy, że dziennikarz zadzwoni. Z czasem my, telewidzowie, zaczniemy go uważać za świetnego znawcę tematu i nie zdziwimy się, gdy znów zobaczymy go na ekranie. Zdziwimy się raczej, kiedy zamiast niego, zobaczymy jakąś nową twarz.

Chyba więcej racji, niż szukający spiskowych wyjaśnień zjawiska medialnych autorytetów Piotr Jaroszyński, ma Wiesław Gałązka, niezależny publicysta i nauczyciel akademicki, autor wystąpienia *Autorytety medialne czy polityczne* wygłoszonego na konferencji *Blaski i cienie polskiego marketingu*, która odbyła się we Wrocławiu w 2005 r. Stwierdził on tam m.in., że o przynależności do grona osób publicznych, a więc i do elity medialnej, w ogromnym stopniu decydują... same media. To dziennikarze, metodą prób i błędów, szukają rozmówców w najróżniejszych środowiskach. Jak już jakiegoś znajdą, eksploatują go do granic przyzwoitości. Z braku czasu, by szukać kogoś następnego? Z własnego wygodnictwa?

Namaszczony ustawicznym przebywaniem na szklanym ekranie ekspert z danej branży zostaje przez widzów uznany za autorytet. W myśl zasady, że skoro go ciągle proszą o wypowiedź, to znaczy, że ma dużo do powiedzenia w swojej dziedzinie, a nawet nie tylko w niej, ale np. na temat tego, czy to dobrze, że trawa jest zielona. I tak przez sam fakt ciągłego pokazywania lub cytowania wchodzi taka osoba do areopagu elity. Nic to, że telewizyjnej, wszak dla większości rodaków tylko ona tak naprawdę się liczy.

Grażyna Zwolińska

Z politykami jest podobnie. Z parlamentarzystami też. Na ekranie pojawiają się wciąż te same twarze. To najwyżej kilkudziesięcioosobowa gromada. Cała reszta stanowi anonimowe tło. Czy to znaczy, że członkowie tego tła są mniej zdolni, mniej ambitni czy mniej pracowici? Niekoniecznie. Wielu „niewidzialnych" wykonuje sumiennie i odpowiedzialnie mrówczą sejmową robotę. Niektórzy z nich (jeśli chodzi o wiedzę) śmiało mogliby zastąpić „notorycznych ekspertów". A jednak nikt o nich szerzej nie wie. Bo nie wypowiadają się (jak ich niektórzy koledzy) błyskotliwie na sejmowej mównicy w niekoniecznie najważniejszych sprawach. Bo nie trafił do nich w odpowiednim momencie dziennikarz. Albo trafił, lecz odmówili. Albo nie odmówili, ale szybko okazało się, że nie mają w sobie niezbędnej do brylowania na ekranie cechy, wspomnianej wcześniej medialności. Nie mogą więc zostać zaliczeni do grona politycznej medialnej elity, bo nie mają choćby czegoś takiego, jak umiejętność zawarcia tego, co chcą przekazać w bardzo krótkim, spójnym i przy okazji obrazowym komunikacie. Trudno więc się dziwić, że z kimś takim telewizyjny dziennikarz nie umówi się na setkę. Dla niewtajemniczonych w arkana medialnego języka: setka to nie to, o czym każdy w tym momencie pomyślał, ale krótka wypowiedź do kamery, która potem „idzie" w serwisie. Dobrze, żeby było w niej błyskotliwe sformułowanie lub porównanie. Merytoryczna strona wypowiedzi też jest ważna, ale czy z punktu wymogów telewizyjnej migawki rzeczywiście najważniejsza? Wystarczy przyjrzeć się telewizyjnym karierom choćby takich posłów jak Cymański, Niesiołowski, Kłopotek, Wenderlich.

Ciągłe szukanie przez dziennikarzy osób, które zechcą zasilić zestaw medialnych autorytetów (niektóre autorytety z czasem się zużywają i trzeba je zastąpić nowymi), to jedna strona medalu. Drugą jest to, że niektóre z osób uprawiających polityczne, naukowe czy kulturalne poletko, widząc, że dzisiejszy świat to świat mediów, za wszelką ceną do tychże mediów chcą się dostać. Proponują więc swoje usługi w mniej lub bardziej wyszukany sposób, byle tylko zaistnieć: na ekranie, na pierwszej stronie tabloidu. Dotyczy to zwłaszcza tych, którzy już wcześniej znaleźli się w gronie osób publicznych, lecz z różnych powodów poszli w odstawkę. Klasycznym przykładem jest tu były premier Kazimierz Marcinkiewicz. Jak dobrze pamiętamy, ten głęboko wierzący w Boga i w Rodzinę (koniecznie przez duże „R") polityk zostawił żonę i czwórkę dzieci, by związać się z panienką o nieznanym ilorazie inteligencji. Zamiast zapaść się pod ziemię ze wstydu i w domowym zaciszu pieścić nowe rodzinne szczęście, robił (i robi) wszystko, żeby media o nim nie zapomniały. Można to oczywiście potępić, choć patrząc chłodno, Marcinkiewicz ma rację, afiszując się ze swoją wybranką, robiąc sesje zdjęciowe dla tabloidów i kobiecych pism, pozwalając Isabel wpisywać swe debilne wierszyki na jego blogu. Wie, że dzięki temu Polacy o nim nie zapomną, a dziennikarze przy okazji być może zapytają nie tylko o Isabel, ale i o to, czy nie dostał propozycji powrotu do polityki, albo co sądzi np. o reformie emerytur mundurowych czy sytuacji w służbie zdrowia. Będzie więc może z czasem miał szansę znowu zaistnieć jako autorytet medialny, po którego opinie w poważnych państwowych sprawach znów zwracają się redaktorzy.

Jest jeszcze całkiem inna grupa medialnych autorytetów. To osoby „robiące" w mediach telewizyjnych, czyli mających najszerszą publiczność, albo z tymi mediami silnie współpracujące.

W tym momencie warto nawiązać do wyników, ogłoszonego w lipcu 2009 r. sondażu przeprowadzonego przez Millward Brown SMG/KRC. Bardzo młodzi ludzie w wieku od 13 do 24 lat poproszeni zostali w nim o wskazanie osoby publicznej, która prezentuje najbardziej przez nich cenione cechy osobowości i poglądy. I co się okazało? To, czego można się było spodziewać. Młodzi Polacy uznali za autorytety głównie osoby znane w telewizyjnego ekranu. Zwyciężył Jerzy Owsiak. Na kolejnych miejscach znaleźli się Kuba Wojewódzki, Szymon Majewski, Wojciech Cejrowski, Dalajlama, Ewa Drzyzga, Robert Kubica. Dziesiątkę wybranych zamykała Monika Olejnik. Na liście nie znalazł się ani jeden pisarz, naukowiec czy biskup, zaś Dalajlama między Cejrowskim a Drzyzgą wygląda, jak wygląda.

Wśród autorytetów młodych ludzi zabrakło też Jana Pawła II. Nie ma go w pierwszej wskazanej trzydziestce. Prof. Katarzyna Popiołek z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach w „Rzeczpospolitej" z 16 lipca 2009 skomentowała to, trochę sarkastycznie, tak: „W oczach młodzieży Jan Paweł II był też celebrytą, ale jak celebryta rok, dwa nie pojawia się w mediach, to o nim zapominamy". W tym samym artykule dominikanin o. Maciej Kosiec, duszpasterz młodzieży, pociesza się, że dobrze się stało, że w zestawieniu cenionych przez młodzież osób razem z postaciami

z telewizji nie znalazł się nasz papież: „Lepiej, by był ceniony przez znajomość swego nauczania" – podkreśla.

Cóż... Nie miejsce tu, żeby wypowiadać się o znajomości nauczania Jana Pawła II wśród młodych ludzi, czy w ogóle wśród Polaków. Ale nie sposób nie przypomnieć, że popularność papieża brała się w ogromnym stopniu właśnie w tego, że posiadał dar bycia osobą medialną. Telewizja ten dar znakomicie wzmacniała. Wystarczy wspomnieć o papieskich kremówkach. Powtarzano ten fragment papieskiej wypowiedzi w telewizji w nieskończoność. Na pewno bardziej zapadł w pamięć, także młodym Polakom, niż właściwe nauczanie.

Przykre, ale prawdziwe: dziś trudno być autorytetem, jeśli nie ma się w sobie chociaż iskierki showmana. Jan Paweł II nie iskierkę w sobie miał, ale całe ognisko.

Czy więc z tego wszystkiego płynie tylko smutny wniosek, że – jako społeczeństwo – schodzimy na psy? A może nie warto drzeć szat pod hasłem, że „kiedyś było lepiej", skoro to i tak niczego, poza stanem tychże szat, nie zmieni?

Zbigniew Czarnuch

O wieżach z kości słoniowej i ich mieszkańcach

Ilekroć słyszę słowo „elita", tylekroć pamięć zbrojna doświadczeniem, nie zawsze miłym, podsuwa mi symbol wieży z kości słoniowej zamieszkałej przez Narcyza. Ściślej mówiąc całej osady takich wież, symboli miłości do siebie ukształtowanej na fundamencie pogardy wobec innych. Pogardy nie tylko wobec prymitywnego „motłochu", na który wieża pozwala nam lekceważąco patrzeć z góry. Także wobec swych sąsiadów bezpodstawnie pretendujących do miana elity. Jakże ich bowiem nie lekceważyć, gdy w swym zaślepieniu są przekonani o swej wyjątkowej urodzie, a ich naiwność i głupota każą wierzyć, że przebywają w wieży zbudowanej ze szlachetnego tworzywa, podczas gdy – jak powszednie wiadomo – mieszkają w tandetnych podróbkach, jako że tylko moja jest zbudowana z prawdziwych szlachetnych ciosów słonia!

Na potwierdzenie tej zarysowanej obrazowo tezy wywołam z bagażu wspomnień kilka scenek.

Obraz 1.

Początek lat 70. Mieszkając w Warszawie, zdarzyło mi się współpracować z telewizyjnym programem dla dzieci i młodzieży, gdzie prowadziłem audycję pod tytułem *Sekretarzyk rodzinny*. Byłem przekonany o dużych pedagogicznych walorach skierowania uwagi pokolenia nastolatków na dzieje ich rodów i docierałem do rodzin kultywujących tego typu tradycje. Jako wielbiciel twórczości Melchiora Wańkowicza, którego umieszczałem w czołówce świata polskiej literatury, znalazłem w którejś z jego książek wspomnienie o gazetce rodzinnej, jaką jego córki wydawały raz w roku na Boże Narodzenie. Dotarłem do pisarza z ekipą filmową i nagraliśmy jego wypowiedź na ten temat. Po zrealizowaniu zadania gospodarz podjął nas kawą. W czasie pogawędki mój niedościgły mistrz pióra, w którego dziełach podziwiałem sztukę wnikliwego i wszechstronnego rozpatrywania postaw bohaterów jego reportaży, wyrażaną w pięknej polszczyźnie, wprawił mnie w osłupienie, dając wyraz swemu głębokiemu przeświadczeniu zamieszkiwania w jedynie prawdziwej wieży samouwielbienia w stopniu, z jakim dotąd się nie spotkałem. Nasz gospodarz z jej wyżyn z rozbrajającą bezpośredniością cały ówczesny literacki parnas Warszawy scharakteryzował z największym lekceważeniem i pogardą, odwołując się do najbardziej prostackich określeń. Jako niepoprawny naiwniak z prowincji, wciąż patrzący na świat w różowych okularach idealisty zostałem powalony i zdruzgotany! Po powrocie do równowagi i po przetrawieniu zaserwowanej duchowej strawy, doświadczenie z panem Melchiorem w skrytce mej pamięci ulokowałem obok niedawnych doznań wyniesionych z elitarnego środowiska uczonych pedagogów pewnej uczelni z innego miasta, gdzie środkiem konsolidacji badawczego zespołu była

totalna negacja, lekceważenie i kpina z twórców teorii konkurencyjnych. Oba światy oddzielał od siebie tylko język. Naukowcy używali innej, bardziej wysublimowanej gamy epitetów. Pisarz – jak przystało na rasowego reportera – dał wyraz znajomości bogactwa języka naszego ludu kochającego walić mięsem między oczy. Dziś próbki tego stylu ujawniają przecieki nagrań służb specjalnych, w całym majestacie prawa podsłuchiwanej elity naszych polityków.

Obraz 2.

Ryszard Peryt, jeden z filarów moich zielonogórskich Makusynów, późniejszy reżyser wszystkich oper Wolfganga Amadeusza Mozarta wystawianych w Warszawie, po ukończeniu szkoły teatralnej z grupą koleżanek i kolegów wyjechał do Puław, gdzie w domu kultury tamtejszych zakładów chemicznych założyli eksperymentalny teatr. Projekt spotkał się z życzliwym zainteresowaniem prasy i do Puław zaczęli przyjeżdżać nie tylko recenzenci teatralni z redakcji licznych czasopism, ale także autokary rozbudzonej artystycznie młodzieży. Peryt przysłał mi zaproszenie na premierę jednej z reżyserowanej przez niego sztuk i wybrałem się do Puław. Po premierze w mieszkaniu naszego dzielnego i ambitnego twórcy spotkałem się z liczną grupą gości, których gospodarz mi przedstawił jako elitę warszawskiej młodzieży katolickiej. Oczekiwałem, że ten kwiat młodych intelektualistów stolicy oczaruje mnie subtelną analizą problemów, jakie niosło dopiero co obejrzane dzieło Ryśka i jego grupy. Gdzie tam! Nie to ich interesowało. Z pasją rozprawiano wyłącznie o polityce. Z ust elity popłynęła rzeka najbardziej prymitywnych czarno-białych ocen aktualnej sytuacji przypominających mi słyszane na „falach eteru" polskiego radia na przełomie lat czterdziestych-pięćdziesiątych felietony – agitki autorstwa słynnej Wandy Odolskiej. Oczywiście z odwróconymi znakami. Niczym pan Melchior zaprezentowali swą miłość siebie, zionąc pogardą do innych w stopniu, który nijak nie mieścił mi się w głowie z pojęciem „elity młodzieży katolickiej". Z ich ust i gestów zionęło przyprawione nienawiścią szyderstwo i wrogość do myślących tak, jak ja. Sterroryzowany klimatem rozmowy nie odważyłem się nawet odezwać. Po raz kolejny słowo „elita" zderzyło się w mej jednostkowej świadomości z doznaniem bardzo przykrego zaskoczenia.

Obraz 3.

Po moim powrocie do Witnicy spotkałem kolegę z witnickiego gimnazjum, jakie istniało tu w latach 1945-1948. W wyborze życiowych dróg, stojąc wobec alternatywy „być czy mieć", wybrał to drugie. Jako producent przetworów warzywnych zaliczany był do elity ekonomicznej miasteczka. Zbudował sobie wieżę z kości słoniowej w postaci willi z marmurowymi schodami i z jej piętra ocenił mnie w kategoriach godnego politowania życiowego bankruta, do którego słowo elita pasuje jak pięść do nosa: „I czego się dorobiłeś? Straciłeś życie! Jesteś nikim".

Skłonny jestem sądzić, że sedno problemu elit tkwi w tym, że zarówno ja, jak i wręcz każdy inny mieszkaniec mojego miasteczka uważa się także za mieszkańca takiej wieży. Czujemy się członkami śmietanki towarzyskiej swego światka. Światka ludzi nam bliskich.

Każdy więc ma prawo do celebrowania swej godności i z tego prawa korzysta. Nawet pan Kufelski stojący od rana z kolegami pod sklepem z prawem wyszynku, zarówno ze względu na swoją ponadprzeciętną silną głowę, jak i przejawianą zaradność w zdobywaniu środków, w swym środowisku zaliczany jest do elity.

A ja zaliczam się w mych oczach do elity inteligenckiej mojej Witnicy. Mogę to nawet udowodnić „czarno na białym" stosownymi dokumentami! Mam jednak pełną świadomość tego, że poza niewielką grupą koleżanek i kolegów doceniających moje poczynania, jest w mieście grupa inteligentów, których to, co robię, w ogóle nie interesuje, a u innych wywołuje wzruszenie ramion. Funkcjonują w innych strukturach życia lokalnego i co innego jest dla nich wartością.

Tak więc gdy zaliczamy się sami do kategorii elity, jakże często przekonani o swej wyższości wobec innych, skłonni jesteśmy patrzeć na pozostałych z poczuciem w najlepszym wypadku tolerowania, jeśli nie lekceważenia ich zachowań, a gdy spadnie z nas maska bon tonu i damy upust naszym zachowaniom spontanicznym, obdarzamy ich uczuciem mniej czy bardziej dosadnie wyartykułowanego traktowania *per nogam*, według wzoru zaprezentowanego przez Lecha Wałęsę w znanej telewizyjnej debacie z Aleksandrem Kwaśniewskim.

Wspomnienie z Zielonej Góry z lat 60.: idę ulicami miasta z redaktorem Leszkiem Zielińskim. Po drodze

dostrzegam leżącego w rynsztoku kloszarda, na którego zareagowałem żywiołowo: „Zeszmacony pijaczyna". Leszek przystanął i skierowawszy na mnie ostre spojrzenie, odparł, silnie akcentując słowa: „Tu nie leży zeszmacony pijaczyna. Tu leży człowiek". To była bardzo ważna lekcja. Pamięć tego zdarzenia utrwaliła się we mnie na całe dalsze życie, nabierając rangi swoistego punktu odniesienia ilekroć nachodzi mnie ochota łatwego ferowania ocen zachowań bliźnich. Wyjaśnia także tonację i akcenty występujące w tym tekście.

Dlatego nie lubię słowa elita. Ma ono dla mnie posmak samouwielbienia i chorobliwej miłości własnej. Traktuję je w kategoriach pofeudalnej czkawki. Ludzie zaliczający siebie do tej grupy zazwyczaj uchodzą w swych oczach za współczesnych jaśnie wielmożnych: arystokratów ducha i intelektu. W ich jaśniepańskim stosunku do swego otoczenia ukrywa się postawa łatwego, dyktatorskiego, autorytarnego narzucania innym swych wartości, gustów, ocen i poglądów. Postawa ideowo ubrana w szlachetnie brzmiące deklaracje szczerości i odwagi mówienia prawdy. Bo taki jestem szczerzy, że co w głowie, to na języku! Bo prawda jest oczywiście po mojej stronie.

Rozwój cywilizacji technicznej spycha na margines społecznego życia inteligencję z jej snem o potędze jako elity i sumienia milionów, o których rząd ongi wznosiła modły. Póki żywe były wzorce feudalizmu z jego uporządkowanym hierarchicznie społecznym światem, poczucie zajmowania swego miejsca w szeregu było respektowane. Dziś szlachcicem na zagrodzie równym wojewodzie jest każdy potencjalny wyborca i płatnik podatków. Wolę więc w opisie omawianego zjawiska w miejsce wartościującego pojęcia elity, w którym tylko o krok od odrzucenia i pogardy wobec tych, którzy się nie załapali na przydziały mieszkań w wieżach z kości słoniowej, posłużyć się opisową kategorią merytorycznego, duchowego czy ideowego przywództwa. Albo odwoływać się do określenia „osoba znacząca" w swym środowisku. Przywództwa z jego dynamizmem wzrostu i upadku. Przywództwa występującego na różnych poziomach grup społecznych: środowiskowych, lokalnych, regionalnych, krajowych, kontynentalnych. Przywództwa niedającego jednak prawa do lekceważenia innych z tytułu przyznanego sobie, wywalczonego czy nadanego miana olimpijczyka, lub przewodzenia grupie statystycznie większej. Tak jak to na przykład ma miejsce w trwającym sporze o prawo zawieszania krzyży w szkołach publicznych, kiedy katolicy powołując na to, że stanowią większość, narzucają innowiercom swą wolę. W imię współczesnego pojmowania kategorii godności ludzkiej i praw każdego człowieka, wszelką próbę hierarchizowania tego przywództwa, które dawałoby prawo lekceważenia lub pogardzania innymi dlatego, że reprezentują poziom niższy, uważam za zło.

Odnoszę także wrażenie, że nadchodzące czasy wymuszają na dotychczasowych mieszkańcach wież z kości słoniowej zejście z nich na ziemie. Zejście, by – odwołując się do wspomnianej terminologii geodezyjnej – w miejsce sytemu osnowy wysokościowej jako paradygmatu opisu rzeczywistości i znalezienia sobie w niej miejsca na miarę przejawianych aspiracji, przerzucić się na system osnowy poziomej. Pozwoli to na zmniejszenie dystansu wobec innych. Dystansu tak sprzyjającego demonizacji czy pomniejszania partnera interakcji czy uczestnika sporu. Zejście na ziemię sprzyja zdystansowaniu się wobec swych poglądów i czynów, co uważam za podstawowy mechanizm procesu uczłowieczania siebie.

W mym długim życiu nauczyciela i mieszkańca „prowincji" nauczyłem się patrzeć i opisywać otaczający mnie świat przede wszystkim w perspektywie żabiej, w schemacie poznawczym znaków zbliżonych do owej geodezyjnej struktury poziomej. Nie rezygnując jednak z tego, by od czasu do czasu dla zachowania proporcji spojrzeć na moich uczniów i sąsiadów bliższych i dalszych także z perspektywy wieży naszego kościoła czy nawet z okna samolotu. I ta perspektywa nakazuje mi, bym „narcyzów" wziął w obronę.

Kiedyś oburzał mnie ich horyzont myślowy ograniczony tylko do własnej rodziny i ogrodzonej płotem ich zagrody i zupełnej obojętności na to, co za tym płotem się dzieje. Po latach mogłem stwierdzić, że ich dzieci w szkole były zadbane i dobrze sobie radziły z nauką. Mogłem stwierdzić także, iż ich wypielęgnowane samolubnym egoizmem chaty układają się w szereg zadbanych ulic będących dumą miasta.

Moja ich obrona dotyczy także problemu poszukiwania odpowiedzi na pytanie: kto komu daje prawo przybijania innym „stempelka na łeb" z piosenki Bułata Okudżawy z piętnem samolubów czy tępaków? Kto komu daje prawo podczas dyskusji

używania kategorycznego, pełnego pychy zwrotu należnemu Wszechwiedzącemu w brzmieniu: „masz rację" zamiast „podzielam twój punk widzenia" czy *vice versa*?

Nie mam więc w tych sprawach tyle pewności siebie, ile mieli i mają nasi poeci, duchowni czy politycy wyrokujący tak łatwo i tak lekko miotający gromami potępienia. Może jest to wynik mego „zamroczenia" starczym wiekiem? Z punktu widzenia poety, w jego zrozumieniu tego słowa bez wątpienia tak. Ja jednak wolę to nazwać zamroczeniem wyniesionym z doznanych lekcji. Zamroczeniem, które przystoi starości jako przejaw życiowej mądrości wyniesionej z doświadczenia epoki, w której tak dużo mieli do powiedzenia apostołowie jedynych prawd formułowanych przez elity kolejnych artystycznych mód, naukowych paradygmatów czy politycznych doktryn.

Jeżeli już mam mówić o swoim zamroczeniu, rozumianym jako stan mych obecnych poglądów i przejawianych życiowych postaw, to było to zamroczenie darem natury w postaci predyspozycji lub ich braku. Zamroczenie wzorcami kultury, w której się ukształtowałem, osobowością i poglądami ludzi, których uznałem za moje autorytety. Było to zamroczenie pokoleniowymi doświadczeniami, wśród których był między innymi rok 1939 i rok 1945. Były lata 1950, 1956, 1968 i 1989. Mogę powiedzieć także, iż zamroczył mnie Tadeusz Kotarbiński swą pochwałą filozoficznego relatywizmu – gwaranta dystansu wobec siebie. Dystansu spełniającego funkcję szczepienia ochronnego przeciw dyktaturze brzemiennych zbrodnią i terrorem jedynych wykładni dobra, prawdy i piękna, których głoszenie prawem kaduka, prawem osobistej samowoli lub samowoli grupy odniesienia, elity sobie przyznawały. Gdy zatem zastąpię słowo elita pojęciem przewodzenia grupie zwolenników, wyznawców czy fanów, wtedy wobec łatwej weryfikacji tej kategorii pryska balon Narcyza z wieży z kości słoniowej, któremu do życia niepotrzebni są inni, by mógł prawdy o sobie szukać w ich oczach. Wystarczy lustro.

Więc z „wyżyn" tego starczego zamroczenia mogę już nie z pogardą i nie z lekceważeniem, ale z pobłażliwością zabarwioną dozą smutku, że tak już być musi, bo „świat już od dawna taki wszak", pokiwać głową, gdy patrzę, jak nowe pokolenie młodych gniewnych wspina się na ową wieżę z apartamentami zarezerwowanymi dla świata elit, z basenem umożliwiającym pławienie się w rozkoszy samouwielbienia, z kluczem do sejfu wszechwiedzy i władzy miotania gromami potępienia. Smutku, że przez to, jak przez dziecięcą chorobę – odrę, każdy ambitny człowiek musi przejść.

Problem tylko w tym, by w niej nie zwapniał i w porę z niej czmychnął, rezygnując z funkcjonowania w systemie sieci osnowy wysokościowej, by na stałe umiejscowić się w strukturze osnowy poziomej. Wśród ludzi. Poskramiając w sobie tak głęboko tkwiącą w pokładach miłości własnej pogardę do innych. By miłość siebie harmonijnie połączyć nie z ideami, w imię których tak wielu tak łatwo skłonnych jest traktować innych w kategoriach środków, ale by tę miłość siebie zespolić z dobrem swej grupy. Oby nie pasożytniczej.

Eugeniusz Kurzawa

Polska elita w wazelinie

Pisarz powinien stać po stronie słabszych. To chyba stwierdzenie Borgesa. W każdym razie ważne i uniwersalne. Poeta, intelektualista, dziennikarz, człowiek myślący, powinien stać po stronie nie tylko słabszych, ale i rozsądku, rozumu. Posiadać minimum krytycyzmu.

W tygodniku „Przegląd" opublikowano jakiś czas temu tekst pt. *Noamowi Chomsky'emu na 80. urodziny*. Bardzo dobrze, że redakcja zauważyła rocznicę i tę postać! Pokazała czytelnikom niezależnego intelektualistę światowego formatu, potrafiącego publicznie głosić swe poglądy bez względu na koniunkturę! W odróżnieniu od wielu naszych mędrków dyżurnych (podających się za członków elit), błyszczących może w telewizjach, ale zaściankowych w swej postawie, gdyż ich horyzonty zamykają się w miejscu, gdzie kończą się wpływy USA jako państwa i nośnika niektórych politycznych mód... Drugim ogranicznikiem horyzontu myślowego polskich „elit" jest trzeźwy punkt widzenia w sprawach Wschodu, Rosji, Chin; kwestia nie do przeskoczenia. Pomiędzy tymi zewnętrznymi wyznacznikami ograniczeń jest bardzo solidna blokada wewnętrzna elit, a stanowi nią krytyczny stosunek do niektórych pomysłów i postaw Kościoła rzymskokatolickiego w Polsce.

Noam Chomsky – to tylko jeden z przykładów jego wyrazistych poglądów – głosi, iż Stany Zjednoczone są czołowym państwem... terrorystycznym, „Powołując się przy tym – jak przytacza autor publikacji, Stefan Zgliczyński – na definicję terroryzmu sporządzoną przez armię amerykańską". Czymże bowiem, jak nie terroryzmem, jest stosowanie gróźb wobec słabszych krajów, państwowy szantaż (przykład Jugosławii, Afganistanu, Iraku, Iranu, Korei Pn., krajów Ameryki Południowej *etc.*), wreszcie atak na wybrane państwa na podstawie wymyślonych zarzutów.

Zgliczyński przytacza w swym tekście fragment wywiadu Artura Domosławskiego z Chomskym (*Ameryka zbuntowana*, Warszawa 2007), który pokazuje też sposób myślenia także niektórych europejskich, w tym wielu polskich, pożal się Boże, intelektualistów (choć wypowiedź odnosi się do ludzi z mediów amerykańskich). Chomsky powiada tak: „Niech pan spyta swoich kolegów z amerykańskich mediów czy przyszło im na myśl, że najeżdżając na Irak Stany Zjednoczone popełniły zbrodnię – jedną z tych, za które naziści zawiśli w Norymberdze. Nie pomyślą też, że Stany Zjednoczone są jednym z głównych państw terrorystycznych, nawet jeśli (nie) zostały potępione przez innych członków Rady Bezpieczeństwa za terroryzm". I jako uzupełnienie kolejne zdanie: „Tam gdzie demokracja jest w zgodzie z bezpieczeństwem i interesem Ameryki, tam Stany Zjednoczone lansują demokrację. Jeśli zaś demokracja ściera się z innymi, ważniejszymi interesami, jest bagatelizowana, a nawet ignorowana".

Chomsky, człowiek z nazwiskiem i uznanym dorobkiem naukowym, jest piekielnie niewygodny nie tylko dla kolejnych rządów USA, ale i zaoceanicznej tzw. opinii publicznej, która niejednokrotnie reaguje na rozmaite wydarzenia polityczne u siebie i w świecie niczym stado baranów (prowadzonych przez wspomniane media). Zwykle „głos ludu"

sprowadza się tam do popierania na arenie światowej posunięć rządu USA. Jakiekolwiek byłyby głupie, a nawet zbrodnicze. Lecz czy nasz „głos ludu" mocno się różni od tego za Atlantykiem? Nie bardzo. Ów brak krytycyzmu zawdzięczmy polskim mediom, polskim elitom, polskim rządom. Nie dziw, że w Europie przylgnęła do Polski opinia „osła trojańskiego" USA.

Opinie Chomsky'ego są trzeźwe i ostre jak brzytwa, dlatego strach (nie tylko za oceanem) o nich dywagować w głównym nurcie publicznym i lepiej nie wspominać o nich w mediach. Szkoda, iż nie mamy swego Chomsky'ego. Być może na polskim gruncie można Noama Chomsky'ego porównać do odważnie występującego pod prąd wytartych sądów prof. Bronisława Łagowskiego z Krakowa, felietonisty „Przeglądu", choć nie ma on tak medialnego nazwiska, jak profesor z USA. Na szczęście jest kilkoro trzeźwych ludzi w Polsce, na pewno można o nich powiedzieć: prawdziwa elita. Zdecydowanie wypada przypisać im taki walor jak niezależność sądów, samodzielność myślenia. Tyle że nie zaprasza się ich do studiów telewizyjnych, żeby za bardzo nie nagłaśniać niewygodnych poglądów.

Zastanawia, dlaczego polscy tzw. intelektualiści, od których z definicji wymaga się krytycyzmu, ostrości spojrzenia, mogą mieć aż tak zamglone oczy, że nie potrafią zobaczyć w pełnym wymiarze różnorakich zdarzeń (politycznych, historycznych, społecznych) i zdystansować się wobec nich. Dlaczego nie umieją zabrać krytycznego głosu, jak też przewidzieć w porę przed niemądrym zdarzeniem, dalszego biegu sprawy (chodzi zwłaszcza o decyzje polityków odnoszące się do całego kraju, powiedzmy – udziału Polski w wojnach). Przecież przenikliwość mieści się wśród cech elity intelektualnej.

Weźmy taki przykład. Pamiętne było oburzenie polskich mediów, zwłaszcza „świętej" „Gazety Wyborczej" (która ma zawsze pełne usta demokracji), gdy publicysta tygodnika „Nie" i wówczas poseł, Piotr Gadzinowski (zdaje się, iż wspólnie z kimś), pojechał do Jugosławii końca lat 90., żeby przyjrzeć się sytuacji w tym kraju podczas lub po ataku NATO. Chciał poznać punkt widzenia drugiej strony, zobaczyć skutki bombardowań z bliska. To chyba oczywiste, gdy chce się zabrać głos w skomplikowanej sprawie. W Polsce i w Europie serwowano wtedy jako jedyny wiarygodny głos rzecznika prasowego NATO, pokazywano jego wystąpienia w licznych telewizjach europejskich.

Po czasie okazało się, iż NATO i jego rzecznik, pani sekretarz stanu USA i jeszcze sporo innych osób „zamieszanych" w wojnę, mówiąc delikatnie, „mijało się z prawdą": nie było ludobójstwa Albańczyków w Kosowie, co stanowiło pretekst do agresji. Zapewne koncernom zbrojeniowym i generałom paliło się do wojny, chodziło „tylko" o wypróbowanie amerykańskiej broni (*notabene* – stosowano niedozwolone środki), zaś cywilni politycy mogli udowodnić Jugosławianom „kto tu rządzi".

Gdzie w tym całym zamęcie wojennym, albo chociażby już po wojnie, po ustaleniu podstawowych prawd, były nasze elity? Gdzie zapisano ich głos? Dlaczego (ponadto) nie domagały się ingerencji zbrojnej wcześniej, gdy deklaracje polityków europejskich spowodowały rozpad Jugosławii i wzajemne krwawe napaści na siebie mieszkańców byłych jugosłowiańskich republik?

Zadaniem elit jest myślenie i ocena; w powyższym wypadku należało przewidzieć, iż rozpad największego państwa w bałkańskim kotle spowoduje wojnę domową. Czy do tych niedobrych doświadczeń należało jeszcze dokładać brutalny atak zewnętrzny na jeden z krajów byłej Jugosławii? Przecież wiadomo, iż fizyczna napaść niczego nie załatwi. Poza zniszczeniami, poza utratą życia mieszkańców. A że siła była po stronie NATO, wynik ataku był łatwy do przewidzenia. Po czyjej stronie powinien być w tym momencie (i potem) intelektualista, członek elity? Powinien poprzeć agresję wojskową?! A takie odczucia dominowały w Polsce.

Popatrzmy na skutki agresji. W efekcie tej awantury serbski (czy wtedy jeszcze jugosłowiański) przywódca Miloszewicz stanął przed sądem. A Clinton, inspirator ataku, winny setek zabitych – nie. Dlaczego? I co pozwoliło NATO (*de facto* USA) zaatakować Jugosławię? Domniemane ludobójstwo (to prawda, zabito ok. 400 Albańczyków, ale nie tylko ich)? Można oczywiście przyjąć za międzynarodową zasadę, iż w razie ludobójstwa (czy innego *casus beli*) NATO lub ONZ wkracza do akcji. Dlaczego jednak NATO nie wkroczyło między wyżynających się Hutu i Tutsi w Afryce Środkowej? Żeby przytoczyć jeden z dziesiątków możliwych przykładów.

W tym momencie prawdziwy intelektualista, także krytyczny dziennikarz powinien publicznie zapytać się polityków, dlaczego stało się właśnie tak, jak się stało (w Jugosławii)? Czy to było potrzebne

i sprawiedliwe? I rozsądne? Co przyniosło w efekcie? Trwały pokój? Lepszą Europę? Raczej nie. Wiadomo, ostatecznie utworzono atrapę państwa – Kosowo. Które spora część państw „proamerykańskich" uznała, ale część nie uznała. Pośrednim skutkiem posunięcia było utworzenie nowych państw na Wschodzie – Abchazji i Południowej Osetii. Te organizmy państwowe, jak wiadomo, „są niesłuszne". Znowu pytanie: dlaczego?

Dlaczego, zapytajmy zatem, nie sądzimy USA (nawet moralnie, w czym Polacy się specjalizują) za napaść na Irak, na Afganistan, na dziesiątki innych krajów. Za setki niemoralnych czynów? Za publiczne kłamstwa, oszustwa? Cóż to za elity – mowa o polskich – co potrafią krytykować Rosję, Chiny i inne kraje wskazane przez Wielkiego Białego Brata, a nie widzą belki w swoim oku?! Odpowiedź wydaje się prosta: łatwiej, ba, lepiej, stać za silnymi. To nic nie kosztuje, a wazelina może się przydać.

Powyższy szkic, wbrew pozorom, nie został napisany przeciwko USA. Po prostu jest to w tej chwili najsilniejszy kraj, który, co oczywiste, staje się punktem odniesienia i krytyki w różnorakich (w tym także zawinionych przezeń) sytuacjach. Ponadto egzemplifikacje „z udziałem" USA są dość jasne i wyraziste w kraju ponoć najbardziej proamerykańskim w Europie (a może i na świecie). No i jako dobry punkt wyjścia do dywagacji o elitach pojawił się amerykański uczony N. Chomsky. Ale to nie znaczy, iż nie ma innych pól, na których polska elita przegrywa swoją niezależność i siłę. To oczywiście kontekst Kościoła rzymskokatolickiego, który wymagałby oddzielnych rozważań.

W Polsce, niestety, wyraźnie brak ludzi, którzy zechcieliby stawiać niewygodne pytania i wchodzić w trudne problemy! Albo może delikatniej: nie widać takich osób. A może nie mają dostępu do środków masowego przekazu? Ani elity intelektualne, ani dziennikarze, ani specjaliści nie zadali bowiem sobie i autorytetom, innym specjalistom, politykom trudu rozwikłania podobnych jak przytoczone zagadnień. Chyba że zadali, lecz pytania, a odpowiedzi nie poszły w eter? Też możliwe. Wówczas jednak należałoby oczekiwać ujawnienia (zwłaszcza w kraju przecieków, jakim zdecydowanie jest Polska), kto zakazał emisji programu, kto kazał cenzurować „niezależne" stacje telewizyjne, prawda? Tego nie doczekaliśmy się.

Co zatem myśleć o naszych elitach, o tzw. intelektualistach, którzy nawet bez wazeliny, hmmm... popierają władze (zwłaszcza te prawicowe) i co charakterystyczne, bardziej może rządy USA niż własne? A także, bo to „oczywiste", Kościół rzymski i jego różnorakie posunięcia oraz poglądy. Jak traktować autorytety, które nie potrafią się zdobyć na jedno chociażby – ale publiczne – krytyczne zdanie wobec absurdów życia społecznego, idiotyzmów lansowanych przez media, wobec „chorych" postaci sceny politycznej? Jak oceniać elity zgadzające się na to wszystko i jeszcze popierające wykrzywianie, nie wiadomo w imię czego, naszej historii i świadomości? Ba, kłamiące w żywe oczy, nawet pod przysięgą. Mówić, że nie mają honoru? To raczej większości nie dotyczy, choć stwierdzenie zapewne oburzy...

A przecież można inaczej. Można być wrażliwym, krytycznym, niezależnym. Są takie przypadki. Zatem dzięki Bogu – gdyby takowy istniał – za Noama Chomsky'ego.

5-7 listopada 2009

Rafał Krzymiński

Nowe elity pieniądza

Trudno jest rozmawiać o elitach bez uwzględnienia czynnika ekonomicznego. Trywialnym jest twierdzenie, że w gospodarce rynkowej decydującą rolę odgrywa kapitał. Przedsiębiorcze jednostki, które potrafią go pomnażać, zajmują wyższe miejsce w hierarchii społecznej. Jedną z lekcji realizmu gospodarczego odebrałem ładnych kilka lat temu od merkantylnie usposobionej ciotki. Byłem wówczas początkującym studentem. Podczas nudnego zjazdu rodzinnego wdałem się w dyskusję o roli pieniądza we współczesnym świecie. Wygłosiłem płomienne przemówienie, w którym podważyłem nośne społecznie tezy o konieczności gromadzenia dóbr materialnych. „Niektórzy ludzie żyją skromnie i są przy tym szczęśliwi" – spuentowałem na koniec. Ciotka zareplikowała, trawestując słowa znanej piosenki: „W życiu piękny jest tylko szmal i bal". Całą kwiecistą orację, obfitującą w wyrafinowane ozdobniki językowe i kunsztowne metafory, moja interlokutorka skwitowała banałem ku uciesze większej części biesiadników, najwyraźniej zachwyconych jej „błyskotliwym" poczuciem humoru. Próbowałem się bronić, dezawuując populistyczne porzekadła ludowe. Natrafiając na mur obojętności, sprowadziłem rozmowę na inne tory i pochwaliłem się własną twórczością literacką: „Spełniam się. Jestem szczęśliwy, kiedy piszę. Twórczość to katharsis dla duszy". „A co ty z tego masz? Ile ci płacą ze te twoje bajki?" – spytała ciotka. „Nic. Póki co tworzę dla przyjemności. Kto wie, może kiedyś coś na tym zarobię?" – odpowiedziałem. „Chyba guza. Elyta za dyche" – skonstatowała ciotka.

Jej pogardliwa uwaga dała mi do myślenia. Pierwszy raz na poważnie podjąłem refleksję nad rolą elit w życiu społecznym. Czyżby materialny status decydował o przynależności do grupy wybranych? Jaka jest jej struktura społeczna? Kto decyduje o tym, co jest, a co nie jest elitarne? Czy reprezentant elity może chodzić w podartych butach?

Czy chcemy tego, czy nie, żyjemy w epoce materializmu i hedonizmu, dlatego najważniejszą wartością, która nam przyświeca, jest pieniądz odmieniany przez wszystkie przypadki. Tymczasem według ostatnich badań grupy badawczej Synovate, współczesna młodzież na pierwszym miejscu stawia rodzinę i miłość. Poza tym dla młodych liczy się przyjaźń, uczciwość, godność i bezpieczeństwo socjalne. Czyżby odwrót od wyścigu szczurów, w którym od dawna uczestniczą ich starsi koledzy? A może zarzewie nowej neohipisowskiej rewolty przeciw plastikowemu społeczeństwu hipermarketów i galerii handlowych? Może. Nie można jednak wykluczyć, że ów raport odrobinkę zafałszowuje rzeczywistość i kreuje fakty w przestrzeni społecznej. Inne badania wykazały bowiem, że największym autorytetem wśród nastolatków cieszą się tzw. celebryci: Szymon Majewski i Kuba Wojewódzki. Obaj raczej nie korzystają z pomocy opieki społecznej. Telewizja kształtuje świadomość. Wobec drobnych cwaniaczków, co dorabiają się na lewo, opinia publiczna na ogół jest łaskawa.

Na szacunek ciężko za to zapracować niedocenianym nauczycielom. Na licznych forach internetowych przedstawiciele, było nie było, elitarnego

zawodu nazywani są leniami (z uwagi na długie wakacje) i nieudacznikami (ze względu na niskie zarobki). Prawdą jest, że ostracyzm w sieci bywa okrutny także wobec pięknych i bogatych, a internetowe trolle – jak nazywani są szczególnie agresywni użytkownicy sieci – nie wyznaczają standardów w życiu publicznym. Nie mniej jednak stereotyp sfrustrowanego belfra jest dość mocny. Trudno szanować kogoś, kto nie zaszpanuje autem z górnej półki. Stosunek do nauczycieli przekłada się na stosunek do elit w ogóle. Dla przeciętnego Polaka: elity polityczne są skorumpowane, naukowcy działają pod dyktando biznesu, a artyści są niemoralni. Profesorowie wyższych uczelni uchodzą za przemądrzałych. Partia polskiej inteligencji, Unia Wolności, istnieje już tylko w leksykonach politologicznych, bo dla polityków tej formacji *vox populi* nie był najwyższym nakazem. Polskie społeczeństwo mentalnie i ideologicznie jest antyelitarne. Mimo tego elity pieniądza trzymają się mocno. Jak to możliwe?

Sceptycy słusznie zauważą, że lud jest nieufny wobec klasy wielkich biznesmenów. Niechęć do prywatyzacji była przecież jedną z przyczyn opóźnień wielkiego projektu modernizacji polskiej gospodarki po 1989 r. Opinia publiczna jest też szczególnie wrażliwa na afery korupcyjne. SLD po aferze Rywina nie może odzyskać dawnej pozycji na scenie politycznej. Kłopoty ma też rządząca obecnie PO. Już samo podejrzenie polityków tej partii o niejasną grę interesów przy okazji prac nad ustawą o grach losowych i zakładach wzajemnych spowodowało polityczne trzęsienie ziemi. Elity pieniądza są odporne na bieżące zawirowania polityczne czy światowy kryzys gospodarczy. Społeczeństwu na dorobku bez trudu narzuciły własną wizję świata. Zajęły niszę, która jest atrakcyjna dla narodu, który w skrytości ducha wierzy w powtórkę American Dream w polskim wydaniu. Promowany przez nie konsumcjonizm w największym uproszczeniu sprowadza się do szaleńczej pogoni za karierą, sukcesem i co za tym idzie pokaźną kolekcją dóbr materialnych. Członkami tak zdefiniowanej elity są zarówno malarz pokojowy, prowadzący jednoosobową firmę, jak i prawnik. Elita ta nie ma żadnej formalnej struktury, jej siła pochodzi z nas samych. Ulegliśmy fetyszowi mamony.

Pasowanie na wzorowego konsumenta odbywa się jeszcze w brzuchu matki. Tuż przed przecięciem pępowiny dziecko jest zapisywane do renomowanego przedszkola. Wyprawka dla potomka też musi być z najwyższej półki. Szkoła podstawowa powinna zajmować wysokie miejsce w rankingach placówek edukacyjnych. W przeciwnym wypadku dziecko *a priori* skazane jest na życiowe niepowowodzenie, bo nie odnajdzie się na rynku pracy za kilkanaście lat. Pierwsza Komunia to okazja do lansu. Trzeba pokazać wysoko postawionym znajomym, że stać nas na quada, skuter czy laptopa, a może i przyjęcie w hotelu Marriott. Liceum to już przepustka do świata wielkich pieniędzy. Ewentualna porażka na tym szczeblu nauczania niechybnie wiązałaby się z perspektywą wyjazdu na popularny wśród absolwentów polskich uczelni zmywak. A dalej to już rutyna: setki dodatkowych zajęć, trzy języki obce, taniec, jazda konna, gra na akordeonie i korespondencyjny kurs spadochrononowy. Modne studia na modnej uczelni lub kupiona magisterka na pseudouniwersytecie. Cel jest ten sam: ciepła posadka, domek z ogródkiem rozłożony na trzydzieści lat, wakacje w Egipcie i złota karta kredytowa. W wersji dla mniej obrotnych: dobrze wyposażone mieszkanie, urlop nad polskim morzem i dostęp do dziesiątek kart płatniczych.

Rzecz jasna nie ma nic złego w uczciwym zarabianiu pieniędzy i dążeniu do samorealizacji. Nie chodzi o oto, aby iść za głosem Henryka Goryszewskiego, działacza ZCHN, dla którego „Polska może być biedna, byle była katolicka". Asceza i kult ubóstwa we współczesnym świecie też nie mają racji bytu. Można nawet dowodzić, że apologeci ideologii konsumpcyjnej naśladują trendy globalne. Wydaje się jednak, że na tzw. salonach nie może się przebić pogląd występujący w obronie alternatywnego stylu życia. A ci, którzy się wypowiadają z pozycji kontrsystemowych, uchodzą za nieszkodliwych wariatów albo niespełnionych życiowo frustratów. Przecież autsajderzy z branży muzyczno-rozrywkowej zawsze kwestionowali porządek światowy. A ich protest songi często służyły celom autopromocyjnym lub były formą artystycznej prowokacji. Alterglobaliści co prawda uwrażliwiają społeczeństwa na realne problemy współczesności, chociażby dysproporcje w rozwoju gospodarczym między Północą i Południem czy globalne ocieplenie. Ale to niebezpieczni chuligani. Tak czy owak oszołomów i anarchistów nikt nie słucha, bo kto by słuchał ekstremistów? Intelektualiści też powinni zamilknąć, bo ich czas minął. Wiara w postęp ma się dobrze. Rząd wysyła sześcio-

latków do szkoły, aby nie były gorsze od swych europejskich kolegów.

Przypomniała mi się koleżanka ze szkoły średniej. W dzieciństwie zaznała biedy, dlatego wciąż mówiła o pieniądzach. Śmiała się z biednych wykształciuchów, a chwaliła sąsiada z bloku, który po zawodówce dorobił się dobrego samochodu. To alegoria polskiego społeczeństwa, tworzącej się klasy średniej. Jej aspiracje sięgają wyżej, znacznie wyżej. Celem dowartościowania dla potrzeb tego tekstu nazwałem ją „elitą finansową".

Martin Luther King miał kiedyś wielki sen. Mnie wczoraj przyśniło się państwo idealne, w którym słowo elita odzyskałoby dawną moc i chwałę. W jej skład wchodziliby ludzie mądrzy. Tacy, co patrząc w gwiazdy, widzą nie tylko płatną autostradę na drodze mlecznej. Chyba jestem pięknoduchem.

Stanisław Turowski

Elity elit

Elity – o jakich by nie mówić – to temat „dostojny". A i niewdzięczny. Kto należy do elity, czyli do osób szczególnie szanowanych, w środowisku pracy, w otoczeniu społecznym szeroko rozumianym? To osoba w danym skupisku ludzkim jaskrawo wybijająca się pod jakimś względem, służąca innym za wzór, podziwiana. Myślimy wtedy o tych najlepszych z nas, którzy funkcjonują na najwyższym pułapie, na uniwersytetach, na przykład na wysokich szczeblach władzy, w stolicy kraju, w dużych miastach, w aglomeracjach, o tych, co są faworyzowani w mediach. W pierwszych chwilach – przy głośnym nazwisku – nie rozpatrujemy zasadności kreowania...

Prowincja

W poniższych rozważaniach bliżej zajmiemy się elitami terenowymi, gminnymi, powiatowymi. Takowe przecież też istnieją. Chociaż teraz posługiwanie się określeniem „prowincja" w znacznym stopniu traci sens, bo po radiu, telewizji, telefonie komórkowym, internecie odległość kilkuset kilometrów wydaje się przestrzenią „podwórkową". I tysiące kilometrów nie stanowią problemu przy komunikacji lotniczej czy dla przesyłania dźwięku, obrazu. Obecnie prowincja (prowincjonalność) to właściwie tylko miejsce zamieszkania, daleko (w kilometrach) od stolicy, od wielkich miast; ewentualnie specyficzna mentalność. Dla życia intelektualnego tego typu sytuacja ma coraz mniejsze znaczenie. Prowincję możemy tworzyć lub ją reformować, tam, gdzie akurat jesteśmy, w dowolnym punkcie naszego globu. Dla publikowania owoców wysiłku twórczego – „nadawanie" z prowincji to nie kłopot. Problem w tym, by z naukowcem, pisarzem, malarzem chciano współpracować. Prowincję mamy w sobie (lub jej już nie mamy, czasem prawie od zawsze – kwestia wychowania). W istocie – liczą się odległości, nie te fizyczne, kilometrowe; liczą się odległości duchowe, intelektualne.

Na ile zasłużenie pewnym osobom przyznajemy nadzwyczajne splendory? Gdzie są granice między talentem, solidnością, gigantyczną pracą, nad dziełami, dla innych, heroicznym trudzeniem się z sobą a blichtrem (też ważnego, ale czy najważniejszego...) pieniądza? Trudno zdecydowanie stanąć po jednej stronie. I pewnie nie jest to konieczne. Może wystarczyłaby kwestia rozsądnych proporcji...

Warunki elitarności

Przy ocenianiu elit dopuszczamy się czasem nadużyć. Mimowolnie nieraz. Dla wielu z nas – ktoś się bardzo wyróżnia już wtedy, gdy ma wyższe wykształcenie, gdy solidnie pracuje, gdy z łatwością nawiązuje kontakt ze środowiskiem. Nie zawsze te wskaźniki dają w miarę obiektywny obraz czyjejś osobowości. Znakomity nauczyciel, lekarz, adwokat, instruktor z placówki kulturalnej nie staje się automatyczne reprezentantem miejscowej elity. Zaszczytnej selekcji podlega dopiero wtedy, kiedy powstaje wokół niego, zazwyczaj po którymś roku, opinia, że osiąga sukcesy na miarę ponadlokalną, kiedy jest powszechnie wyjątkowo szanowany, również za postawę ogólną.

Blefowanie

Zdarza się, iż czasem dokonujemy pewnego „zafałszowania", ulegamy powszednim stereotypom. Jeżeli ktoś bywa w „wysokim" towarzystwie, jeśli cechuje się nienagannymi manierami, etykietą, to skłonni jesteśmy taką osobę kwalifikować do nadzwyczajności, do elity właśnie. Jest tu dużo miejsca dla subiektywizmu. Zależy, kto ocenia, według jakich kryteriów, intencji, czy dysponuje dostateczną orientacją na temat osiągnięć danej jednostki.

Dla kogoś skromnego wykształceniowo, żyjącego niewyskokowo, autorytetem wyjątkowym jest już ktoś, kto zajmuje kierownicze stanowisko, jeździ drogim samochodem, nosi ładne ciuchy. Dla kogoś zaprawionego intelektualnie taka osoba nie musi być „adresatem" zachwytu. Oczywiście jest obiektem szacunku. Jak wszystko, co się składa na „pozytywność" człowieka.

Można zatem powiedzieć, iż członkiem elity jest ktoś, kto zbiera dużo uznania w oczach wielu ludzi, którzy sami wyróżniają się bogactwem dobrych cech, określoną niestereotypowością. Wartość danej indywidualności jako członka elity po części „zależy" od wyrobienia intelektualnego jednostek kwalifikujących kogoś do miana tejże.

Elity gminne

Określone środowisko elitarne, elita to przynajmniej kilka osób w gminie, powiecie, mieście. Ta grupa indywidualności niejako wyznacza sposób myślenia, wypowiadania się, zachowania w różnych sytuacjach, interpretowania rozmaitych zjawisk, zdarzeń. Jest wspaniale, gdy w skład takiej grupy wchodzą osoby autentycznie bogate wewnętrznie, a dzieje się fatalnie, kiedy elita składa się z ludzi nazbyt skromnych, pod każdym względem.

Autorytety ze szczytów

Trzeba wspomnieć trochę szerzej o elitach z najwyższego pułapu, gdyż one wyznaczają popularne standardy, akceptowane – bardziej lub mniej – w całym społeczeństwie. Najczęściej mówi się o elitach politycznych. Trudno orzec, czy one dla społeczeństwa czynią więcej dobra czy zła. Idzie tu o środowisko parlamentarzystów i dziennikarzy zajmujących się polityką.

Niektórzy z tego środowiska społeczno-medialnego trafili tam przez przypadek, co widać nieraz, jak obnażają się ze swą „dziurawą" wiedzą i prostacką kulturą osobistą. Do wzorowania się to kiepski materiał.

Awansowanie do elity

Wielu ambitnych ludzi bardzo pragnie wejść do grona (raczej nieformalnego) elit, najczęściej miejscowych, mimo że czasem rażąco nie spełniają warunków intelektualnych. Trzeba ich wszakże za takie dążenia cenić. Uprawiając duchową wspinaczkę, po drodze, stają się pod jakimś względem, doskonalsi, lepsi. Nawet gdy zdobywają – wśród „kapłanów" – miejsce najskromniejsze.

W Polsce, tej „nadolnej", terenowej – jak wszędzie chyba w naszym wspaniałym kraju – jednocześnie trwa walka o prawo wejścia do grona namaszczonych i eskalacja zazdrości, że wybrańcom się udało. Często występuje dorabianie im gęby przez zawistników, że niby – w gruncie rzeczy – wcale nie są tacy nadzwyczajni. I na wszelkie sposoby utrudnia im się awans do elit wyższego szczebla, pomniejszając osiągnięcia liderów w danej dziedzinie, w rodzimej społeczności lokalnej. To są hamulce utrudniające awans cywilizacyjny i bytowy nie tylko jednostek, lecz całych zbiorowości ludzi. Gdyby się udało policzyć straty społeczno-ekonomiczne z tego wynikające...

Wchłanianie nowych

Elity wojewódzkie, „warszawskie" funkcjonują też wskutek zasilania ich przez „nabytki" z prowincji. Z korzyścią również dla tych ostatnich. Z reguły wyżej się dostają jednostki o szczególnych predyspozycjach dzięki życzliwemu zauważeniu ich przez górę. Jaką karierę może zrobić zdolny naukowiec, lekarz, skrzypek, nie wyrywając się z małego miasteczka? Bez ingerencji z zewnątrz nie może być właściwie wykorzystany talent naukowy, techniczny, artystyczny, pedagogiczny. Człowiek nadprzeciętnych predyspozycji w jakiejś dziedzinie nie może liczyć na satysfakcje finansowe lepsze niż otrzymują inni w otoczeniu, bez błyskotliwych osiągów.

Nasze elity, te ze stolicy i te z prowincji popełniają sporo grzechów. Przy konfesjonale w wielu przypadkach trudno by było im się uczciwie rozliczyć. Nie jest

tak, jak by się mogło wydawać, jak wynika czasem z obrazów telewizyjnych przykładowo, że nadpsuta jest tylko góra elit. Podobne niedoskonałości i przewinienia trapią, bywa, liderów z gminy i z centrali. Za kondycję Polski, psycho-moralną, w decydującej mierze odpowiadają najtęższe umysły, mające do dyspozycji odpowiednie warunki finansowo-materialne. Pod adresem elit – z ogromnym szacunkiem co do ich zasług dla społeczeństwa – zgłosić można trochę pretensji.

Oto wybrane z nich.

Niektórzy członkowie elit są sprzedajni; wobec aktualnych władz nadgorliwie dyspozycyjni. Łatwo przechodzą na służbę egoizmu i pieniądza, choć starają się robić wrażenie, że cenią nade wszystko jakieś idee. Najbardziej kunktatorscy z nich, kiedy mówią, że coś czynią bezinteresownie, to na pewno na takiej próbie szlachetności robią znakomity biznes, w najszerszym jego rozumieniu. Elity lokalne, subtelnymi i mniej subtelnymi metodami często utrudniają wybicie się indywidualnościom z własnego środowiska. Ale w ten sposób i siebie „przytłumiają", nie zawsze sobie z tego dostatecznie zdając sprawę. Wybierają spokój. Wolą utrzymać to, co mają. W sensie materialnym także albo przede wszystkim w sensie materialnym – co teraz akurat może się wyrażać w utrzymaniu (bądź otrzymaniu) miejsca pracy.

Ostrożność

Na tyle każdy jest inteligentny – i widzi, że wiodącym właśnie obecnym szefom elit wchodzić w drogę – to raczej kiepska kalkulacja. Liderzy, nie tylko ci związani z władzą, bywają przewrażliwieni i zbyt często dopatrują się zagrożeń tam, gdzie ich faktycznie nie ma i przez to zbyt często nie dostrzegają wśród elit ogniw pomocnych im w karierze. Ktoś, kto boi się o utrzymanie wpływów, a dysponuje niezbędnym doświadczeniem i nieodzowną dziś odrobiną cwaniactwa, wie, iż lepiej trzymać z mniej zdolnymi, ale liczniejszymi...

Błogosławiona konfliktowość

Korzyść z owej sytuacji jest taka, iż człowiek wyjątkowo utalentowany i pracowity dostaje się na wyżyny dzięki temu, że nabrał hartu w walce z przejawami zawiści, a szukanie narzędzi obrony rozwija inteligencję i tak przecież, tutaj, nadzwyczajną. Przy zderzeniu się z przeciwnościami narasta potrzeba czytania, zdobywania dodatkowej wiedzy, co czasem bardzo pomaga we wspinaniu się po awanse. Jakby na przekór „wrogom", zazdrośnikom.

Hamulce środowiskowo-lokalne

W awansowaniu do elit silną przeszkodą bardzo często jest to, że przy ocenianiu człowieka ambitnego decydującą rolę odgrywa – wspominana już – zazdrość, a nie efekty pracy – zawodowej czy społecznej. Jeżeli ktoś skutecznie zmierza ku wyżynom, to raczej nie z pomocą rodzimego środowiska. O awansie zbyt często decyduje nie wiedza, a demokracja, poparcie większości. Wyżej idzie ten, kto ma bardziej zgranych kolegów. Można zauważyć niechęć do sugestii z zewnątrz co do wartości „kandydata". A przecież – im dalej od ocen lokalnych, tym więcej obiektywizmu. Także wśród osób o najwyższym poziomie inteligencji, będących wzorem dla masowego otoczenia znajduje się sporo miejsca na cwaniactwo, cynizm. Są to, niestety, przymioty bardzo opłacalne. Minął czas, kiedy twórczy inżynier, znajdujący się w zagrożeniu, mógł liczyć na poparcie polityka czy urzędnika wysokiego szczebla. Powoływanie się na „liczebność" poprawia samopoczucie ludziom przeciętnym, przyzwoitym i spokojnym, ale nieraz mamy wtedy do czynienia i tak z dyspozycjami – zakamuflowanymi – natury niedemokratycznej (np. manipulowanie większymi skupiskami osób, tym bardziej, gdy mają one szanse pozyskania pewnych korzyści).

Służby specjalne

Na prowincji, podobnie jak w stolicy i aglomeracjach, obywatele mają swoje „służby specjalne", wykorzystywane przez miejscowe elity. Wydawać by się mogło, że w terenie „rozpracowywanie" przeciwników odbywa się tylko na oficjalnych zebraniach. Jak czegoś nie „przetrawia" centralna telewizja, skłonni jesteśmy sądzić, iż zjawiska nie ma. O nieszczęśliwej posłance, o ministrze zaraz głośno jest. Ale gdyby na małym ekranie przedstawiać wszystkie grzechy wojewódzkie, powiatowe, kogo by to tak bardzo interesowało? Więc w gminie, niewielkim mieście – tylko przypadkowo policja zatrzymuje wicestarostę prowadzącego samochód po symbo-

licznym „kielonku"... Że prezydent miasta molestował pracownicę – wydało się całkiem niespodziewanie.

Zjawiska służb specjalnych, tym bardziej (znowu) elitarnych zlikwidować się raczej nie da. Tego rodzaju struktury na usługach liderów „władzowych" funkcjonują co najmniej od starożytności. Tak jak stanowiska doradców. Wspomnianych ciał, na razie przynajmniej (upłynie któraś dziesiątka lat), zlikwidować się chyba nie da. Trzeba więc umieć z tym żyć.

Przykład trywialny. Przywódcy elit chętnie forsują posiadanie dużych, pięknych obiektów, bo te swoim ogromem i bogactwem pomagają „w tłumach" budzić respekt i zaufanie, a poza tym – stanowią najlepsze zabezpieczenie majątkowe. Czasem funkcjonują elity wydmuszkowe. Ci z nas, najlepiej przygotowani intelektualnie, świadomie lub mniej świadomie, przyłączają się do głosów o niefaworyzowaniu pieniądza, czyli o zmniejszaniu społecznego parcia na nieco większe „złocisze" (wyższe płace, emerytury, lepsza oświata, bardziej dostępna opieka zdrowotna). Poprawia to samopoczucie tych, co mają ustabilizowaną sytuację bytową. Moralny obowiązek elit – ileż razy wywodzących się z nizin społecznych – to upowszechnianie świadomości, iż nie jest najlepszym wyjściem kult pieniądza; ale zdobywanie go, posiadanie w niezbędnej ilości stanowi warunek zachowania bezpieczeństwa. Obawa przed narażeniem się obecnie panującemu ustrojowi jest niezupełnie uzasadniona. Kto by nie chciał kapitalizmu coraz lepszego pod każdym względem.

Klasa elit

Elity każdy ma takie, jakie chce albo na jakie zasługuje. Na przykład te polityczne, które sobie organizuje przy urnie wyborczej. Każdy z nas ma elity na miarę własnych oczekiwań. „Określ mi, kto dla ciebie jest elitą, a ja ci powiem, kim jesteś". Nikt nie ma prawa ingerować w czyjeś gusta, sympatie, w ogóle w wartości wewnętrzne. Powstaje też wrażenie, iż nieraz zbyt łatwo skupiska elitarne przyjmują do swego grona ludzi nowych, mało znanych.

Od tych indywidualnych wyobrażeń, od praktycznych gestów (dajmy na to – kogo sponsorować) zależy, jakie są elity elit, czyli jakimi ludźmi są pierwszoliniowi liderzy w różnych dziedzinach. Narzekamy, tyle razy słusznie, na reprezentantów wielkomiejskiej, regionalnej śmietany społeczno-politycznej, ale wypadałoby chyba zauważyć naszą (nas wszystkich) współwinę. Upraszczając rzecz nieco – powtórzmy: elity mamy takie, na jakie zasługujemy. Nadzieja, że na przykład przez modlitwę (nieistotne w jakiego rodzaju świątyni) spowodujemy dohumanizowanie części naszych elit, nie wydaje się całkiem pewna. Pana Boga w te sprawy bym nie angażował.

Elitarne zagrożenia

Istnieje dość zasadne przypuszczenie, że może nastąpić samozagłada elit, głównie intelektualnych. Z dwóch co najmniej powodów. Pierwszy – o charakterze globalnym. Ekonomiczny. Rozwój naukowo-techniczny sprawia, że coraz więcej ludzi będzie bez stałego zatrudnienia, z dużą ilością wolnego czasu (też na jakieś myślenie...) i nadal z ogromnymi różnicami w poziomie bytowania w poszczególnych państwach i między krajami, kontynentami. Najwyższe elity są tutaj, tymczasem, dość bezradne. W dodatku, zdarza się, iż współpracują z korporacjami o dziwnych interesach.

Drugi powód. O „wymiarze polskim": coraz bardziej masowe studia, prowadzące czasem do obniżania ich poziomu, niekiedy do „kupowania" wręcz prac kontrolnych, dyplomowych. Elity uniwersyteckie, przynajmniej na razie, jakby nie zauważają, że w tej sytuacji ubywa im autorytetu przez powszedniejące przekonanie, iż uczelniane „patenty" można coraz częściej dostać za pieniądze. Pora kończyć ten „traktat". Wchodzimy na obszar etyki uniwersyteckiej kadry naukowo-dydaktycznej.

Andrzej Buck

Elity kulturalne na prowincji/ w małej ojczyźnie?!

(esej subiektywny o poszukiwaniu obecności)

Być wśród elit. Lepiej teraz czy po śmierci?

Niech się więc aktorowie śpieszą czym prędzej,
Idź, zaleć im to i obchodź się z nimi przyzwoicie.
Niechaj im na niczym nie zbywa;
Znajdują się bowiem między nimi ludzie,
Których szanować należy.
Oni są żyjące kroniki wieku swojego
I lepiej byłoby dla ciebie
mieć po śmierci niepochlebny nagrobek,
niżeli za życia złą o tobie perorę.

William Szekspir, *Hamlet*
/przekład Bogusławskiego, 1798 rok/

Pytanie jak najbardziej trafne. Cytat z *Hamleta* również. Aktor bowiem to streszczona, żywa kronika naszych czasów. Czy bycie w kanonie elit trwa zatem wiecznie? Bardzo często wkraczamy za życia do panteonu elit, by później, po śmierci popaść w zapomnienie. Tym bardziej jeśli proces ten nie jest wynikiem dziedziczenia, a tylko efektem procesu tworzenia.

Zdarza się i zjawisko odwrotne. Za życia nieobecni, zapomniani, nieodkryci czy niedoceniani, po śmierci wkraczamy do owego panteonu. Spójrzmy na przykłady z historii Lubuskiego Teatru: Jerzy Zegalski, profesor, dyrektor Teatru w latach 1958-1960 dziś wymieniany jest w szeregu osób ważnych dla Zielonej Góry. Marek Okopiński, reżyser i dyrektor pozostaje legendą, choć do dzisiaj niezweryfikowaną artystycznie. Ale ważną, bo teatr takich legend zawsze potrzebował i potrzebuje. Ryszard Żuromski, aktor, reżyser i dyrektor, dla pierwszego pokolenia studentów WSP był teatralnym guru, i w jego – tego pokolenia – świadomości w takiej roli pozostaje.

Po latach legendy, jako stały element elit kulturalnych, wietrzeją, ulegają degradacji, szczególnie w świadomości młodego pokolenia.

Kiedyś fascynowało mnie takie myślenie o literaturze, które zaszczepił w nas, ówczesnych krakowskich doktorantach, Profesor Kazimierz Wyka. Sformułował ideę pokolenia literackiego, które w naszym wyobrażeniu urastały do rangi elit wirtualnych.

Fascynowały mnie przez długi okres te elity wirtualne. Choćby Pokolenie Kolumbów z Baczyńskim, Gajcym, Trzebińskim, Stroińskim, Bojarskim, Pokolenie „Współczesności" z nieodżałowanym Stanisławem Grochowiakiem, a też zespołem tygodnika „Po prostu", Nowa Fala z Krynickim, Kornhauserem i Adamem Zagajewskim, i inne.

Zastanawiam się dzisiaj, na ile to zauroczenie – jakby to rzekł Erich Fromm – było coś warte....? Bo przecież trzeba było mieć wzorce, a one, te pokolenia i instytucje – z pewnością – taką rolę spełniały.

Co to jest prowincja i jej elity?

Z natury rzeczy nie uznaję określenia prowincja w jego wartościowaniu pejoratywnym. Jeśli natomiast jest to kategoria geograficzna, to jest ona dla mnie porywająca. Jeśli jest mentalna, to tylko w rozumieniu negatywnym.

Czy prowincja ma elity? Czy posiada elity kulturalne? Odpowiedź jest prosta. Posiada, bo posiadać musi.

Prowincja jest ujmująca na przykład w rozumieniu Brunona Schulza. Chętnie spoglądałbym na Świat z perspektywy jego Drohobycza. Chociaż Schulz nie był wcale prowincjuszem. W Wiedniu bywał częściej niż nam się zdaje – pisał Jerzy Jarzębski w szkicu *Prowincja – Centrum*.

Teraz przytoczmy kilka popularnych uwag na temat rozumienia elit: „Zespół ludzi wyróżniających się pod jakimś względem w swoim otoczeniu i na tej podstawie uznany za wybrańców – takim mianem określa się elity. To różne gremia przywódcze, wyróżniające się na tle masy ogółu społeczeństwa, spośród których zostały wyłonione. Zbiór osób zajmujących kluczowe pozycje w strukturze władzy, których decyzje mają wpływ na całokształt życia danej struktury. Autorytet, prestiż człowieka zależy od aktualnie posiadanej pozycji w danej elicie, oraz od pozycji w hierarchii istniejącego establishmentu. Zbiór osób zajmujących najwyższe miejsca w skali takich kategorii jak autorytet, prestiż. To z kolei wynikać może z aktualnie cenionych wartości i potrzeb lub reprezentowania tradycyjnych wartości charakterystycznych dla danego społeczeństwa.

Elita to grupa uprzywilejowana. Elit może być przynajmniej tyle, ile cenionych wartości w danym społeczeństwie. Elity dążą do sprawowania kontroli nad reprezentowanymi wartościami i co za tym idzie do hermetyzowania swojej elitarności.

Wejście do elity to efekt procesu selekcji. Najpowszechniejszymi kryteriami selekcji są: majątek lub prawo dziedziczenia

J. Ortega y Gasset, autor *Buntu mas*, zwracał szczególną uwagę na różnice jakościowe w pojmowaniu elit. Podkreślał, że należy zdawać sobie sprawę z istniejących różnic jakościowych pomiędzy wszelkimi elitami, także elitami a społeczeństwem (zwanym masą ludzką). Ortega dzielił współczesne społeczeństwo na dwa zasadnicze zbiory. Masę – czyli ludzi przeciętnych, będących jedynie powtórzeniem typu biologicznego i społecznego. Tę masę definiował raczej na podstawie indywidualnych odczuć jednostek do niej należących. Masa to ci wszyscy, którzy w żaden sposób nie wyróżniają się i nie chcą się wyróżniać. Dobrze się z tym czują, czyli są to tzw. konformiści.

Drugi zbiór to wybrana mniejszość czyli jednostki stawiające sobie duże wymagania, przyjmujące wyzwania ponad przeciętną. To jednostki posiadające świadomość swoich wartości i nie czujące się osobnikami przeciętnymi".

Moje fascynacje prowincją

Fascynuje mnie Kazimierz. Jeśli przesiadywałem w salonie w Kuncewiczówce, to czułem się, jakbym był znajomym Marii i Jerzego. Jeśli robiłem w kuchni pisarki jajecznicę w październikowy jesienny poranek, to z pewnością czułem się kimś lepszym, a przynajmniej wyróżnionym. Jeśli jadłem w tejże kuchni z Janem Peszkiem kotlety schabowe, to przeżywałem – mówiąc żartobliwie – w pewnym sensie przynależność artystyczną do elit.

Kazimierz też ma swoją elitę. Jej członkiem jest Daniel Olbrychski. Mieszka w Mięćmierzu i stamtąd wzdłuż kamieniołomu przyjeżdża często konno na kazimierski Rynek. W Kazimierzu, jeszcze w międzywojniu, zderzały się przyjeżdżające elity z miejscową ludnością. Opisała to znakomicie w *Dwóch księżycach* Maria Kuncewiczowa. Zresztą asymilacja elit zaczęła się w momencie, kiedy architekt, profesor Karol Siciński zaczął przywozić z Warszawy do miasta studentów architektury.

Fascynuje mnie też Lanckorona. Położona niedaleko Kalwarii Zebrzydowskiej. Miejsce w którym do dzisiaj sprawowane jest *Misterium o Chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim*. Ale w Lanckoronie mieszka też Wojciech Pszoniak i np. Kazimierz Wiśniak. Jeśli więc bywasz w Lanckoronie, tak jak Pszoniak, to zbliżasz się do elit. W najstarszym, prowadzonym w Polsce rodzinnym pensjonacie „Tadeusz", w Lanckoronie bywał przecież Józef Piłsudski. Lanckoroną zachwycał się Marek Grechuta. Napisał o niej piosenkę...

Osobiście nie mogę żyć też bez Zwierzyńca. Kiedy pojawiam się w miejscowym warzywniaku, przy placu, który nazywam sobie rynkiem, na początku sierpnia właścicielka z właściwą sobie tylko swadą, stwierdza: „O, Artyści przyjechali, zaczyna się Letnia Akademia Filmowa".

Zastanawia mnie, czy osiadły na tymże Roztoczu, niedaleko od miasteczka, autor *Traktatu o łuskaniu fasoli* Wiesław Myśliwski, to elita tamtejszej prowincji? Czy ja w takiej sytuacji staję się cząstką elity kulturalnej?

Miasta bardzo często dokonują absorpcji tzw. elit potwierdzonych. Tak było ze Sławomirem Mrożkiem w Krakowie czy np. Leszkiem Mądzikiem w Lublinie.

Czy grupa artystyczna tworząca w 1984 roku Teatr Witkacego postrzegana jest w Zakopanem dzisiaj jako elita? Kiedy tworzyli go jako niezależna grupa pod wodzą Andrzeja Dziuka, byli zjawiskiem. A teraz?

Zatem pytanie: czy samo przebywanie wśród ludzi z elit wystarcza, by poczuć się kimś wartościowym?

Głoszę pochwałę prowincji, a raczej małej ojczyzny!

Jeśli o byciu autorytetem w mieście decyduje zajmowane stanowisko, a tak się często zdarza, to czy jest to wątpliwe umocowanie w strukturze elit? Gdzie łatwiej przekroczyć próg tej grupy, na prowincji czy w metropolii? Elity kulturalne w metropolii są chyba bardziej trwałe, gdyż podlegają selekcji bardziej wyrafinowanych ocen.

A właściwie to pojawia się pytanie: czy do elit trzeba się dostać, czy wchodzi się tam automatycznie? Czy wystarczy być? W elicie małego miasta można się z kolei zasiedzieć. Dlatego należy zawsze być obywatelem świata, bo wówczas nie traci się globalnej perspektywy oglądu rzeczywistości i lokalnych zjawisk. I jest to skuteczne antidotum. Tym bardziej że w globalnej wiosce nieodżałowanego wizjonera kultury, Marschala McLuhana tradycyjne rozumienie prowincji uległo zatarciu. Środki komunikowania stanowią dzisiaj przedłużenie człowieka. Samochód staje się mechaniczną narzeczoną. A efektem tego staje się jednoczesność uczestniczenia i obserwacji. Zmniejszenie, a nawet eliminacja odległości. W rezultacie miejsce zamieszkania staje się bardziej atutem niż elementem izolacji elit.

Jeszcze w 1956 roku w ramach projektu decentralizacji tworzono regionalne pisma kulturalne. W Zielonej Górze było to „Nadodrze". Pismo takie miało wypełnić funkcję integracyjną wobec środowiska. Publikacja na jego łamach wprowadzała autora, twórcę w krąg twórczych elit. Stawała się formą istotnej obecności w środowisku.

Czy elita kulturalna prowincji może być naszym marzeniem?

Elity kulturalne, ich obecność są konsekwencją obowiązującej tradycji. Na przykład Wielkopolska posiada bogate tradycje kultury mieszczańskiej. Lubuskie z kolei, powstałe na zasadzie asymilacji osób napływowych, tradycji takiej nie posiada. Ma to konsekwencje, jeśli idzie o kształt posiadanych elit. Ich kształt mentalny.

Choć coraz częściej mała ojczyzna jest trendy. Lubi się do niej wracać. Tak myślę. Początkowo trudno w niej tkwić. W niewielkim mieście, do którego przyjechało się na kilka lat. Z czasem potrafimy ją polubić. Więcej, uczynić z niej siedlisko, miejsce, które jest tworem wyrafinowanym.

Najtrudniejszy do pokonania jest mentalny prowincjonalizm elit. Prowincja, jeśli jest, to jest w nas, w naszym myśleniu i mentalności. Tak twierdzą ludzie mądrzy. Znów odwołam się do komunikacji teatralnej. Myślę:

Teatr jest sposobem rozmowy ze światem.
Teatr jest sposobem rozmowy z większą ilością osób, nie tylko z najbliższymi.
Teatr wyszedł z ciekawości Człowieka, Świata i tajemnicy kreacji.
Teatr jest życiem, chwilą, jest TU i TERAZ.
Publiczność trzeba traktować serio.
Nie należy do końca wpisywać się w tembr jej oczekiwań.
Nie należy starać się jej zadowolić.
Należy być dla niej.
Teatr to wspólnota ludzi, sceny, widzów.
Wspólnota emocji i widzów.

Czy ten mechanizm odnieść możemy również do elit i ich demiurgów, czyli społeczeństwa? Elita powinna zrobić wszystko, aby to prawo komunikacji urzeczywistnić. Poprzez sztukę (wypełniając właściwe jej funkcje) elita może promować środowisko

lokalne, czyniąc z wydarzeń artystycznych znak firmowy środowiska. Zresztą każde środowisko może tak czynić.

Tak czyni w Zielonej Górze np. pokolenie pierwszego rocznika magisterskiego Wyższej Szkoły Pedagogicznej im. Tadeusza Kotarbińskiego Jego absolwenci dzisiaj stanowią elitę, nie tylko kulturalną miasta. Popatrzmy (dla przykładu): prof. Wołk, prof. Idzikowski, Adam Nowak z grupy Raz, Dwa, Trzy, Władek Sikora, twórca kabaretów i wielu, wielu innych.

Lokalne elity kulturalne najczęściej kreuje ich dorobek twórczy. To najbardziej właściwa droga selekcji. Ale też dokonania marketingowe generują powstawanie elit (jeśli osoby te zajmują się zarządzaniem kulturą). Także uczestnicy konsumpcji dóbr kultury (tzw. bywalcy) zasilają – w potocznym rozumieniu kręgi elit kulturalnych.

Ale lokalne elity kulturalne kreuje też szeroko pojęta krytyka, której rolą albo obowiązkiem jest recenzować, wyodrębniać wartości i wprowadzać je w obieg społeczny. Często jednak brak jest bezsprzecznie na prowincji krytyki towarzyszącej, uczciwej, profesjonalnej i fachowej, kreującej wzorce postępowania i wartości kulturowe akceptowane przez społeczność danego regionu. Brak jest krytyki autorytatywnej, nie doraźnej, kłamliwej i przekupnej.

Środowisko powinno korzystać z roli i wiedzy oraz autorytetu elit kulturalnych w staraniach o własną tożsamość kulturową. W Zielonej Górze – na przykład – nie tylko obijać się o nieco wypłowiałą tradycję winiarską.

Jakże niewiele brakowało, byśmy zbyt łatwo oddali w niebyt Lubuskie Lato Filmowe, niewątpliwy atut regionu. Impreza ta zaliczana jest od dawna w regionie lubuskim do tzw. elity instytucjonalnej. Choć nie wiem do końca, czy uprawnione jest posługiwanie tak wyodrębnioną kategorią pojęciową?

Ale elity kulturalne to również zarządzający kulturą. Ważne, by kulturą w małej ojczyźnie zarządzali ludzie, którzy się na niej znają. Tak zwani fachowcy. Wtedy bez wątpliwości zaliczać ich będziemy do kulturalnych elit.

Czy elita ma autorytet?

Chyba nie zawsze tak jest. Jeśli elity powstają poprzez dziedziczenie, to wówczas możemy jedynie liczyć na te wartości ich etosu, które powstają w wyniku ciągłości tradycji, wychowania, przyzwoitości.

Twórcy, w tym dziennikarze, ludzie nauki i artyści wchodzą do panteonu elit ze względu na swą wyjątkowość twórczą. Innymi słowy: osobowość i potencjał intelektualny. Społeczeństwo potrzebuje autorytetów. Wzorców do naśladowania. Elit – jak pisze Andrzej Draguła – elit moralnych lub elit godności.

Dziś brak takich ludzi jak chociażby Jan J. Dębek, redaktor „Gazety Lubuskiej", dziennikarz, krytyk teatralny. Człowiek z pasją. On wyznaczał standardy dziennikarskie, teatralne. Ale nie zostałby zaakceptowany jako autorytet, gdyby nie jego nieokiełznana pasja. Pikanterii dodawał mu jego kontrowersyjny styl bycia.

Andrzej K. Waśkiewicz długi czas był autorytetem dla środowiska literackiego. Prowadził dział literacki w „Nadodrzu". Chodziło się do niego, do redakcji „Nadodrza", by usłyszeć opinię, recenzję. Jako krytyk wydawał wyroki, których nikt nie kwestionował.

Profesor Jan Wąsicki, historyk, zarażał uniwersyteckim obyciem. Pochodził z Poznania. Został Rektorem WSP, tak sądzę, by wprowadzić do środowiska akademickiego, nowego przecież, rodzącego się, ową uniwersytecką tradycję.

Zdarzanie elit urzędniczych i kulturalnych następowało za kadencji dyrektorskiej w Lubuskim Teatrze Ryszarda Żuromskiego. Ten ostatni zawsze czekał na schodach Teatru i lekko kołysząc się, prowokował gości ze środowisk urzędniczych (słynnego dyrektora Józefa Prusia, zarządzającego kulturą).

Z kolei red. Danuta Piekarska „wkurzała" twórców niemiłosiernie swoimi recenzjami, ale też i dlatego, że była teatralnie nienaganna. Pamiętam, jak Waldemar Matuszewski zabraniał jej wstępu do Teatru, bo napisała niepochlebną recenzję o premierze *Pana Tadeusza*. Pani Danka, bez zmrużenia oka, kupiła sobie bilet w teatralnej kasie, nie czekając na zaproszenie, a tego dyrektor nie mógł jej zabronić.

Do elity artystycznej wywodzącej się z Zielonej Góry przynależy chociażby wokalistka Urszula Dudziak czy pochodząca z Nowej Soli aktorka Magdalena Różczka. Stąd wyszły, potem wdarły się do grupy elit godności, z perspektywy Warszawy czy nawet Ameryki.

Dziś moim autorytetem ma być, wywodzący się z Zielonej Góry LUC.

Pomiędzy wartością a popularnością

Wspomniany LUC wychował się w Zielonej Górze. Kiedy jego pierwszy zespół we Wrocławiu – Kanał Audytywny zrobił karierę, LUC kilkakrotnie próbował koncertować w rodzinnym mieście. Z marnym skutkiem. Kiedy wydał płytę w Kajaxie (firma piosenkarki Kai), nagrał płytę z Urszulą Dudziak, Leszkiem Możdżerem, współpracował z Marią Peszek, aż wreszcie zrealizował projekt *A więc wojna* – na zlecenie IPN-u, wtedy wkroczył w krąg zielonogórskich elit. W ten sposób zaczął być autorytetem, szczególnie na łamach „Gazety Wyborczej".

Ale co z tymi, którzy zeszli z pierwszego planu? Zbyt łatwo odchodzą do lamusa historii. Zbyt łatwo rezygnujemy z elit, wystarczy, że stracą swoją popularność. Obserwowałem za życia Józefa Szajnę, twórcę Teatru Studio w Warszawie i takich przedstawień jak chociażby *Replika* z genialną rolą Ireny Jun. Szajna – do końca swoich dni – nie potrafił się pogodzić z ograniczeniem roli swojego autorytetu, po odejściu ze Studia.

Nie potrafimy w sposób dostateczny sięgać do ich wiedzy, doświadczenia. A przecież oni tworzą tradycję, którą my wszyscy dziedziczymy.

Zresztą lekceważymy elity, jeśli nie znamy ich z mediów. Pamiętam wizytę w Lubuskim Teatrze Jana Klaty ze spektaklem *Rewizor*. Nikt się nim nie zachwycał, bo niewielu miało świadomość że narodził się Artysta.

Moi przyjaciele z teatrów Provisorium i Kompania Teatr objechali cały świat ze swoimi spektaklami (chociażby *Ferdydurke*). A prowincja ich nie zna, grymasi.

Aktor grający rolę Pana Trąby w wielokrotnie nagradzanym spektaklu Lubuskiego Teatru *Zabijanie Gomułki* w reżyserii Jacka Głomba, Zbigniew Waleryś, dopiero kiedy pojawił się w telewizyjnym serialu *Na dobre i na złe*, skupił uwagę publiczności, jej zachwyt.

Etos człowieka elit jest wiecznie rozpoznawany. W każdym przedziale czasowym wyznaczamy i modyfikujemy kryteria przynależności do niego. Maria Ossowska w pracy *Ethos rycerski i jego odmiany* rozważała jego priorytety. Podstawą koncepcji człowieka walczącego (*homo militans*) był wówczas, w baroku, podręcznik Erazma z Rotterdamu *Enchiridion Militis Christiani* („Podręcznik rycerza Chrystusowego"). Czy norm przynależnych elitom dzisiaj możemy się nauczyć z podręcznika?

Homo ludens (człowiek bawiący) został określony w pracy holendra, Johana Huzingi zatytułowanej *Homo ludens*. Autor zauważa, że to zabawa jest źródłem kultury. Człowiek bawiący się współuczestniczy w konsumpcji dóbr kultury. Przez ten fakt dostaje się do środowiska elit kulturalnych jako konsument.

Ernest Cassirer popełnił *Esej o człowieku*. Pisał: „Człowiek – powiada się jest tym stworzeniem, które ustawicznie poszukuje samego siebie – stworzeniem, które w każdej chwili życia musi badać i szczegółowo roztrząsać warunki swego istnienia. I dalej: To rozpatrywanie, ta krytyczna postawa wobec ludzkiego życia stanowi o prawdziwej wartości ludzkiego życia".

Często w naszej świadomości nie dostrzegamy wartości osób, które obdarzają nas swoją obecnością, a przynależą do elit godności. Lekceważymy je. Pomijamy. Często dla doraźnych celów, takich jak rywalizacja polityczna lub publicystyczna.

Elity godności stanowić powinny nasz narodowy czy regionalny zasób kulturowych wartości. Inna rzecz to często występująca nieumiejętność rozpoznawania wartości osób przynależnych do elit. Ich uczciwego wartościowania.

Prawidłowością staje się mechanizm polegający na tym, że dostrzegamy ich nieobecność dopiero wtedy, kiedy odchodzą albo odkryje je przysłowiowa „warszawka".

Nie ma elit bez kawiarnianej rozmowy

Chociaż jest to tradycja XIX-wieczna, to nie zapomnijmy, że istotą jej jest biesiadowanie, ale też przede wszystkim rozmowa, której w konsekwencji towarzyszy wartościowanie. Powstają więc w ten sposób wartości i wzory kultury.

Bywanie w warszawskiej kawiarni Bliklego, w której spotkać można było jeszcze do niedawna, rozmawiających: Tadeusza Konwickiego, wybitnego pisarza z Gustawem Holoubkiem, aktorem niezastąpionym, to wyrafinowany – kończący nasze rozważania – sposób naszego współuczestniczenia w świecie elit. Że rozmowy te były istotne, świadczy filmowy ich zapis, sporządzony przez Jana Holoubka, syna Aktora.

Słynny stolik w warszawskim Czytelniku do dziś pełni swoją funkcję, tak jak przed laty w kawiarni Ziemiańska stolik Tuwima, Słonimskiego, Lechonia i Wieniawy-Długoszowskiego. Stolik miał swoją, niepisaną rzecz jasna, etykietę. Być zaproszonym „na pięterko" było dla gości zaszczytem, być zignorowanym – klęską. Strażnikiem tego kodeksu był Jan Lechoń.

Podobną rolę, jeszcze do niedawna, pełniły stoliki „na murku" przy kawiarni Rynkowa w Kazimierzu nad Wisłą. Dostępne jedynie dla elity miasteczka. Tam siadywał krakowski bard Piwnicy pod Baranami, Leszek Długosz, który pisał:

A stolik w Rynku, w kawiarence
Niech na powitanie szepnie
Dłoń niech ze wzruszeniem znów rozpozna
Ten sam blat

(*Na rynku usiąść w Kazimierzu... piosenka*)

Też siadywali mieszkający w mieście malarze: Jerzy Kmita, Jerzy Gnatowski i inni.

Kot w butach

Kot w butach
nigdy swoich butów nie lubił
bo z powodu cięcia kosztów
dostał o rozmiar za małe
i bolały go łapki
poza tym
miał alergię na puder
pokrywający mu wąsy
jednak czego się nie robi dla publiczności...

Śnieżka

Kto by pomyślał
że kiedy skończyła się bajka
Śnieżka zrobiła pasemka
bo tak naprawdę
nigdy nie lubiła
swoich włosów
czarnych jak heban
siedemnaście minut zajęło jej
zmywanie makijażu
bo przecież w bajce
musiała mieć buzię
białą jak śnieg
i rumianą jak krew
potem poszła do kuchni
ugotować mężowi
zupę pomidorową

na stole leżała pocztówka
od krasnoludków

z N.Y.

Kopciuszek

Wróciła do domu
grubo po północy
– czar już dawno nie działał
rozczesała włosy
– dar od wróżki
z salonu fryzjerskiego
książę jej nie poznał
i zgubiła bucik na schodach
– taki drogi bucik!

może nie było żadnego
„dawno, dawno temu...”

Pinokio

Na starość wyłysiał
i bardzo dokuczały mu stawy
wtedy przypomniał sobie
że pajace nie czują bólu
potem umarła mu żona
nieraz nad jej grobem
myślał
że pajace są nieśmiertelne
kiedy został
już zupełnie sam
zaczął żałować
że tak bardzo chciał
stać się
człowiekiem

Marek Grewling

Dziecię

(fragment powieści)

W PODRÓŻY

1. (PO PROSTU)

Nie lubię zapachu nikotyny w moim pokoju. Mam na myśli pokój, w którym pracuje i śpię. Dlatego notorycznie wietrzę to pomieszczenie. Wieczory sprzyjają jednak zanieczyszczaniu powietrza. Postanawiam, poprawię się, ale wieczory tak sprzyjają brakowi poprawy.

Zadzwoniłem do znajomej z pytaniem, co by napisała na rozpoczęcie swojej powieści. Niby wykształcona osoba, a nie potrafi odpowiedzieć na proste pytanie. W końcu, czy to dziwne? Każdy ma własne życie, każdy pisze własną powieść. Tego nie da się powiedzieć w paru słowach, nawet znajomemu. Dlatego nie będę już nikogo pytał o takie rzeczy. Pozostanę ze swoimi sprawami sam na sam.

Pokój, w którym śpię, jest moim miejscem pracy. Od lat praktykuję pragmatyzm twórczy, czyli mieć w pobliżu siebie zdania napisane i gotowe do poprawiania. Co noc siadam z zapałem do poprawiania.

Uwielbiam poprawiać.

Gdy byłem chłopcem, mama co sobotę sprawdzała całe mieszkanie, bacząc czujnym okiem, czy wszystko zostało wysprzątane i doprowadzone do niemieckiego porządku przeze mnie i moją siostrę. Niestety, zazwyczaj nakazywała mi poprawianie byle jakiego sprzątania i pastowania burych płytek podłogi. Tłumaczyła: „Ranty między płytkami też trzeba pastować! Pasta nie jest po to, żeby zasmarować nią płytki. Pasta czyści. Namocz szmatkę pastą, przyciśnij ją i teraz dopiero zobaczysz, że pasta zmywa brud". Przyciskałem. Rzeczywiście tak było. Matka była maniaczką porządku i czystości. Jak się miało okazać, była maniaczką porządku, który nijak nie przystawał do porządku tego świata. Ona ukazała mi nieuchronną logikę. Ona wpoiła zasady, klarowniejsze od ewangelii i bardziej spójne od konstytucji europejskiej, zresztą od wszelkich konstytucji. Gdyby władzy mojej matki poddać parlamenty świata, niechybnie zapanowałby ład, sprawiedliwość i ogólnoewangeliczna komuna, jakiej nie wymyśliłby sam Chrystus i Budda razem wzięci. Ja niestety w tym wieku nie myślałem o żadnych ewangeliach ani konstytucjach. Ewangelię poznałem jako dziewięcioletnie pacholę z gazety. Było to mniej więcej tak. Podczas pierwszej komunii świętej czytałem z wyciętego przez księdza proboszcza fragmentu gazety katolickiej tekst o Grekach i Żydach, mieszkańcach Frygii i Pamfilii i jeszcze innych przedziwnych krainach. To w ich językach przemawiali apostołowie natchnieni duchem świętym. Niestety moje czytanie miało marny finał, bo po przeczytaniu rzeczonego fragmentu i powrotu do ławki, zamiast napawać się pięknem liturgii, dokonałem eksperymentu ze świecą i garniturem. Świece podówczas były podłego gatunku, garniturki pierwszokomunijne również. Dotykając świecą marynarki, zauważyłem, że zostawia bajecznie białe ślady. Postanowiłem zatem pomnożyć te ślady, gdyż warte były

uwiecznienia. Byłem ciekawy. To właśnie ciekawość doprowadziła mnie do pierwszokomunijnej katastrofy. Niestety skutkiem lania, jakie dostałem po uroczystej mszy świętej, pochwały za piękne czytanie lekcji na zawsze uleciały z mojej pamięci, podobnie jak wrażenia ze spotkania z Jezusem eucharystycznym. Mówiąc krótko, to niezwykłe eschatologiczne wydarzenie nie pozostawiło w mojej pamięci żadnych śladów. Pozostał tylko ślad bólu. I tak już zostało, jeśli chodzi o Jezusa eucharystycznego. Dań, które podano podczas pierwszokomunijnego obiadu, też niestety nie zapamiętałem. A jedyny prezent pierwszokomunijny, jaki stał się dla mnie znakiem i stygmatem zarazem, to wieczne pióro od wujka Pawła mojego chrzestnego ojca. Było chińskie, grube, czarne i piękne. Ono właśnie stało się moją przepustką do dojrzałości. Nie jakiś głupi zegarek, nie śmieszny rower. Mimo stygmatu bólu związanego z nieszczęsną świecą, garniturem i eucharystią, wiedziałem, że żadne dziecko w tym dniu nie otrzymało wiecznego pióra. Rodził się paradygmat i pragmatyka dialektyczna. Na szczęście dzieci nie wiedzą o takich rzeczach. Mnie po prostu został tylko ból tyłka.

Olga Świderska

Opowieści o Dorocie Mahlo

Opowieść tę dedykuję pamięci kobiety niezwykłej.
Dorocie Mahlo – za to kim była, jest i będzie,
trwając w sercach wszystkich tych,
którzy ją kochali...

Kiedy w 1890 r. Fryderyk Wilhelm Mahlo przybył do ówczesnego Oberglogau, Polska nie istniała na mapie Europy. Rozdarta między trzech zaborców, lecz zakorzeniona silnie w umysłach oraz sercach tych, którzy pozostali i walczyli o jej wolność, prawo o samostanowieniu oraz narodową dumę. Fryderyk – niemiecki, samotny kupiec z Westfalii, w momencie przekraczania niezbyt wówczas gościnnych progów Oberglogau, nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczał, iż odtąd to właśnie Polska będzie jego nową ojczyzną, a stanie się tak dzięki pewnej kobiecie, która niczym ogniwa łańcucha na zawsze spoi jego losy z losami Polski przełomu wieków. Nie sądził także, że to właśnie w Polsce odnajdzie miłość swojego życia, której owocem staną się trzy różne od siebie, niczym ogień i woda siostry – Babette, Gabi oraz bohaterka tej opowieści – moja prababcia Dorota.

Żyła między kartami jednego z najbardziej krwawych rozdziałów historii. Wychowywała się w atmosferze rodzinnego ciepła, rozdarta między dwiema różniącymi się od siebie pod wieloma względami kulturami, na pograniczu dwóch różnych religii, używając na co dzień i myśląc w dwóch różnych językach. Całe swoje dzieciństwo, okres dojrzewania oraz późniejszą młodość spędziła na terenie dzisiejszego Głogówka, marząc o barwnej przyszłości, podróżach, sławie i bujnej karierze aktorki, śpiewaczki czy – co ze względu na jej zamiłowanie do literatury było najbardziej prawdopodobne – pisarki. Jej niebywała inteligencja, elokwencja i naturalna dobroć, która już od wczesnego dzieciństwa wyrażała się w zdolności empatii oraz umiejętności odnalezienia w każdym człowieku choćby iskierki dobra, zachwycała. Żyła ideałami, w zgodzie z własną hierarchią wartości. Wieczna optymistka, której atrybutem stało się pióro i kawałek papieru, na którym zapisywała wszystkie myśli, wyrażając siebie w prowadzonym sumiennie dzienniku. Stwarzane naprędce na potrzeby młodszych sióstr opowieści, przez setki wspólnych wieczorów podobno nie powtórzyły się ani razu. Wewnętrzna siła, która – jak mawiała – była mocą podarowaną od Matki Bożej już w dniu jej urodzin (święta Matki Boskiej Gromnicznej, 2 lutego), była ramieniem dla matki, opoką dla ojca oraz przystanią dla każdego, kto zapukał do bramy jej serca. I niespodziewanie, w najmniej odpowiednim momencie... zmieniło się wszystko. Upadł jej świat. Świat zbudowany na silnych fundamentach rodzinnej miłości i wychowaniu w duchu niezwykłej jak na owe czasy tolerancji – symbiozie dwóch narodów, z których niespodziewanie jeden stał się narodem oprawców, a drugi ofiar. Upadł świat, który trwać miał wiecznie.

Próba wyjaśnienia istoty wojny jest niczym wyprawa w najgłębsze czeluści ciemności. Jest niczym próba wyjaśnienia efektu zmarszczek na początkowo gładkiej tafli jeziora – to, jak najdrobniejszy zamęt w jednym miejscu, wywołuje lawinę konsekwencji w innym. I wojna światowa zabrała Dorocie Mahlo ojca, który zostawił

po sobie niewielki majątek i pogrążone w cierpieniu cztery najważniejsze w jego życiu kobiety, zdane od tej pory jedynie na siebie. Matka nigdy nie pogodziła się z wyrokami losu – zmarła krótko po Fryderyku, a cierpienie, które odczuwała za życia, było tak silne, że w jego obliczu, śmierć zdawała się przynieść ukojenie. Od tej chwili brutalnie oszpecony śmiercią obraz świata, dokonał wewnętrznej metamorfozy w ich dotychczasowym postrzeganiu siebie oraz sprawił, że niepostrzeżenie przeskoczyły pewien ważny etap życia – z dnia na dzień wydoroślały, zmuszone do decydowania o swoim dalszym losie. Gabriela, urodzona artystka, której największą pasją była muzyka, po śmierci matki już nigdy nie zasiadła do fortepianu. Zgrabiałe ręce z czasem zatraciły naturalną dla muzyka umiejętność giętkiego, płynnego tańca na klawiaturze oraz swobodę grania. Gdy fortepian, przy którym wcześniej gromadziła się cała zasłuchana rodzina, został sprzedany, zakończył się kolejny bolesny rozdział historii, a szmaragdowe oczy Gabi utraciły dawny blask.

Pomimo wszystkich osobistych tragedii i śmierci, która zabrała im ojca oraz matkę, okres dwudziestolecia międzywojennego obfitował jednak w radosne wydarzenia. Gabriela oraz Dorota założyły własne rodziny, Babette spełniała się zawodowo. Dorota poznała mężczyznę, z którym wzięła skromny ślub w malowniczym kościele w rodzinnym Głogówku, a wkrótce ich dom wypełnił się śmiechem dziecka – zielonookiej, podobnie jak mama, Ewy oraz małej Aleksandry, nazwanej tak na cześć jej zmarłej babci. Kultywowane w rodzinie Doroty były tradycje zarówno polskie, jak i niemieckie, o czym świadczy fakt, że w dwadzieścia lat później, dorosła już Ola, z łatwością tłumaczyła teksty niemieckojęzyczne, zarabiając w ten sposób na życie. Dni upływały w spokoju, nic nie zapowiadało zmian... Aż do pamiętnego 1 września 1939, gdy po raz kolejny życie wykoleiło się z bezpiecznych torów rodzinnej sielanki. Rozpoczęła się II wojna światowa, a chlebem powszednim stało się zagrożenie i ciągła niepewność jutra, przed którą nie było schronienia. Później już nic nie było takie samo...

Kolejne losy sióstr potoczyły się niczym lawina – jako pół-Niemki, podczas wojny szybko zyskały niechlubny przydomek „Germanki", kojarzony niesłusznie z hitlerowcami. Los nie szczędził im cierpień; po raz kolejny wojna złamała życie Doroty i Gabrieli – obydwie straciły mężów. Na ich oczach dawni przyjaciele z dnia na dzień zmienili się we wrogów, cierpiały obserwując biernie, jak stają się obiektem szykan i otwartej nienawiści. Po wojnie, znienawidzone i napiętnowane, wiosną 1945 wyjechały dzięki pomocy rodziny ojca z Westfalii. Pozostała jedynie Dorota, nie ulegając namowom i prośbom sióstr, świadoma, że ich rozstanie jest jednocześnie tym pierwszym i ostatnim.

Dorota Mahlo pozostała w Polsce, ponieważ nie była w stanie wyobrazić sobie życia poza nią. W Polsce oraz tej najmniejszej ojczyźnie – Głogówku, wszystko się dla niej zaczęło i zgodnie z jej wolą, to właśnie tam zakończyć miała swoją ziemską podróż. Przez Polskę przebiegały wszystkie południki i równoleżniki jej istnienia, to tu mieściło się centrum jej świata – nic więc dziwnego, że zmuszona dokonać całkowitego przewrotu, tak bardzo przeżyła rozstanie z domem rodzinnym – w Głogówku zabrakło dla niej bowiem miejsca. Wybór padł na spokojne miasteczko w Wielkopolsce – Jarocin. Tam, poświęcając cały swój czas pisaniu oraz pierwszej, ukochanej wnuczce Beacie, leczyła wciąż świeże po wojnie rany, jednocześnie śledząc pilnie karierę młodszej córki – Aleksandry, która obciążona balastem historii, zapragnęła wyjazdu oraz nowego życia poza krajem. Dużo jednak przyszło jej zapłacić za cenę marzeń. Aleksandra dopiero co otwierając nowy rozdział życia w Zurychu, pozostała zraniona i samotna po nieudanym związku. W obliczu takiej sytuacji coraz częstsze stały się podróże Doroty do córki. Nie wpłynęło to pozytywnie na samopoczucie Doroty – kilkunastogodzinne podróże do Zurychu sprawiły, że wiecznie młoda duchem, zaczęła podupadać na zdrowiu. Swoim żelaznym uściskiem objęła ją nieuchronna starość. Zamieszkała w Zurychu.

Od tej pory babcia Dorota toczyła nierówną walkę z samotnością i wdzierającą się do jej nowego życia tęsknotą za krajem, który opuściła. Za krajem, w którym zostawiła swoją młodość, przyjaciół, starszą, ukochaną córkę i cały dobytek życia. Z dalekiego Zurychu bacznie śledziła ważące się losy Polski i jej mieszkańców, którzy wychodzili na ulice, protestowali, walczyli z władzą i krzyczeli głośno, na cały świat, jak bardzo są zniewoleni. Żyła problemami swoich rodaków – gdy obalili komunizm, rozpierała ją duma, a wiadomość o wyborze papieża Polaka, przyjęła ze łzami wzruszenia. Nigdy nie straciła kontaktu z żadnym z jej dawnych przyjaciół i pomimo że na co dzień używała niemieckiego, nadal bezbłędnie pisała oraz mówiła po polsku. Nigdy nieprzemijająca nostalgia kumulowała się podczas setek bezsennych nocy oświetlonych jedynie

jasnym światłem latarni niczym niezmąconego spokoju ulic Zurychu. Twierdziła, że nie umie mówić o Polsce, że wywołuje to bezbrzeżny smutek – emigracja była dla niej jakby omamem, krzykiem ciszy, której nadal nie potrafiła zagłuszyć słowami. Właśnie dlatego swoją nostalgię ubierała w słowa zapisane drobnym maczkiem na kartach sumiennie spisywanych pamiętników oraz listów do przyjaciół Polaków. Całą sobą pozostała na zawsze wśród lasów kołysanych lekką bryzą Bałtyku, strzelistych Tatr, które dawały jej poczucie wolności, tak dla niej istotnej. W swoich pamiętnikach starała się pokazać Polskę taką, jaką ją zapamiętała, bez retuszu. Jej dusza rwała się do najszczęśliwszych z perspektywy czasu momentów, dlatego opisy owe zabarwione były humorem. Nierzadko jednak był to śmiech przez łzy. Do samego końca, do dnia jej śmierci, spacerując promenadą nad Zurichsee, była niczym muszla, którą dawno wyłowiono z morza, a ona nadal nim szumi.

* * *

Jestem obywatelką świata – na co dzień mówię w dwóch językach, dużą część moich przyjaciół stanowią obcokrajowcy, ze względu na zainteresowania, żyję na pograniczu dwóch kultur, które każdego dnia ścierają się ze sobą, czyniąc ze mnie osobę tolerancyjną, ciekawą świata i ludzi. Doceniam wartość internetu i staram się poszerzać horyzonty poprzez kontakt z resztą świata. Wielokrotnie, przebywając w towarzystwie osób innej narodowości, szczególnie tych o nieco ciemniejszym od nas kolorze skóry, spotkałam się z przejawami nietolerancji. Między innymi dlatego, obdarzona darem wnikliwej i obiektywnej obserwacji oraz analizy, dostrzegam u moich rodaków wiele wad i nie boję się mówić o nich otwarcie. Boli mnie, że my – Polacy, nadal zbyt bardzo lubimy nasz mały pancerz, który ogranicza nas do krótkowzrocznej stereotypowości i schematyzmu, swój bigos, niedzielny rosołek po powrocie z kościoła, swoich polskich znajomych, a co za tym idzie – polskie poglądy na życie w Polsce oraz, co najgorsze, także poza nią. Mimo tego, wierzę w dialog między narodami – być może właśnie dlatego zaczęłam pracować u boku dziennikarzy, rzetelnie i obiektywnie pisać o polskiej młodzieży, ich rozterkach. Jestem zdania, że media są orędownikiem pokoju – wpajają nam pewne ideologie, pomagają zrozumieć różnice społeczne oraz ukazują światu, jednocześnie piętnując, wszelkie patologie. Aktualna sytuacja na świecie jest dla mnie czymś istotnym, wszak jesteśmy ludźmi przełomu wieków! Czuję się w obowiązku pytać samą siebie – dokąd porwie nas spirala nienawiści i chłodnej kalkulacji kolejnych ofiar zamachów terrorystycznych oraz zatracona dawno granica między człowieczeństwem a bestialstwem? Dokąd zaprowadzi nas ten nagły kryzys wartości? Być może zabrzmi to gorzko, lecz nie deklaruję romantycznej, zdolnej do najwyższych poświęceń miłości do Polski. Nie zarzekam się, że to właśnie w Polsce spędzę całe swoje życie – wszak nikt z nas nie wie, jak potoczą się jego dalsze losy. Nauczyłam się, że wielkie słowa nie znaczą dużo – w istocie najczęściej są całkowicie puste, a i aktualne czasy nie wymagają składania z siebie ofiary na „stosie" Ojczyzny. Jestem patriotką, lecz na swój sposób, który dalece różni się od wzorców oficjalnych. Nie sądzę, żeby pompatyczne manifestacje, przemarsze emitowane w dziesięciu telewizyjnych stacjach czy pochłaniające fortunę koncerty z okazji kolejnych rocznic, rozgrzebywanie wciąż na nowo historii czy pięćdziesiąt dodatkowych wywiadów radiowych naszych „wybrańców narodu", rzeczywiście były obrazem patriotycznej postawy obywatela. Dlatego miłość do ojczyzny wyrażam w inny sposób – realizując się poprzez pracę, ulotną myśl, którą zapisuję na kartkach papieru. Wierzę w potęgę słowa i jego zbawczą moc naprawiania świata. W taki sam sposób powstała ta opowieść – swoisty hołd złożony kobiecie, której serce pozostało w ojczyźnie. Kobiecie, która dla mojej babci była kochającą matką, dla mej matki stała się powierniczką tajemnic i niepokojów młodości, dla mnie – trzeciego pokolenia kobiet Doroty Mahlo, jest żywą legendą, a dzięki niezliczonym analogiom, także inspiracją w twórczości. W mojej rodzinie mawia się, że to właśnie po niej odziedziczyłam zamiłowanie do literatury oraz sztuki pisania, bez której moje życie nie byłoby takie samo – mam świadomość, że bez skrawka papieru, przestałabym istnieć jako człowiek. Moje serce bije dla Polski – poprzez więź pokoleniową, kulturę i sztukę, która wypełnia moje życie oraz wyjątkowość i niezwykłe tło historyczne kraju moich przodków. Przekopuję ziemię słów, wersów, skojarzeń, myśli, szukając zaginionych elementów i samej siebie, a wszystko to czynię pod dumnie powiewającym sztandarem polskiej flagi.

***

Sądzę, że po latach spędzonych na emigracji, od czasu wyjazdu z Polski, wszystkie bolesne wspomnienia babcia skrywała skrzętnie za niewidzialnymi drzwiami, za które rzadko zaglądała, bo inaczej zabiłaby ją tęsknota. Jej pamiętniki, listy, kartki utrzymane są w klimacie wyznań. Są swego rodzaju odą do raju utraconego oraz czułą pochwałą narodowego ducha Polaków, obojętnie w jakim zakątku świata przebywają. Jej serce zamarło w szwajcarskim szpitalu, na gościnnej, choć niezmiennie obcej ziemi, która dzięki obecności córki stała się namiastką „tamtego", utraconego świata, lecz przez ponad siedemdziesiąt lat życia biło z całą siłą jej drobnej postaci, nieprzeciętnego umysłu oraz wielkiej miłości tylko i wyłącznie dla Polski.

W trzydzieści lat po śmierci mojej prababci, pojechałam wraz z mamą do Zurychu. Nie była to jednak zwykła podróż sentymentalna – wiązała się bowiem z nawałem wspomnień, tych bolesnych również. Pokój babci przypominał nieco magiczny bazar zakurzonych pamiątek, rozsypujących się w proch listów, ulubionych książek i bohaterów. Paderewski, de Gaulle, Napoleon... Jej aura oraz ciepło obecne było w każdym zakątku domu, a poczucie metafizycznej obecności nieustannie prześladowało mnie do tego stopnia, iż niemalże podzielałam wiarę tych, którzy swój wiek mogą zliczyć na palcach obu rąk, sądząc, iż wystarczy jedynie wystarczająco intensywnie myśleć o babci, aby znów usłyszeć jej aksamitny, ciepły głos. Pozostało mi po niej trochę drobnej biżuterii, wymodlony różaniec z wytartymi kuleczkami z masy perłowej oraz lektura niektórych jej zapisków, powszednich notatek, kartek, których nie zdążyła wysłać... Wspólnie przecierałyśmy jej dawne szlaki, spacerując ramię w ramię wzdłuż i wszerz ukochanego ogrodu botanicznego oraz podziwiając w zadumie zachody słońca na promenadzie, na której siadywała pogrążona w lekturze książki – my, przedstawicielki trzech pokoleń kobiet Doroty Mahlo...

(Praca nagrodzona w kategorii młodzieżowej X Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. E. Paukszty w Kargowej.)

Wojciech Jachimowicz

Floreny aptekarza

Wiosna przyszła tego roku nagle. Czuło się ją bardziej po zapachu, niż patrząc na biedną zieleń łąk za domostwami. Dzień stał się już dłuższy i mieszczanie ze zdziwieniem spoglądali na wolno zachodzące słońce nad dachami Kargowej. Życie w tych dniach przenosiło się sprzed kominków i pieców na ławeczki pod domami i plac obok ratusza. Resztki tegorocznych śniegów pozsuwane w niekształtne, niskie sterty barwy brudnej ścierki, ostatnimi strużkami wydawały z siebie wody o nieokreślonym kolorze. Płynęły te cieki między okrąglakami miejskiego bruku i znikały albo w krzakach wewnątrz ogródków, albo w inny przedziwny sposób zapadały się pod ziemię. Bywało, że zatrzymywały się w zagłębieniach placu, tworząc malutkie jeziorka z wyspami kamieni wystającymi nieregularnie z płaskiej tafli brudnej wody. Za ciepło już było na kożuchy, więc co zamożniejsi mieszczanie pozakładali na swe karki lżejsze czarne płaszcze z belgijskiego sukna. Częściej otwierano okna w niskich domach dla wpuszczenia do pokoi świeżego i trochę jeszcze wilgotnego powietrza. Kobiety czyściły małe szybki okienne z odpadającym z ram szarym kitem, wymagające już nagłej naprawy. Wiosenne deszcze nie dokuczały, a przebiśniegi pchały się do kwitnienia całymi kępami, odcinając się świeżą zielenią płaskich listków od jeszcze brązowawych zeszłorocznych traw. Uliczki były zdatne do spacerów, więc częściej widywano powolnym krokiem chodzących zażywnych kupców.

Ze sklepu mydlarskiego wyszedł powolnym krokiem niewysoki aptekarz w czarnym płaszczu i kapeluszu z króliczego filcu. Omijając kałuże, zakręcał nieoczekiwanie w różne strony, aby swoich wysokich trzewików nie pomoczyć. Buty miał zawsze wypastowane i suknem przetarte dla połysku.

Aptekarz Beniamin miał zwyczaj kupować w mydlarni kawałki pachnącego mydła. Sam je najpierw wąchał i przebierał w skrzynce, później upatrzoną kostkę owiniętą w szary papier wkładał do kieszeni i – po grzecznościowych zwrotach wypowiadanych do młodej sprzedawczyni – wychodził.

Zauważył nagle, że to już zima się skończyła, czego do tej pory nie dostrzegał. Zgiął łokieć, spojrzał na rękaw i dopiero do niego dotarło, że gosposia podała mu do ubrania płaszcz, a nie, jak od miesięcy, brązowy kożuszek. Szedł do swojej apteki, rozmyślając teraz bardziej nad wiosną, która go zaskoczyła, niż nad omijanymi kałużami.

Jego kawalerski żywot płynął monotonnie i bez większych wzruszeń. A tu nagle ta wiosna, nad którą rozmyślał już długą chwilę w czasie powrotu.

Wszedł przez oszklone drzwi ozdobione piaskowanymi wzorami. Nad apteczną mensą stał jego pomocnik z drucianymi okularkami zsuniętymi na koniec grubego nosa, ubrany w szarawy kitel. Za jego plecami wyższe półki wypełnione były fajansowymi słojami z łacińskimi napisami w sinym kolorze. Poniżej butle z brązowego szkła i mniejsze, przezroczyste flakony pełne destylatów o mało atrakcyjnych barwach. Maści, zioła i proszki powkładane były w niekończących się rzędach małych szufladek opatrzonych owalnymi porcelankami z czerwonymi i czarnymi literami angielskiego pokroju. Powietrze przepełnione mieszaniną kamfory, alkoholu i tranu

uderzało za każdym razem w nozdrza wchodzącego Beniamina, rozpraszając jego myśli czasem odległe od aptecznych spraw. Wracał prędko do rzeczywistości i brał się do nałożonych na każdy dzień obowiązków.

Stanął przed wieszakiem w pracowni, zdjął palto i spojrzał na stół laboratoryjny ze stojącą na nim szklaną aparaturą do ekstrakcji, gdzie miał zwyczaj umieszczać na statywie recepty i zapiski o ważnych sprawach. Na jednej karteczce miał zapisany i podkreślony czerwonym atramentem – wtorek. Tak, pomyślał – to przecież dzisiaj gramy partyjkę.

Pomaszerował przez salon do kuchni i mówił gospodyni o wieczornym spotkaniu. Zalecił, co ma być przygotowane do jedzenia i picia na dzisiejszy wieczór. Zorientował się jednak, że kobieta doskonale wie, co ma robić i dostrzegł w jej ciepłych oczach pobłażliwy wyrzut. Gospodyni z litościwym uśmiechem pokiwała głową, a Beniamin skinął powoli ręką i wyszedł nieco zakłopotany. Przypomniało mu się, że przecież wczoraj to wszystko już omówił.

Siódma wieczorem nadeszła szybko. Pierwszy pojawił się organista. Trochę zziębnięty, w rozpiętym palcie, czerwony na twarzy od wiosennego chłodu. Rzucił okrycie na oparcie krzesła i ustawił się plecami do ciepłego pieca obecnego od zawsze w rogu salonu. Pyszniący się ozdobnymi kaflami piec z duchówką zamykaną żeliwnymi, ażurowymi drzwiczkami był ozdobą pokoju. Ci, którzy po raz pierwszy stawali przed nim, oglądali ukradkiem kuso ubrane nimfy tańczące pośrodku drzwiczek. Później i tak odwracano się i grzano plecy zdrowym ciepłem przenikającym od szkliwionych kafli. Nad paleniskiem widać było czarne smużki po dymie, lekko uchodzącym przy rozpalaniu, które wycierali surdutami grzejący się goście, po oglądnięciu roztańczonych, żeliwnych postaci. Cała ta zduńska budowla zwieńczona była antyczną nastawą w kolorze trawiastej zieleni, na którą i tak mało kto zwracał uwagę, zajęty zazwyczaj drzwiczkami.

Kuranty z szafkowego zegara odegrały całą frazę z zapomnianej opery i do pokoju wszedł miejscowy złotnik Ludwik, jakby ledwo co oderwany od swojej kuli grawerskiej. Taszczył w ręce sfatygowaną, skórzaną torbę z narzędziami. Właściwie to nikt nie wiedział czemu chadzał z tym rzemieślniczym bagażem. Była tam zapakowana waga szalkowa z powykręcanym cybantem i z malutkimi ćwierćuncjowymi odważnikami w drewnianej szkatułce i chyba kopa innych instrumentów. Przy stawianiu tego niecodziennego ładunku zawsze dzwoniły stalowe rygle i cęgi z polerowanej stali.

Trzej gracze siedli do nakrytego aksamitem stołu. Jednak zamiast zająć się tasowaniem talii zaczęli od pachnącej kawy i przygotowanego poczęstunku. W takich wypadkach chodziło raczej nie o posiłek, ale o tę niezwykłą atrakcję, która następowała przed partyjką.

Na blacie dębowego kredensu, zajmującego dużą część pokoju, z przeszkloną nastawą wypełnioną fajansem zdobionym wzorami sinego ornamentu, stała wysoka klatka z mosiężnych drucików. Hodował w niej gospodarz czarnego kosa z żółtymi paskami dookoła oczu. Ptak był usposobiony spokojnie i nie dawał niepotrzebnie znać o sobie obecnym. Siedział na zawieszonej w połowie klatki mahoniowej huśtawce i to jednym, to drugim oczkiem przyglądał się graczom przy stole. Beniamin tylko czasem wypuszczał kosa. A były to okoliczności dość osobliwe. Goście, jedząc drożdżowe ciasta poukładane na srebrnej tacy z misternym filigranem, pozostawiali jakieś okruszki na ciemnym obrusie – podobno przypadkiem. Wtedy to właśnie kos, którego nazywano kurką, był wypuszczany prosto na stół. Biegał ochoczo po aksamicie, wprawnie wydzióbując to, co pozostało z poczęstunku. Aptekarz po takim popisie oceniając, że porządki zostały już zrobione, delikatnie zaganiał dłonią kurkę do ustawionej na końcu stołu klatki. Kos posłusznie w ptasich podskokach kierował się we właściwą stronę i wszedłszy do klatki, wskakiwał na huśtawkę. Beniamin dumnie zamykał drzwiczki na esowaty haczyk i odstawiał mosiężne mieszkanie na kredens. Na stole było posprzątane.

Rozdano wreszcie do pierwszej partyjki podłużne karty z czerwonymi dzwoneczkami. Złotnikowi jakoś wypadła na stół jedna karta z dziewięcioma sercami i wyrysowaną wieżą z Lipska. Nie przeszkodziło to jednak w rozpoczętej grze.

Zaczęli rozprawiać mimochodem o tym, ile postawią w karcianym banku. Stawiano zwyczajnie jakieś marne miedziaki, ale bywało, że w hazardowym zapale ktoś kładł drobną srebrną monetę. Dzisiaj jednak chyba wiosna dodała animuszu graczom, bo zaczęli mówić o złotych florenach. Podgadywał organista i wtórował mu w tym złotnik Ludwik. Wszyscy dobrze wiedzieli o czarnej szkatułce aptekarza, który gromadził w niej rzadkie okazy weneckich florenów. Owa szkatułka, wykończona czarną laką z japońskim znakiem, była mistycznym

przedmiotem, którego istnienia wielu się tylko domyślało. Zbiór ten, choć prawie nikt go nie widział, uchodził za niespotykany skarb ciągle powiększany przez aptekarza. Czasem wyjeżdżał Beniamin pospiesznie do Poznania po otrzymaniu jakiegoś tajemniczego listu w szarej kopercie z okrągłym stemplem. Spekulowano wtedy tylko, że jeździ koleją po następną monetę, o której donosił mu zaufany antykwariusz z poznańskiego rynku. Powroty były już spokojniejsze i przez kilka następnych dni Beniamin chadzał przez rynek wyraźnie zadowolonym krokiem.

Niby to żartem zaproponowano postawienie kilku florenów do karcianego banku. Aptekarz się zaczerwienił, poprawił halsztuk i powiedział, że żadnych florenów nie postawi. A jak ktoś chce je przeliczyć, to będzie mógł to sobie zrobić, jak je znajdzie. Zapalił się tak do tej myśli i dał słowo, że codziennie będzie koło nich chodził chętny do liczenia i patrzył na nie, a znaleźć i tak ich nie znajdzie. „Tak jak w przysłowiu, tym o stojącym po kolana w wodzie i proszącym pić" – dodał ściszonym już głosem aptekarz, spoglądając kolejno na karcianych przeciwników.

W pokoju zrobiło się jakoś dziwnie. Rozmowa przestała się kleić, tematy uciekały i wyglądało to już na przedwczesny finał wieczornej partyjki. Myślano już tylko o błyszczących florenach aptekarza i jego niespodziewanej deklaracji. A że był człowiekiem bardzo słownym, to pewnym już było, że wykona wypowiedziany zamiar.

Przy rozstaniu Beniamin jeszcze dodał, że floreny nie będą schowane w domu, a na zewnątrz. I więcej już się nie odezwał tego wieczora. Podawał tylko bezwiednie dłoń wychodzącym, a na jego twarzy pojawiło się chytre zadumanie zawziętego kolekcjonera, górującego intelektem nad dyletantami.

Tej nocy długo było widać w oknie na piętrze apteki światło i ruchomy cień przechadzającego się miarowym krokiem Beniamina. Nad ranem jadący furmankami na targ chłopi spostrzegli aptekarza biegnącego przez rynek w stronę kościoła. A służka z domu obok ratusza, myjąca schody wodą z dobrymi jeszcze mydlinami od wieczornego prania, opowiadała, że aptekarz kręcił się pod rusztowaniem stojącym przy wieży świątyni.

Wiadomość o zapowiedzi aptekarza przy kartach rozeszła się nie wiadomo jakimi sposobami po mieście. W każdym razie na jarmarku już po tygodniu wymyślano, gdzie to aptekarz mógł schować złote floreny. Wersje były niekiedy oszałamiające. Opowiadano o kościelnych skarbonkach, chrzcielnicy, stopach putta w ołtarzu i zakopaniu pod miejskim brukiem. Była też opowieść o zamurowaniu florenów w ścianie kościoła. Niektórzy kramarze handlujący pod ratuszem, ukradkiem opukiwali kościelne mury małymi młoteczkami, nasłuchując jakiegoś głuchego echa wydawanego przez spodziewaną pustkę między cegłami.

Roku trzeba było, żeby emocje opadły w mieście i zapomniano o całym zamieszaniu.

Wieża kościelna po wymalowaniu błyszczała nowością, a rusztowanie zniknęło rozebrane przez malarzy. Jedynie teraz aptekarz Beniamin częściej przechadzał się obok odnowionej wieży i patrzył w górę na jej wyzłoconą puszkę pod krzyżem.

Po kilku latach jesień całymi tygodniami trzymała złote liście klonów na gałęziach. Można było też do woli napaść oczy mieniącymi się w łagodnym słońcu, karminowymi blaszkami kołyszącymi się na rozłożystych gałęziach szpaleru czerwonych dębów obok drogi na cmentarzyk za miastem. Trzmieliny nad rowami pokazywały pomarańczowe owoce otoczone pootwieranymi łuskami w czerwonym kolorze. Nie brakło też dorodnych kasztanów powkładanych w kolczaste futerały, walających się pod drzewami, których dzieci nie nadążały zbierać do tworzonych zastępów ludzików z zapałczanymi nóżkami. Taką porą aptekarz Beniamin zmarł nagle, nie zostawiwszy ani spadkobiercy, ani testamentu. Dalecy krewni przeszukali, jak to w takich razach bywa, dokładnie całą aptekę, od suszarni ziół na strychu, po śmietnik z drzwiczkami obitymi cynkową blachą wystawiony na podwórku i nie natrafili na żadnego złotego florena, nie kryjąc nawet już na stypie niezadowolenia. Żałobnicy z rodziny siedzieli przy stole zastawionym obficie i chytrze spoglądali na siebie, wzajemnie podejrzewając się o to, że któryś dopadł do florenów i po cichu zabrał złoto tylko dla siebie.

Krewni rozjechali się do siebie bez pożegnań, dając tym powody do plotek na swój temat miejscowym matronom stojącym na odwiecznej straży moralnego porządku w mieście. Wtedy to powróciły opowieści o skarbie i zapowiedzi jego ukrycia w widocznym miejscu.

Stójkowy z posterunku, po tych zdarzeniach, naprędce zrobił nielegalne dochodzenie i dowiedział się, że widziano w ten pamiętny wtorkowy wieczór, po wyjściu graczy z apteki, Beniamina schodzącego

z rusztowania przy wieży. Opowiadający to stójkowemu zajadły pijak twierdził, że przed zejściem aptekarz coś podobno majstrował koło puszki pod krzyżem nad hełmem wieży. Przepytał też jednego starego organistę, który opowiadał, że spostrzegł w parafialnych księgach na koszulce okładki zapisane sokiem z cytryny, ledwo dostrzegalne wykazy jakichś przedmiotów z łacińskim słowem *aurum*, które jakoby były w kolekcji Beniamina. Na uprzejme prośby stójkowego proboszcz jednak nie zezwolił na wertowanie ksiąg kościelnych. I całe śledztwo zakończyło się tylko powstaniem nowych domysłów opowiadanych przy towarzyskich spotkaniach w salonikach kargowskich kupców.

Nikt jednak do tej puszki jeszcze nie zajrzał. Bo nie wypadało pijakowi wierzyć i wchodzić tak wysoko, ryzykując upadkiem. Chociaż jednemu czeladnikowi kominiarskiemu, przed laty, zachciało się tam dostać po trzech kuflach grodziskiego piwa. Jednak poślizgnął się na gładkiej i mokrej od wieczornej mżawki blasze hełmu wieżowego i spadł na kościelny dach, ledwo zachowując życie. Kiedy pytano go, po co tam właził, pokazywał tylko bliznę po złamaniu na lewej nodze i nic opowiadać nie chciał na temat swojej wyprawy. Za ten wyczyn musiał też sporo zapłacić, bo porozbijał wiele dachówek kościelnych, które dekarze wymieniali po nieszczęsnym upadku. Przezwano go za to „złota sadza", a gromada dzieciaków biegała za nim z wrzaskiem, gdy chodził przez rynek z drabinką kominiarską na ramieniu.

Wiadomość o kolejnej wojnie nadeszła do miasta niespodziewanie i wlała się nie tylko w rozmowy, ale zaplątała w myślach mieszkańców. Rozmawiano o militarnych sprawach, batalionach przechodzących piechurów, bitwach tych toczących się naprawdę i tych, o których paru rezerwistom się tylko wydawało, że były. W tym czasie pamięć o florenach w świadomości zatarła się zupełnie, przygnieciona wojennymi wydarzeniami i listami przychodzącymi z frontu o zaginionych i zabitych. Nawet dziecięce zabawy w poszukiwaczy aptekarskiego skarbu, z podobno prawdziwymi za każdym razem mapami, przestały być ulubionym popołudniowym zajęciem gimnazjalistów. Bawiono się już tylko w partyzantów i rozstrzeliwanie złapanych szpiegów wrogiego mocarstwa.

(Wyróżnienie w X Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. E. Paukszty w Kargowej.)

Zawsze jest czas, by zaczynać od nowa

Wywiad z Małgorzatą Kalicińską, autorką poczytnych powieści, przeprowadziła Elżbieta Wozowczyk-Leszko

– Ciepłe i niebanalne opowieści o sprawach dziejących się tu i teraz sprawiły, że na kartach Pani książek odnajdujemy obrazy z własnego życia. Dlaczego „kura domowa" sięgnęła po pióro, co najbardziej ceni w życiu i czy lubi dawać dobre rady, dowiemy się z rozmowy.

– Moja historia to taka bajka o pucybucie. Wyszłam niejako z kuchni, chociaż nie całe życie tam „garowałam" i wystartowałam od razu jako osoba pisząca (ciągle jakoś ta „pisarka" nie może mi przez usta przejść). Nie wiem, ile lat będę musiała czeladniczyć w tym zawodzie, żeby się sama nazwać pisarką. Mam w sobie sporo pokory. Poprzednio było całe mnóstwo różnych zawodów, z których najważniejszy to „pani domu". Mimo całego mojego feminizmu, zaangażowania się w sprawy kobiet (zaangażowania mentalnego, bo nie działam nigdzie aktywnie), uważam, że rola kobiety domowej, jeśli jest z wyboru i jest lubiana, jest ważna i w moim przypadku tak było.

– Napisała Pani wyjątkowo optymistyczną książkę, choć losy jej bohaterów są bardzo pogmatwane. Co sprawiło, że powstała?

– Napisałam ją wyłącznie dla siebie, w momencie, w którym, jak to się teraz mówi, dałam po bandzie. Życie mnie bardzo przykro doświadczyło (zbankrutowaliśmy). Mielę to w wielu wywiadach i pewnie ludzie mają już tych opowieści dosyć, ale niektórzy czerpią z tego siłę. Doświadczyłam faktu, że los jedną ręką zabiera (bo nam zabrał absolutnie wszystko), a drugą ręką daje. Tylko bardzo często nie dostrzegamy tej drugiej ręki, która nam coś daje. To są nasze ukryte talenty, przyjaciele, pomocne osoby czy zdarzenia. No i mnie się to wszystko wydarzyło. Po pierwsze jakiś talent ze mnie wylazł, po drugie moja córka bardzo we mnie wierzyła i bardzo serdecznie pomagała, po trzecie pan Tadeusz z Poznania, który mnie wydał, miał we mnie świętą wiarę. To wszystko sprawiło, że rzeczywiście życie mi się odmieniło po tym ciężkim upadku i przykrym doświadczeniu.

– Nigdy nie przyszło Pani do głowy, że książkę ktoś mógłby przeczytać, wydać, skrytykować, zachwycić się?

– Pisałam do szuflady, absolutnie. Miałam strasznie małą wiarę w siebie, ponieważ nigdy wcześniej, nigdzie, donikąd nie pisałam. Umiałam tylko pyszczyć. Pracowałam w telewizji, udzielałam się w programie na żywo i szło mi to bez tremy. Wymowa, która jest w miarę potoczysta w moim wypadku, nie przeszkadzała mi, natomiast nigdzie nie byłam „wypisana" i nie wierzyłam, szczerze mówiąc, że piszę jakieś epokowe dzieło. Rzeczywiście ugłaskiwałam swoją własną duszę. Ale to też jest tak, że jak ma się pięćdziesiąt lat, to nie robi się tego po łbach, jakby robiło się sweter na drutach. Będę ten sweter pruła i poprawiała tyle razy, aż będzie na mnie leżał w sposób doskonały. Tak samo dopieszczałam tę książkę, nie myśląc o tym; moja córka była przekonana,

że to będzie coś, co zaproponujemy wydawcom. Oczywiście, gdzieś tam pod skórą, jak już skończyłam tę książkę pisać, to takie były mróweczki „a może jednak?". No i wtedy moja Baśka tupnęła nogą i powiedziała: „Jasne, że tak, wydajemy".

– Oczywiście cały czas mówimy o książce *Dom nad rozlewiskiem*, która zapoczątkowała cykl opowieści „nad rozlewiskiem".

– Tak, mówimy wyłącznie o tej książce, dlatego że była pisana bez portretu wyobrażenia odbiorcy. Odbiorcą byłam ja sama. I może dlatego ta książka trafiła do dziewczyn, plus minus pięćdziesiąt, plus minus czterdzieści. Trzydziesto- i dwudziestolatki też zdarzają się w gronie czytelniczym, może dlatego że jest to książka nieprawdopodobnie autentyczna w sensie emocjonalnym. To nie jest moja autobiografia, to jest kreacja, gdzieś jednak podparta moimi doświadczeniami życiowymi. Nie napisałam jej na zamówienie czy po to, aby zrobić oszałamiającą karierę.

– Akcja książki rozgrywa się w agencji reklamowej. W Pani życiu taki epizod też miał miejsce. Czy dostarczył aż tak wielkich emocji, które skłoniły do głębokiej refleksji nad tym, dokąd zmierzamy, kim jesteśmy?

– Główna bohaterka, Gosia jest na swój sposób – początkowo mogło by się wydawać czytelnikowi – dość szczęśliwa. Natomiast ma swoje zahamowania, problemy, kompleksy, nieudany związek, w którym czuje się szalenie niepewnie. To, w czym naprawdę czuje się pewnie, to macierzyństwo i związek z Manią, z którą jest w bardzo dobrych układach. Myślę, że w pewnym momencie Gosia zaczyna siebie lubić, a dopóki same siebie nie polubimy, to naprawdę niewiele możemy zdziałać przede wszystkim dla siebie, ale też i dla świata.

– W tej książce nie znajdziemy gotowych recept i odpowiedzi na pytania, które mogą dręczyć kobiety, co zrobić ze swoim życiem. Jedyna podpowiedź jest taka, że jak chcesz, to możesz.

– Przede wszystkim jest to książka o poszukiwaniach. To nie jest moralitet. Moja bohaterka popełnia błędy, gafy, ale naprawia je. Tak jak każda z nas. Nie ma tu recepty, ale głośne zawołanie „szukaj!". Jeżeli masz za ciasny kostium, to go zmień albo go rozpruj i uszyj na nowo. Jak cię maska nałożona na twarz pije, to ją zdejmij. Pokaż światu swoje prawdziwe oblicze. Jeśli świat z tobą nie wytrzyma, to niech idzie w bok. Jest to książka o poszukiwaniach i o tym, że można się mylić. Z kolei w *Miłości nad rozlewiskiem* głównym przesłaniem jest to, co bardzo chciałabym, żeby weszło w krew ludziom, a mianowicie, żeby przebaczali. O tym, że można przebaczyć i z przebaczeniem żyje się lepiej jednej i drugiej stronie.

– W Pani książkach jest bardzo dużo rozmyślań o tym jak kochać, jak przebaczać właśnie, jak radzić sobie z miłością, zazdrością, namiętnościami, które targają ludźmi. Dodatkowo bohaterzy uwikłani są w niezliczone problemy – alkoholizm, rozbite rodziny, nieudane związki, choroby.

– Myślę, że jak popatrzymy do tzw. statystycznej rodziny, to w każdej coś jest. Jestem zdumiona tym, że Polska znów weszła w etap lakieru i cukru. Wmawia się nam na przykład, że osób niepełnosprawnych praktycznie rzecz biorąc, nie ma. A to dlatego, że się im ograniczyło dostęp do, że tak powiem, normalnego świata. Owszem, są podjazdy i czasami windy, ale to nie załatwia sprawy. My nie jesteśmy gotowi na integrację z osobami kulawymi, upośledzonymi, posługującymi się o wiele lepiej białą laską, dotykiem, słuchem niż wzrokiem. W nas leży problem. W każdej rodzinie znajduję się ktoś, kto ma jakąś skazę. Albo jest to mniej lub bardziej ukryte picie, albo są to jakieś problemy z charakterami. Tylko pisanie o tym jest traktowane na zasadzie: „O matko, ile tu Pani nawsadzała nieszczęść!". To nie są żadne nieszczęścia. Myślę, że jest to taki duży portret prawdziwości, jaka znajduje się w naszych rodzinach. Życie dużo mnie nauczyło i wiem, jak te rodzinne mozaiki wyglądają. Też spotkałam się z tym peerelowskim lakierem: „no nie, nasze społeczeństwo jest grzeczne, układne, nie ma żadnego alkoholizmu, kalecy tylko powojenni". I dzisiaj, po pewnym okresie odwilży, mamy to samo. Znów w szkołach nie ma żadnego problemu, niepełnosprawni żyją w raju. Ja przeciw temu protestuję, mnie się to nie podoba. W tej książce są takie osoby ze skazami, dlatego że my wszyscy jesteśmy ze skazą. Nawet najpiękniejsza kobieta może okazać się heksą albo złośnicą i też będzie miała tę skazę.

– Czyli jest to literatura faktu, obyczajowa, trochę dziennik, to co Pani lubi najbardziej?

– Fotografia współczesnego społeczeństwa, współczesnej rodziny, podana na ogrzanym półmisku, bo ja jestem osoba ciepłą.

– Przeczytałam gdzieś, że chciałaby Pani napisać „*Dzieci z Bullerbyn* dla dorosłych", czy to prawda?

– Kiedy zaczęłam pisać *Dom nad rozlewiskiem*, moim zamierzeniem było, żeby powstała książka tego typu. Jak byłam dzieckiem i było mi źle, to sięgałam po *Dzieci z Bullerbyn*. A jak było mi źle, kiedy upadł nasz majątek, kiedy zbankrutowaliśmy, to chciałam napisać „*Dzieci z Bullerbyn* dla dorosłych". Tak nazywam *Dom nad rozlewiskiem*. W nim jest bardzo dużo moich fascynacji literackich i można tam, troszeczkę szperając, odnaleźć osoby, które wycisnęły na mnie jakieś literackie piętno. Na pewno będzie to Astrid Lingren, od niej nie odwrócę się nigdy.

– Wróćmy do Pani „zajęć" sprzed pisania książki. Jak spełniała się Pani w roli nauczycielki biologii? Jak czuła się Pani w roli absolwentki Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego?

– Zrobiłam straszny błąd, idąc na studia, które wymyśliłam „od czapy". To były czasy, kiedy kończyło się, jak się coś zaczynało. Moja mama tego ode mnie wymagała. Jestem córką nauczycielki i przez całe życie powtarzałam, że nigdy przenigdy nie zostanę belfrem. Po czym, jak obroniłam pracę magisterską w Instytucie Oświaty Rolniczej, to swoje kroki skierowałam do szkoły w Konstancinie Jeziornej, a potem pracowałam w podstawówkach na Gocławiu. Także ten gen belferski gdzieś jest, naukowcy muszą się za niego zabrać i wreszcie go odkryć, dlatego że mimo tego odżegnywania się, ten gen sprawił, że przez kilka lat byłam nauczycielką. Ogromnie sobie to ceniłam, bardzo lubiłam tę pracę. Jak też chyba wszystkie inne. Jestem osobą w miarę pogodną, tylko że spod znaku wagi wrześniowej, a to oznacza słomiany ogień. Zapalam się, płonę i jak gasnę, już nie wracam do tego, co za mną, więc ani do belfrowania nie wróciłam, ani do telewizji, ani do innych zawodów, które wykonywałam. Teraz jest zupełnie coś innego przede mną. To, że ktoś zaczął pracę w którymś tam roku i po pięćdziesięciu latach przechodzi na emeryturę z goździkiem, to wspaniale, a to, że my siebie zmieniamy i przeskakujemy z jednego miejsca na drugie zawodowo czy emocjonalnie, to nic złego, po prostu wrześniowe wagi tak mają.

– Duży sukces *Domu nad rozlewiskiem* sprawił, że stała się Pani osobą popularną, rozpoznawalną. Na spotkania z Panią przychodzą tłumy czytelników. Jak była kura domowa radzi sobie z nowymi obowiązkami? Czy zostanie Pani pisarką?

– Szczerze mówiąc... ciągle mi to słowo pisarka... nie chce jakoś... Będziemy próbować. W każdym razie teraz zajmuję się rzeczywiście tym, co robią pisarki, a mianowicie jeżdżę na spotkania z czytelnikami. Pisanie odłożyłam na jakiś czas, ponieważ potrzebuję skupienia i takie skakanie po Polsce ruchem konika szachowego nie sprzyja czemuś takiemu. Mogę najwyżej skupiać się w małych formach, co też czynię, pisując do wspaniałego czasopisma „Bluszcz", które promuje bardzo dobrą literaturę. Niechcący znalazłam się tam jako parafelietonistką, dlatego że są to rzeczy, które stoją gdzieś obok felietonu. Dopiero uczę się, ale jestem ogromnie wdzięczna, że mogę robić coś takiego po raz pierwszy. To jest w ogóle wielka frajda, jeśli człowiek w moim wieku, czyli w tej takiej drugiej połowie owocującej, nie mówię o owocach w osobach dzieci, tylko mówię o owocach mentalności, umysłu, kiedy człowiek w drugiej części życia może się uczyć różnych nowych rzeczy. Mnie to się podoba. My, wagi tak mamy. I oby tak się działo do końca mojego życia. To jest bardzo ciekawe.

– O ile *Dom nad rozlewiskiem* to książka, którą napisała Pani dla siebie, to podejrzewam, że następne były już wynikiem zapotrzebowania czytelników, no i pewnie ten wydawca chciał, skoro tak dobrze poszło z pierwszą.

– Pan Tadeusz bardzo zaufał mojemu pióru, czując w tej książce jakiś potencjał. I to, że namówił mnie do napisania *Powrotów nad rozlewiskiem*, wycisnęło ze mnie rzeczywiście dużą dawkę emocji. Jest to książka szalenie wprost lubiana przez pokolenie plus minus pięćdziesiąt pięć, nawet pokolenie starsze. Na spotkaniach z czytelnikami starsze panie mówią mi ze łzami w oczach, że po pierwsze nie ma dla nich książek współcześnie pisanych (oni nie są tzw. target grupą) i to jest jedyna książka, która do nich bardzo głęboko przemawia. Musiałam wykonać spory szpagat umysłowy, żeby sięgnąć do lat, których nawet nie pamiętam. Rok 1945... moja mama była osobą bardzo młodą, więc co dopiero mówić o mnie. No ale od czego jest dokumentacja i wiedza zdobywana na ten temat... Tak więc sobie myślę, że ta książka słusznie powstała i słusznie pan Tadeusz ją ze mnie wycisnął. Natomiast *Miłość nad rozlewiskiem* wywierciły mi w brzuchu czytelniczki, ale zapewniam, że to już jest koniec. Nie będę ciągać flaka dalej, dlatego że zrobiłabym krzywdę i czytelnikom, i sobie. Trzeba skończyć w dobrym momencie.

– We wszystkich Pani książkach pojawiają się przepisy kulinarne. Czy opracowała je Pani i wypróbowała samodzielnie?

– Jak ma się pięćdziesiąt dwa lata i jest się ustawicznie matką karmiącą, to te przepisy są po prostu integralną częścią takiej kobiety. Tym bardziej przyjemnie było mi je wkładać do książki, bo wiele z nich to są „bieda potrawy", które bardzo chciałabym uratować od zapomnienia. Te „bieda potrawy" też są nostalgicznym wspomnieniem wielu osób, które przychodzą i mówią: „wie Pani, u mnie w domu też robiło się zupę z dyni czy też robiło się gołąbki ziemniaczane, i jak to fajnie, że Pani to przypomniała". Ogromnie cieszę się, że wpadłam na tak genialny pomysł.

– Jedna z Pani bohaterek mówi, że „lepiej być dobrym rzemieślnikiem niż do d... artystą".

– To są słowa mojego ojca. Jak w ciężkich bólach rodziłam te swoje studia na SGGW AR, wiecznie obrywając dwóje albo trójе, podsłuchałam, jak tato mówił w łazience do mamy „Marynko, niech już ona przestanie się tak męczyć. Lepiej być dobrym rzemieślnikiem niż do dupy magistrem". Poczułam wtedy ogromną frajdę, że tato mnie rozumie, że wie, o co w tym wszystkim chodzi. Myślę, że może jednak dobrze się stało, że dociągnęłam te studia do końca i nie jestem rzemieślnikiem... A może jestem? Muszę to przemyśleć.

– W Pani książkach często pojawia się motyw matki. Przychodzi taki moment, kiedy odrywamy się od swoich rodziców. Czasami na stałe, czasami wracamy, bywa, że w różnych okolicznościach.

– Myślę, że jest to długi proces. Swego czasu przeczytałam artykuł o strasznych konfliktach międzypokoleniowych, między matkami i córkami. Byłam tym zdruzgotana. Po pierwsze – nie miałam żadnych konfliktów z własną córką, nie miałam też wielkich konfliktów z własną matką. Jednak gdy zaczęłam rozmawiać na ten temat z dziewczynami, okazało się, że różnie to bywało. Przeczytałam też mądrą książkę o tym, że to przede wszystkim w świecie chłopięcym jest tak, że chłopiec musi oderwać się od matki, żeby stać się mężczyzną. Było to porównane z wyprawą po świętego Graala. W tym wypadku świętym Graalem jest męskość. W przypadku mojej książki nie był to zabieg celowy, tak się jakoś ułożyło. Tym bardziej że, jak powiedziałam, nie jest to moja autobiografia, ja nie miałam z moją mamą aż tak dramatycznych przejść. Moja mama była innym typem człowieka niż Basia Gnom. Jak pisałam tę książkę, to zdałam sobie w pewnym momencie sprawę z tego, że opisuję nie moją mamę, tylko ciocię Basię, która żyje i ma się dobrze. Ma osiemdziesiąt parę lat, siwiuteńką grzywkę i jest internautką. Zbiera anioły i jest osobą niezwykle sympatyczną. Natomiast chyba ciocia Basia stanowiła dla mnie taki archetyp matki, który kołysałam widocznie w sercu przez całe życie aż do momentu, kiedy zaczęłam pisać *Dom nad rozlewiskiem* i zdałam sobie sprawę, że myśląc o matce, nie myślę o własnej matce, tylko o cioci Basi. Czyli nosimy gdzieś w środku, w sobie jakieś wzorce. Czasami nawet nie zdajemy sobie sprawy z tego, że ci mistrzowie pojawili się w życiu naszym. Może byli bardzo skromni, bardzo cisi, może to była pani od polskiego, może to była druhna w harcerstwie, może babcia lub ciocia. Bardzo dobrze tak myśleć, że się w duszy kogoś takiego ma.

– Czuje się Pani osobą, która może dawać rady innym?

– Jeśli chodzi o książkę, to zawsze powtarzam, że nie jest to żaden moralitet i że każdy może sobie wyciągnąć własne wnioski. Pewien młody człowiek strasznie sarknął na to, że Gosia jest bardzo niekonsekwentna, bo bardzo krytykuje swoje koleżanki z agencji, a sama nie jest od nich lepsza. Oczywiście, że tak! Ale my w ogóle wszyscy tacy jesteśmy, potrafimy udzielać rad np. naszym załamanym przyjaciółkom, a same ze sobą mamy kłopot. Myślę, że potrafiłabym radzić i doradzać, bo mam swój wiek i proces obserwacji życia jest u mnie długi, ale czy czytelnicy muszą koniecznie tego słuchać i podporządkowywać się? Absolutnie nie.

– Znalazłam taki cytat: „Książki mają duszę, duszę tych, którzy je piszą, którzy je czytają i którzy o nich marzą". To jak to jest z tą duszą książki?

– Myślę, że w debiutanckiej książce na pewno sprzedaje się swoją duszę. Nawet gdyby się pisało książkę fantastyczną czy historyczną, to też sprzeda się tam własną duszę. To jest podobno nieuniknione. Natomiast nie wiem, jak to jest później. Nie wiem, czy w ogóle dam radę tyle książek napisać, żeby to sprawdzić. Ale myślę, że najciekawiej jest, kiedy przestaje się sprzedawać własną duszę, a próbuje się stworzyć duszę kogoś całkiem innego. To musi być rzeczywiście wielka sztuka. Ja na przykład nie

potrafię tworzyć paskudnych postaci. Mam taki zarzut stawiany przez koleżanki, że moje postaci są z natury dobre. „Małgośka, jak ty opisujesz zaszczanego pijaka, to ty go kochasz." No... może tak właśnie jest. Chociaż nie jest wcale tak, że ja wszystkich rozgrzeszam. Są takie postaci, które budzą we mnie najgorsze uczucia i najgorsze instynkty i nie wiem, czy nie zamordowałabym kogoś takiego, gdyby stanął blisko mnie. Nie umiem jednak przelać tego na papier, nie potrafię sobie z tym jeszcze poradzić. Może dlatego piszę słodkie książki, dobre, ciepłe, a nie książki rozliczeniowe, takie jak np. *Gnój* Kuczoka – nie umiałabym takiej książki napisać. Chylę czoła, że Kuczok potrafił.

– Czy miała Pani wpływ na scenariusz filmu *Dom nad rozlewiskiem*?

– Próbowałam mieć, pisząc pierwsze wersje scenariusza. Ale to jest tak bardzo trudna sztuka, a ja jestem gosposią domową, która napisała sobie jakąś książkę i niechcący zrobiła karierę. Żeby napisać scenariusz, trzeba być rzeczywiście fantastycznym rzemieślnikiem. Trzeba umieć, znać, trzeba dużo wiedzieć o filmie, o jego kuchni, o montażu, oświetleniu, scenografii, o akcji, dramaturgii, a ja tej wiedzy nie mam. Porwałam się z motyką na słońce zupełnie niepotrzebnie. Scenariusz jest w dobrych rękach i będzie pisany na chwałę tego serialu. Marzę tylko o tym, żeby został zachowany duch książki. Pytanie tylko, czy jesteśmy na to gotowi jako widzowie? Jesteśmy pod opieką Telewizji Polskiej, obsada jest już ustalona. W roli głównej gra Joanna Brodzik. Zarzucano Joasi zbyt młody wiek. Ale jest to podyktowane tym, że nie możemy robić serialu, który jest z góry nastawiony na widownię pięćdziesiąt plus minus, bo bardzo tę widownię zawęzimy. Trzeba było odmłodzić wszystkich bohaterów do takich granic, żeby zagarnąć jak największą liczbę widzów. To jest komercja.

– Czy jest możliwe, że przestanie Pani pisać książki?

– Oczywiście liczę się z tym dlatego, że żyjemy w takich czasach, które w *Domu nad rozlewiskiem* nazwałam czasem „Jętek Jednodniówek". Jestem taką Jętką Jednodniówką. Nie jestem osobą pyszałkowatą i wiem, że przyjdzie kiedyś taki moment i ktoś mi powie „wystarczy, wyszeptałaś się, nie umiesz, nie potrafisz". Albo może się rozwinę. Zobaczymy. Myślę sobie, że jak już przestanę pisać książki, znajdę sobie mnóstwo takich zajęć, które będą mnie satysfakcjonowały, dlatego że wszystko jeszcze przede mną. Zachowuję się trochę tak, jak w powieści, którą uwielbiam, o Lwie Tołstoju. On, mając siedemdziesiąt dwa lata, po raz kolejny potwornie pokłócił się z żoną Zofią, trzasnął drzwiami mówiąc: „Zofia, odchodzę od ciebie, zaczynam nowe życie". I na stacji przesiadkowej zmarł. Myślę, że zawsze jest czas, żeby zaczynać coś od nowa, coś nowego wymyślić. Ja sobie też coś wymyślę.

– Czy dobrze czuje się Pani w towarzystwie innych pisarek?

– Zauważyłam jedną rzecz. Mianowicie, zazwyczaj kiedy padają pytania związane z moimi kolegami czy koleżankami po piórze, to bywają to pytania prowokacyjne w rodzaju rzucania jabłka. I to jest bardzo dziwne, bo takich jabłek nie rzuca się między facetów. Nikt jakoś nie porównuje Kotowskiego i Krajewskiego. Mówi się tylko, że Krajewski pisze dobre kryminały i że Kotowski pisze dobre kryminały. Nie ma próby wbijania między nich żadnego klina. A jeśli chodzi o kobiety, to nam zadaje się takie pytania: czy Pani czuje się drugą Grocholą?, jak Pani czuje się w towarzystwie książek Moniki Szwai?, czy jest Pani bliżej do Kowalewskiej? My, po pierwsze, ze sobą nie rywalizujemy. Ja tego nie odczułam. Jestem w bardzo miłych kontaktach z Monika Szwają. Jestem w miłej korespondencji z Kasią Grocholą. Jestem w zażyłej korespondencji z Manuelą Gretkowską, z Krysią Koftą, która jest mi bardzo bliska i wiekowo, i obie jesteśmy chyba kobietami ciepłymi. Nie odczułam ani razu ze strony żadnej z nich „och! wdarła się w nasze grono jakaś Kalicińska". Wręcz odwrotnie. Ta serdeczność jest naprawdę bardzo duża, a półki księgarskie są tak pojemne, koleżanki się posunęły i czekamy na następną.

– **Dziękuję za rozmowę.**

Bernard Świderski

Mój powojenny, subiektywny Trzciel

Od zakończenia II wojny światowej minęło już sześć dziesięcioleci. Ze sceny schodzi pokolenie ludzi wówczas bardzo młodych – dzieci. Należę do nich.

Poznajemy dzieje wcześniejszych pokoleń, chcemy więc, by i po nas pozostała wiedza w miarę wyczerpująca i obiektywna. Paradoksem jest to, że o Trzcielu i okolicach mamy sporo wiadomości do roku 1945, a niewiele i to bardzo kontrowersyjnych o drugiej połowie minionego wieku. Ukazała się cenna monografia *Trzciel – studia z dziejów miasta* pod red. Marcelego Tureczki, w której jednak nieobiektywnie opisano lata 1945-1989. Rzeczywistość przedstawiona w tej części jest inna od tej, jaką ja, świadek tamtych czasów, zapamiętałem. Na końcu monografii zamieszczono wspomnienia trzcielan. To mądre i zgodne z prawdą treści. Szkoda tylko, że tak krótkie. I to ich autorzy zainspirowali mnie do pisania. Postanowiłem sięgnąć do swoich wspomnień, co dla starszego człowieka jest dobrą okazją do spokojnej refleksji nad odległymi sprawami i swoim w nich udziale. To też okazja do przypomnienia przyjaciół, a także spotkanych wówczas zacnych ludzi.

Jestem prawie trzcielaninem. Prawie, ponieważ urodziłem się w odległym zaledwie o 5 kilometrów Miedzichowie. Okupację przeżyłem 20 km dalej, w Zębowie, miejscu pochodzenia mojej mamy, gdzie do dzisiaj mieszka nasza liczna rodzina.

Do Trzciela przenieśliśmy się w kwietniu 1945 r. Do końca lat 70. mieszkała tu moja mama. Pięć lat wcześniej (1974), na „starym" cmentarzu (jak się mówiło „za torami"), pochowaliśmy ojca. I tam, odnajduję ślady wielu moich znajomych z czasów młodości.

1. Ucieczka, wysiedlenie i wypędzenie Niemców ze Stadt Tirschtiegel

Niemieckie formacje militarne i administracja zostały wyparte z miasta przez żołnierzy Armii Czerwonej, na przełomie stycznia i lutego 1945 r. Przed wycofującym się Wehrmachtem i zbliżającym frontem, Trzciel opuściła większość cywilnych mieszkańców. Ich ucieczki nie widzieliśmy, nas tu wówczas jeszcze nie było.

W pamięć zapadła mi natomiast ucieczka Niemców w styczniu 1945 r., widziana w Zębowie. To był przejmujący obraz. Mróz co najmniej -20°C. Przez wieś ciągnęły dziesiątki wozów konnych. Niosło się daleko skrzypienie kół na zmrożonym śniegu. Wozy załadowane dobytkiem, powożone przez polskich parobków, na nich kobiety i dzieci. Po dwóch, może trzech dniach woźnice wracali pieszo, w odwrotną stronę, opuściwszy swoich „pracodawców". Wrócił także mój kuzyn.

Gdy sprowadziliśmy się do Trzciela, w mieście pozostali jeszcze nieliczni niemieccy cywile. Wysiedlano ich latem 1945 r. Opuszczali miasteczko przegrani. Do tego nie mieli możliwości zabrania całego dobytku, brakowało środków transportu. Akcję przeprowadzało wojsko. Nie zapamiętałem zdarzeń drastycznych, ale nie było też z naszej strony specjalnego współczucia, raczej obojętność. Zbyt świeża pozostawała pamięć doznanych krzywd. W kręgu naszych znajomych trudno było znaleźć rodzinę, która nie straciła bliskich. W naszej, w Powstaniu Warszawskim, zginęło trzech mężczyzn: wuj Michał Błaszczyk (zawodowy wojskowy, piłsudczyk) i jego dwaj synowie (19 i 21 lat).

Wojna w niewielkim stopniu okaleczyła miasto. Zniszczony został pałac i sąsiadujący budynek, a także most na Czarnej Wodzie. Kościół ewangelicki parę lat później rozebrali Polacy. W dobrym stanie technicznym zachowały się budynki, ale większość wymagała remontu. Była linia kolejowa, niezłe jak na tamte czasy drogi, sieć energetyczna (w mieście) i niewielka gazownia, ale chyba tylko do celów oświetleniowych.

Po działaniach wojennych pozostał cmentarzyk czerwonoarmistów, usytuowany w środku Nowego Rynku. Istniał przez parę lat, później prochy żołnierzy przeniesiono na cmentarz wojenny w Międzyrzeczu.

2. Nowi mieszkańcy

Trzciel zaludniali przybysze z Wielkopolski i Kresów Wschodnich przedwojennej Polski, głównie Tarnopolanie. Kilka polskich rodzin pozostało w mieście, pracowali tu w czasie wojny lub zostali zesłani. Pojawili się również „szabrownicy", wywożąc wszystko, co miało jakąś wartość. Słaba jeszcze administracja i zupełnie nieprofesjonalne służby porządkowe nie radziły sobie z tą plagą.

Nowi trzcielanie – przybysze z Wielkopolski (pyry, poznanioki), zajmowali domy, których nie mieli w rodzinnych miejscowościach. Spodziewali się znaleźć tu szanse na godne, spokojne życie. O wyborze Trzciela decydowała ówczesna sytuacja polityczna, nie można było przecież wykluczyć konieczności opuszczenia miasta, a stąd droga ucieczki była krótka.

Wśród osiedleńców byli ludzie niezbędni do funkcjonowania miasta: kolejarze, rzemieślnicy, handlowcy, drogowcy, nauczyciele i urzędnicy. Zasiedlali domy, mając jeszcze na początku możliwość ich wyboru. W niektórych z nich znajdowali wyposażenie. Przybywali głównie z zachodnich powiatów Wielkopolski: nowotomyskiego i międzychodzkiego. Znaleźli w mieście warunki podobne do tych, w jakich żyli dotychczas. Sporo wiedzieli o swoich dawnych sąsiadach. Ich poziom cywilizacyjny był zbliżony do poprzednich mieszkańców: rzemieślnicy stosowali te same metody wytwarzania; rolnicy podobne sposoby gospodarowania; warunki klimatyczne i przyrodnicze były dokładnie takie, w jakich żyli dotychczas. Wybierali Trzciel na miejsce nowego życia niezależnie od wykonywanego zawodu, również rolnicy. „Pyry" zajęły większość gospodarstw rolnych w samym mieście, znajdując w nich urządzenia i potrzebne maszyny.

W kilka tygodni po „poznaniokach", do Trzciela i sąsiednich wsi dotarli wysiedleńcy i uchodźcy ze Wschodu – głównie z województwa tarnopolskiego, z powiatów Buczacz i Trembowla, a także innych miejscowości dorzecza Dniestru. To tereny położone od nas ponad tysiąc kilometrów, z odmienną kulturą Wschodu. Ludzie ciężko doświadczeni podczas wojny i okupacji, zarówno przez Niemców, jak i bandy ukraińskie. Zostawili na wschodzie prawie wszystko, podobnie jak tutaj Niemcy. Jedni i drudzy stracili majątek – dorobek całych pokoleń. Tragedią polskich rodzin było dodatkowo rozdzielenie, część z nich związana małżeństwem musiała tam zostać. Jedni w Trzcielu, drudzy na Wschodzie.

Zabużanie dotarli potwornie wymęczeni wielotygodniowym transportem, w niewyobrażalnie trudnych warunkach. To nie oni decydowali o zamieszkaniu właśnie w Trzcielu lub sąsiednich wsiach. To nie ich wybór, ale wskazanie losu. Po latach można powiedzieć, że zaakceptowali swoją nową małą ojczyznę, niewiele bowiem rodzin później stąd wyjechało. Zasiedlali wolne jeszcze domy i mieszkania w mieście, ale głównie gospodarstwa rolne w sąsiednich wsiach. W niektórych byli prawie w komplecie, tak jak na Wschodzie. Zastali już gospodarstwa pozbawione wyposażenia. Mieli tylko te zwierzęta, które udało im się przywieźć, kupić ich nie było od kogo, ani za co. Przywiezione krowy przez długi czas pełniły rolę jedynych żywicielek rodziny, a siłę pociągową stanowiły konie. Było ich mało, sytuację ratowały dostawy tych zwierząt w ramach pomocy UNRRA.

Repatrianci ze Wschodu przywieźli ze sobą inne doświadczenia w uprawie roli. Tam warunki były zdecydowanie odmienne: dłuższy okres wegetacji, bardziej kontynentalny klimat. Nad Obrą otrzymali lekkie piaski, podmokłe łąki i pastwiska. Na domiar złego wylewały rzeki, powodując podtopienia gruntów. Powtarzało się to dwa razy w roku – bardzo wczesną wiosną i tzw. świętojanką (czerwiec). Woda zalewała nawet ulice miasta, m.in. przy młynie, bo podtapiała też Zimna Woda.

Ze zdziwieniem zauważałem, że w małych gospodarstwach zboże zbierano sierpami. Myślę, że powodem był nie tylko brak innych narzędzi, ale też wielka troska o wykorzystanie każdego kłosa, a obok tego przywiązanie do tradycji. Zabużanie szybko przystosowywali się do nowych warunków. Każdy rok przynosił zmiany i po paru latach nie istniała już

różnica w sposobie gospodarowania rolników przybyłych ze Wschodu i Zachodu.

3. „Kaczmarki" i „Świerzki"

W pierwszych latach współistnienia między zabużanami a poznaniakami wyczuwało się dużą nieufność. Były to społeczności hermetyczne; nie dochodziło do „mieszanych" małżeństw. Jednak jedni i drudzy, w tak niedużej miejscowości byli na siebie skazani. Nie dało się żyć bez kontaktów. Atrakcją ówczesnych czasów były zabawy ludowe. Odbywały się w hali sportowej lub w parku przypałacowym. Przy takiej okazji dochodziło do „konfrontacji" przy użyciu drobnych sprzętów, chociażby krzeseł. Nie pamiętam jednak, aby strony czyniły sobie większą krzywdę. To była stosownie do miejsca „sportowa rywalizacja". Zresztą organizatorzy tańców (była to z reguły straż pożarna) mieli skuteczny sposób reagowania na „bitników". Na ulicach czasem dochodziło do rękoczynów pomiędzy młodymi ludźmi, ale głów sobie nie porozbijano. Zatargi szybko szły w niepamięć.

Szkoła mogła być platformą integracji nieufnych do siebie grup, nie odgrywała jednak większej roli. Niektóre nauczycielki, nie były w stanie temu sprostać i dzieliły uczniów na swoich i tamtych. Skuteczniejszy był Kościół. Ludzi zbliżał do siebie ksiądz Jan Myszka. Pół wieku po jego odejściu mogę powiedzieć, że nie spotkałem człowieka, który tak jak on potrafił skupić wiernych wokół Kościoła.

Trzeba jeszcze wspomnieć o najpóźniej przybyłych do miasta emigrantach z Francji. Oni „pasowali" do wszystkich. Przyjęto ich bez zastrzeżeń i od początku zaakceptowano.

O swarach i uprzedzeniach najszybciej zapomniała młodzież. Jednoczyła nas ciekawość innych ludzi, sport, zabawa, ministrantura, wspólne przebywanie w szkole. Nie pamiętam przypadku, by ktoś skoczył za kimś w ogień. Mam jednak dowód, że w wodę, dla ratowania tonących – skakano. Zapamiętałem takie zdarzenie, gdy kąpaliśmy się w Obrze przy kładce (teraz jest tam most na obwodnicy miasta). W pewnym momencie porwał mnie wir, topiłem się. Natychmiast pospieszył mi na pomoc Józiu Halczuk. Uratował mi życie. Od paru lat Józek nie żyje, ale ja o nim pamiętam, także o jego rodzicach i braciach. On „wschodni" – ja „zachodni", a ryzykował życie. Wdzięczny, chodzę często na Jego grób.

Minęło kilka lat, zanim nieufność Kaczmarków do Kurysiów, Świerzków zastąpiła sąsiedzka akceptacja. Gdyby postawić pytanie – kto na integracji trzcielan skorzystał? Odpowiedź byłaby prosta: wszyscy! Być może więcej pożytku odnieśli zabużanie, bo lepiej, że są tu, niż mieliby żyć w granicach dzisiejszej Ukrainy. Czemu zagraża integracja? Na pewno gwarze jednych i drugich, sposobowi wymowy i akcentowania. Mam nadzieję, że zespoły ludowe uchronią obrzędy i zwyczaje ludowe.

Gdy teraz wspominam tamte lata i wzajemne poznawanie się, i przyjaźnie, ja – od 1961 r. mieszkaniec Zielonej Góry, zadaję sobie pytanie – dlaczego przez dziesiątki lat nie mogą znaleźć wspólnego języka zielonogórzanie z gorzowianami? Przecież w Trzcielu to się udało i dlatego znaczną część swoich rozważań nt. trzcielskiej społeczności poświęcam integracji. To co się tam, w tej sferze stało, jest najważniejsze. Warto to było przeżyć, a teraz opisać.

A jaka była atmosfera w tamtych latach? Strach przed kolejną wojną, ale też radość z przeżycia okupacji. Na pewno był to czas wielkiego optymizmu. Wolny, świąteczny czas spędzało się w grupie, z rodziną i sąsiadami, na których pomoc zawsze można było liczyć. Dzielono się tym, co kto miał – warzywami, owocami, a także pyszną kaszanką i pasztetową ze świeżo ubitego wieprzka. Mieliśmy świadomość, że jesteśmy biedni jak myszy kościelne, a nasze swobody są mocno ograniczone. Jakie to miało jednak znaczenie wobec tego, co było już poza nami. Ważne, że mieszkaliśmy w Polsce.

4. Szkoła

To było coś osobliwego. Uczniowie rozpoczynający naukę w 1945 roku, mieli od 8 do 15 lat i właściwie wszyscy nadawali się do pierwszej klasy podstawówki. Dlaczego? Wcześniej po prostu do szkoły nie chodzili, trwała wojna. W Generalnej Guberni obowiązywało niemieckie prawo wykluczające naukę w języku polskim. To prawo nakazywało natomiast nauczanie Polaków w języku niemieckim, po ukończeniu 10 lat.

Mając ukończone 9 lat, poszedłem do szkoły po raz pierwszy, na szczęście już polskiej. W przeciągu trzech i pół roku odbyłem całą 7-letnią edukację na poziomie podstawowym. Efekt nie mógł być najlepszy. Dochodziły do tego kiepskie kwalifikacje wielu

nauczycieli, wywołujących więcej zamętu niż pożytku, ale przecież nie miał ich kto zastąpić. Byli też wspaniali pedagodzy, mile wspominam panią Wasilewską, panów Demutha i Wagnera. Do tego wszystkiego potworna ciasnota i tłok. Cała szkoła mieściła się w jednym budynku, przy ul. Mickiewicza. Niektóre zajęcia odbywały się też w budynku poszpitalnym, przy ul. Armii Czerwonej. Brakowało podręczników i zeszytów.

Językiem obcym w mojej klasie był francuski. Nauka niestety trwała tylko parę miesięcy. Lektorka francuskiego nie była pedagogiem, ale sympatyków tego języka zyskała sporo. Większość z nas pewnie pamięta do dziś *Ojcze Nasz* i *Marsyliankę* po francusku.

Kończąc w roku 1950 trzcielską Szkołę Podstawową, ze względu na jej niski poziom, na egzaminach wstępnych do szkół średnich wyraźnie przegrywaliśmy z absolwentami innych podstawówek. Mój rocznik miał zamkniętą drogę do ogólniaka w Międzyrzeczu. Całą grupą wylądowaliśmy w Krośnie. Mieliśmy spore luki edukacyjne. Katastrofą dla mnie i paru przyjaciół był język rosyjski. Nie nauczono nas tego języka w podstawówce.

Już w latach 60. sytuacja szkoły i młodych ludzi w Trzcielu znacznie się poprawiła. Spóźnione roczniki poszły w świat, kadra nauczycielska została niemal w całości wymieniona, a na miejscu zniszczonego pałacu stanęła nowa szkoła. W jej powstaniu najbardziej zasłużył się kierownik szkoły, Franciszek Dybowski. Mój Ojciec był przewodniczącym komitetu budowy; otrzymał za to Srebrny Krzyż Zasługi. W tamtych czasach absolwenci opuszczali naszą szkołę dobrze przygotowani. Również moja młodsza siostra bez problemów dostała się do nowotomyskiego ogólniaka, a później na Uniwersytet im. A. Mickiewicza.

Uczyliśmy się też gry na fortepianie, co było wtedy dużym snobizmem. Lekcji udzielał organista-muzyk, opłatę za godzinę stanowił bochenek chleba. Efekt mojej edukacji nie był wysokich lotów, nie gram, ale lubię słuchać dobrej muzyki.

Skoro piszę o szkole, to wspomnę o starszych, którzy nigdy do żadnej szkoły nie uczęszczali. Analfabetyzm był faktem i dotyczył naprawdę niemałej grupy naszej społeczności. Pamiętam zażenowanie tych ludzi, gdy trzeba było coś podpisać, stawiali krzyżyki. Żal było patrzeć .

Zabawy i rozrywki uczniowskie były stosowne do czasu, po prostu siermiężne, wiążące się z minioną wojną. Hitem były detonacje prochu wsypanego do rurki lub klucza, albo wybuchy szarego, miękkiego metalu (chyba saletry). Byli w naszym gronie mistrzowie w strzelaniu z procy i łuku. Dziwne, ale chyba nikt w mieście nie stracił palców ani wzroku. Byliśmy szczęśliwcami.

Pierwszych emocji sportowych po wojnie doświadczyliśmy, gdy przy szkole budowlanej zawiązała się drużyna piłkarska. Gościły u nas drużyny z Wielkopolski. To były niebywale zacięte, wyrównane mecze, zdarzały się autentyczne sukcesy naszych piłkarzy.

Wszyscy młodzi ludzie umieli pływać, w pobliżu były jeziora z czystą wodą, plaża, trampolina, ławki, szatnie. Popularne było wiosłowanie kajakiem, łodzią i innym sprzętem (balią, gdy Obra wylała). Organizowaliśmy kilkudniowe spływy kajakami w górę rzeki, spanie w szałasach, podkradanie śmietany chłodzonej przez gospodynie w strumykach, dopływających do jeziora Lutol.

Zawzięcie graliśmy w tenisa stołowego. Zimą ślizgaliśmy się na łyżwach i innych łyżwopodobnych sprzętach. Była jazda po jeziorze i zamarzniętych rozlewiskach Obry. Sprawność fizyczną wykazywaliśmy wszyscy, bo sportem trzeba było się zajmować z braku innych rozrywek. Gorzej było ze sprawnością intelektualną. To odwrotnie niż teraz, młodzież ma więcej wiadomości, a sprawność fizyczną mizerną. Wszelkie sukcesy trzcielan na arenach krajowych i międzynarodowych przyszły na przełomie lat 70. i 80. Sławią nas sportowcy w dyscyplinach indywidualnych.

5. Kościół

Kościół rzymskokatolicki w latach powojennych odgrywał pierwszoplanową rolę. Ludzie, niezależnie skąd przybyli, demonstrowali przywiązanie do religijnej tradycji. Katolicy rzymscy byli prawie jedynymi na tym terenie. Dziwne, ale wśród przybyszy ze Wschodu nie było rodzin wyznania grekokatolickiego. W kręgu naszych znajomych tylko jedna rodzina należała do Kościoła ewangelickiego i na pewno nie spotkały jej z tego powodu przykrości.

W dni świąteczne, trzcielski kościół pw. św. Wojciecha zawsze zaludniał się po brzegi wiernymi. Plac wokół świątyni zajmowały furmanki, stanowiły wówczas podstawowy środek lokomocji, a przyjeżdżali w komplecie niemal wszyscy mieszkańcy

sąsiednich wsi. W niektóre niedziele msze odprawiano również w Sierczu. W całej parafii był tylko jeden ksiądz, wspomniany Jan Myszka (1945-1957). Trafił do nas z obozu koncentracyjnego. Słuchano jego mądrych kazań, wygłaszanych zawsze z wielką ekspresją i zawsze z ambony. Ksiądz celebrował nabożeństwa, wzbogacając je wieloma dodatkowymi modlitwami. Msze trwały długo, czasem ponad 2 godziny.

Plebania mieściła się tuż przy świątyni, w starym rozsypującym się budynku, bez elementarnych wygód. Ksiądz proboszcz był człowiekiem skorym do kontaktów z ludźmi, chętnie przyjmował zaproszenia na wizyty do domów. Rozmawiając, zamaszyście gestykulował. Gdy podczas jednej z wizyt u nas wspomniał pobyt w obozie – nie wytrzymało solidne krzesło. To były bardzo ważne spotkania.

Ksiądz Jan Myszka został przeniesiony do domu dla emerytowanych kapłanów w Gdańsku. Jego następcą został ks. Jan Trela. Wcześniej, jako drugi kapłan, do parafii przybył ks. Józef Hajduk.

Organistą był muzyk z wykształcenia i jednocześnie stroiciel fortepianów. Wspomniałem już, że udzielał lekcji gry na pianinie. Żył niezwykle skromnie. Organy w kościele były niezawodne, ale gdy brakowało prądu, co zdarzało się bardzo często, wówczas, energię elektryczną zastępowano siłą nóg ministranckich. Gdy któryś z nich był zbyt słaby, z organów wychodziły „jąkające" dźwięki.

Grupa ministrantów liczyła kilkunastu chłopców. Należałem do ich grona, a ostatnie 2 lata w roli przewodniczącego (do 1950 r.). Zebrania ministrantów odbywały się na plebanii. Mieliśmy też swoją drużynę piłkarską, ćwiczyliśmy na placyku za kościołem. Mecze natomiast rozgrywaliśmy na większym placu w sąsiedztwie i przy drodze do Miedzichowa. Często wygrywaliśmy. Ministranci mieli również przywilej organizowania grup kolędniczych. Czasem pojawiała się „konkurencja". Skromne datki przeznaczano na zakup potrzebnych drobiazgów do posługi.

Jak wspomniałem, pierwszy powojenny proboszcz był człowiekiem wielce skromnym, zadowalały go spartańskie warunki na ówczesnej plebani. Jego następcy, kilkanaście lat później wykazali się dużym rozmachem, fundując dom parafialny większy od świątyni. Od początku posługę w kościele sprawowały siostry ze zgromadzenia Misjonarek Marii; które miały swoją siedzibę w urokliwej kamienicy; przy ul. Armii Czerwonej. Tu odbywały się też lekcje religii.

6. Administracja

Ludzi z kwalifikacjami po wojnie było niewielu. Wysoko ceniono dużą maturą (przedwojenną), miało ją zaledwie kilkoro trzcielan. Z tego też powodu, do pełnienia funkcji państwowych i urzędniczych powoływano osoby bez odpowiedniego przygotowania. Ludzie ci nie mieli doświadczenia w pracy administracyjnej. Generalnie obowiązywał porządek prawny z okresu przedwojennego, z elementami improwizacji lokalnej władzy.

Jednym z pierwszych urzędników magistrackich został mój Ojciec. W tym też czasie uzupełnił swoją edukację na poziomie klasy siódmej, jako dziecko (ur. 1904 r.) uczęszczał do pruskiej szkoły z niemieckim językiem nauczania. Magistrat znajdował się przy Nowym Rynku, pracowało w nim niewielu urzędników. W pierwszych miesiącach ich wynagrodzenie stanowił talon na chleb (jeden dziennie). Chodziłem z tymi talonami do prywatnej piekarni przy Nowym Rynku. Z czasem Ojciec awansował na przewodniczącego Miejskiej Rady (1952). Za jego kadencji na miejscu dawnego pałacu, wybudowano szkołę otoczoną pięknym parkiem. Nastąpiła również przeprowadzka Urzędu do budynku, w którym mieści się do chwili obecnej (ul. Armii Czerwonej). W „czasach niemieckich" znajdował się tam sąd, a na zapleczu były cele dla więźniów i aresztowanych. Napisy na ścianach dowodziły, że więziono w nich również Polaków.

W latach sześćdziesiątych już ludzie młodzi zostawali liderami i co ważniejsze – wykształceni. Ojca satysfakcjonowała praca w Gminnej Spółdzielni. Zmarł, będąc już na emeryturze.

6. Partie i organizacja

Moja wiedza na temat organizacji politycznych jest nader skromna. Od początku istniała Polska Partia Robotnicza, przekształcona w 1949 roku w PZPR. Komitet Gminny mieścił się przy Nowym Rynku, obok Urzędu. Nie była to partia ani liczna, ani szczególnie ideowa i myślę, że nie miała istotnego wpływu na zachowaniach trzcielskiej społeczności. Organizowała oficjalne celebracje święta 1 Maja, 22 Lipca itp., a także czyny społeczne, a te akurat służyły miastu. Okresem nasilonej aktywności partii był czas przed referendami, choćby „3 x Tak". Towarzyszyła temu propaganda, zastraszanie ludzi

i kłamstwa. Na to nakładała się atmosfera „zimnej wojny".

Partia bardzo zabiegała o pozyskiwanie członków. Naciskom był też poddawany mój Ojciec. Skutecznie. Przynależność w żadnej mierze nie wpłynęła na jego postawę i zachowania. Nie był wyjątkiem, przeciwnie kiepsko przedstawiała się ideowość znanych mi członków partii. W Trzcielu i pewnie w większości tak małych ośrodków, panował według obecnego słownictwa – pragmatyzm, tolerowano chociażby uczestnictwo w praktykach religijnych, a zebrania zwoływano po majowym nabożeństwie. W Boże Ciało dopóki zezwalano na procesje ulicami miast, to ołtarze w Trzcielu były przy domach ludzi partyjnych, naszym również. Bez tolerancji dla takich postaw, partia byłaby nieliczna. Ludzi nie dziwiło, że w przykładnej rodzinie (czy tylko jednej w Trzcielu?), „głowa" była członkiem partii, a „szyja" zaangażowaną ostentacyjnie parafianką.

Kiedy wiele lat później widziałem bezpardonowy, krzykliwy dogmatyzm w NRD i Czechosłowacji, znajdowałem potwierdzenie dla dowcipnego określania Polski, jako „najweselszego baraku w obozie". Jeszcze później, po wyjściu z kraju Rosjan, mogłem skonstatować, że istniała przepaść w pojmowaniu partyjności w tamtych państwach i u nas. Oczywiście bzdur i głupot popełnianych i tak było bez liku, również Trzcielu. Pod patronatem PZPR odbywały się akademie „ku czci", wygłaszano prostackie referaty warszawskich autorów, współzawodniczono „w czymś". Jaki był efekt? Przecież nie miłość do „brata". Czy z obecnych aliansów i sympatii do nowego „brata" nie będziemy się obśmiewać? Przecież każde następne pokolenie staje się mądrzejsze i w myśleniu bardziej samodzielne. Jednostka również. Młodzi publicyści, a jeszcze gorzej historycy, nie analizując uwarunkowań, piszą o komunizmie. Zwłaszcza w Trzcielu, mija się to z prawdą i śmieszy. Tak jest w niejednym wydanym opracowaniu.

Poza „przewodnią siłą narodu", czyli PPR-PZPR, innych organizacji było niewiele. Nie pamiętam, czy istniała partia chłopska, działało natomiast harcerstwo, ZBOWiD i Ochotnicza Straż Pożarna. Oprócz gaszenia pożarów, na szczęście niezbyt częstych, strażacy organizowali zabawy i festyny. Zdobywali na nich środki na zakup wyposażenia, uświetniali również swoja obecnością, w galowych mundurach, uroczystości świeckie i kościelne.

7. Zdrowie

Nowi trzcielanie tuż po wojnie nie mogli poszczycić się dobrą kondycją fizyczną. Mieli za sobą lata chłodu i głodu. Wielu odbyło długą wędrówkę. Do powszechności należała wszawica, świerzb i awitaminoza. W szkole „wlewano" w nas tran, a po salach niosła się woń szarej maści. Mieliśmy wszyscy kłopoty z higieną. Nie zapamiętałem ani jednego mieszkania z odpowiednią łazienką. Przecież nie było wodociągów ani kanalizacji. Po paru latach urządzono łaźnię miejską i to już stanowiło postęp. Ścieki komunalne zbierane były w szambach, w większości nieszczelnych i z ich opróżnianiem był problem.

Brakowało lekarza, była natomiast apteka na Nowy Rynku. Prowadziła ją pani Niesiołowska, która, przez wiele lat pełniła też nieformalnie rolę lekarza. Pomagała wielu ludziom, także mojej rodzinie. Niesiołowscy, po ks. J. Myszce, byli najważniejszymi obywatelami miasta. Aptekarzowanie polegało wtedy na sporządzaniu leków, a nie sprzedawaniu gotowych medykamentów. Dopiero około połowy lat 50. uruchomiono izbę porodową, ośrodek zdrowia i przychodnię dentystyczną. Wydobywanie się z dna cywilizacyjnego trwało dosyć długo.

8. Środki komunikacji i informacji

Żyliśmy sprawami swoich rodzin, miasta i znanych nam mieszkańców okolicznych wiosek. Sprawy regionu i kraju nie budziły szczególnego zainteresowania. Panowało przekonanie, że polityką dla bezpieczeństwa lepiej się nie zajmować. Powszechnym pragnieniem był spokój i życzenie, by znów nie doszło do kolejnej wojny. W Europie i świecie działo się wiele złego, wiedzieliśmy o tym wszyscy, obawiając się o najbliższą przyszłość.

Skąpa wiedza i brak większego zainteresowania sprawami spoza swoich opłotków, uzasadniał brak informacji. Radia posiadali nieliczni. Słuchano, często z zaufanymi sąsiadami, Radia Wolna Europa, ale stamtąd wiadomości raczej wzmagały niepokój. Później po śmierci Stalina i za rządów Gomułki, słuchanie tej rozgłośni nie było już tak niebezpieczne.

Prawie wszyscy mieli dostęp do programu I Polskiego Radia, nadawanego przez „kołchoźniki", czyli sieć miejską umieszczonych w domach głośników. Możliwość wyboru programu ograniczała się tylko do

pokręcenia gałki głośności. Ważną audycją była skrzynka poszukiwań PR nadawana codziennie. Słuchała jej też nasza ciocia, mając długo nadzieję, że z powstania ocaleli jej synowie i przebywają za granicą. Fakt ten ilustruje dramatyczne losy wojenne Polaków. Miałem to szczęście, że mieszkający po sąsiedzku Basińscy posiadali dobre radio i w niedzielę wystawiali je w oknie. Całymi godzinami słuchaliśmy czeskiej muzyki i południowych koncertów zespołu mandolinistów łodzianina Ciukszy.

Czytało się wówczas „Głos Wielkopolski", mając świadomość, że informacje polityczne i społeczne są „przefiltrowane" przez cenzurę. Pierwszym tygodnikiem, który pojawił się w naszym domu była „Przyjaciółka", prenumerowana przez mamę.

W latach 50. powstało kino. Seanse cieszyły się dużą frekwencją. Wyświetlano dobre i złe filmy, ważne były jednak kolejne wydania Kroniki Filmowej. Stanowiła ona najbardziej atrakcyjną formę przekazywania informacji. Obecność w kinie zbliżała do siebie mieszkańców. Nie bez znaczenia było położenie sali kinowa, tuż przy gospodzie.

Od początku miasto miało swojego herolda. Przekazywał ważne dla mieszkańców informacje i rozporządzenia władz lokalnych. W wyznaczonych miejscach ogłaszał swoje przybycie sporych rozmiarów dzwonkiem lub sygnałem trąbki. Gdy mieszkańcy wylegli przed domy, donośnym głosem czytał tekst komunikatu. Było to proste i nieźle funkcjonujące rozwiązanie.

9. Gospodarka

W czasie zasiedlania Trzciela przez Polaków, miejscowość nie była zniszczona przez wojnę i nieźle zagospodarowana. Stanowiliśmy społeczność bardzo biedną, „chudziutka" też była kasa miasta i pusta kasa państwa. Rodziny musiały zabiegać o zapewnienie sobie żywności. Wszechobecna była gospodarka samowystarczalna – ogród, własny drób i trzoda. Na szczęście ominęła nas po wojnie klęska głodu.

Przekleństwem tamtych czasów była zakodowana w świadomości tymczasowość. Fatalna atmosfera międzynarodowa sprawiała, że można było przewidywać kolejny konflikt na wielką skalę, do tego pamięć o dopiero zakończonej wojnie paraliżowała wszystkich. Mówiono o możliwości powrotu Niemców i konieczności ucieczki. Gdzie mieliśmy wracać? Takie nastawienie powodowało, że w Trzcielu, przez wiele lat nie zbudowano żadnego domu. Przełom dokonał się dopiero na początku lat 70. Zaczęto stawiać domy, ale też dbać o swoje prywatne mienie. Inspiracją stały się również, możliwe już wizyty Niemców i nasze wojaże za granicę, na początek do NRD.

Przeciętny trzcielanin nie był majętny, bo nie miał wielu szans na godziwe dochody. Do lepiej zarabiających należeli ci, którzy znaleźli pracę w sąsiednich miejscowościach. Tutejsze zakłady nie wyróżniały się nowoczesnością ani skalą produkcji, a tym bardziej wysokością płac. Dominowało proste przetwórstwo miejscowych surowców – drewna i wikliny. W tych branżach nie zarabiało się dobrze. Uzupełnieniem rodzinnych budżetów były małe działki rolne. Kilkaset rodzin miało takowe, od kilku arów do 0,5 hektara. Na nich uprawiano rośliny, w co drugim domu trzymano krowę, a jeszcze częściej trzodę. Wszyscy mieli drób. Z czasem skala tej miniprodukcji rolniczej malała. Rynek pracy nie wspomagało rolnictwo, nie dawało szansy na zatrudnienie, nawet do prac sezonowych. Rolnicy krezusami nie byli.

Wykorzystywano natomiast cenny potencjał przyrodniczy miasta i okolic. Latem zjeżdżali tu wczasowicze oraz młodzież i dzieci na kolonie. Na Obrze organizowano spływy kajakowe. Było gwarno i ludno. Na wysokich obrotach pracowali piekarze i inni producenci żywności. Bazę noclegową stanowiły głównie placówki szkolne, bez komfortu, ale wymagania wówczas nie były wysokie. Kolonie spełniały ważną rolę promocyjną tego regionu. Czy byli koloniści i ich wychowawcy wracali tu, będąc dorosłymi? Czy osiedlali się tu na stałe? Czy przykładem powrotów jest osiedle w Lutolu Mokrym?

Nasze miasto nie miało szczęścia do ludzi majętnych i przedsiębiorczych. Tartaki i plecionkarstwo wikliny nie mogły zdynamizować rozwoju. Młodsi, wykształceni znajdowali sobie miejsce gdzie indziej. To była ujemna strona naszych czasów!

Trzciel omijały wstrząsy społeczne i afery, a rządzący nie popadali w konflikty z mieszkańcami. Trzciel był spokojny – za spokojny. Lepiej w sprawach gospodarczych powiodło się w podobnych wielkością miastach – Babimoście, Kargowej. Dlaczego nie powiodło się nam?

Jacek Wesołowski

Niemcopolak/Polakoniemiec w literaturze, część druga

(Rozwagi polsko-niemieckie VI)

Pierwsza część niniejszego szkicu ukazała się w „Pro Libris" w numerze 1(26)2009

W Polsce Ludowej temat Niemcopolaka/Polakoniemca w literaturze był ostro kontrolowany przez cenzurę. Przechodziło tylko to, co „po linii". Wszakże od końca lat 70. polscy pisarze wydają książki w wydawnictwach emigracyjnych na Zachodzie, równocześnie rozwija się żwawo tak zwany drugi obieg w kraju. W taki to sposób ominęła urząd policji

Jacek Wesołowski

Deutschpole/Polendeutscher in der Nachkriegsliteratur, Teil zwei

(Deutsch-polnische Abwägungen 6)

Der erste Teil der Skizze erschien im „Pro LiIbris" im Heft 1(26)2009

In Volkspolen wurde das Thema des Deutschpolen/Polendeutschen in der Literatur streng von der Zensur kontrolliert. Es konnte nur das durchkommen, was „linientreu" war. Schon seit den siebzigen Jahren aber geben die Schriftsteller ihre Bücher in den Exil-Verlagen im Westen heraus, es entwickelt sich stark parallel der so genannte zweite Umlauf im Lande. Auf diese

książka Tadeusza Konwickiego *Wschody i zachody księżyca* (1982). Jest to rodzaj pamiętnika, literackiego raptularza, rzecz w gatunku, który od lat 80. bardzo rozprzestrzenił się w literaturze polskiej. Konwicki włączył do tekstu książki fragmenty swojej powieści pod znamiennym tytułem *Nowe dni*, którą napisał był wkrótce po wojnie, ale nie wydał, bo przyszedł rok 1949, ostateczne zwycięstwo komunizmu, powieść odrzuciła cenzura, fragment zdążył ukazać się w sławetnej „Kuźnicy". Konwicki wstąpił do Partii, czego w swoich *Wschodach i zachodach* żałuje.

Akcja ekshumowanych *Nowych dni* toczy się tuż po wojnie na Górnym Śląsku i jej głównym tematem są losy byłych żołnierzy Armii Krajowej z Wileńszczyzny, odpisanej w Jałcie przez zachodnich aliantów na rzecz Związku Radzieckiego. W powieści występują jako postacie drugoplanowe sygnatariusze volkslisty wszystich czterech kategorii; niezależnie od numeru jednych wysiedla się jako Niemców, inni mogą na powrót otrzymać obywatelstwo polskie. Do tych ostatnich należy Eryka Pieniochówna, obiekt zainteresowań erotycznych głównego bohatera powieści, Teodora, przybysza do ziem utraconych przez Niemców z ziem utraconych przez Polaków. „´Widzi pan´ – niepewnie zaczęła szeptać stara (tj. matka Eryki) – ´my, to znaczy Eri´ – trzasnęła nerwowo stawami palców – ´Eri będzie miała rehabilitację. Bo my, to znaczy ona´ – plątała się – ´miała drugą listę podczas wojny. Pan rozumie, u nas każdy musiał. Inaczej chleba nie dawali. A Eri nawet pomagała polskiej konspiracji w Krakowie. Jeśliby pan coś mógł zrobić…´". Następnie rodzice dali komu trzeba dwadzieścia dolarów amerykańskich i Eri dostała pracę, a potem, żeby dostać lepszą, zapisała się do partii komunistycznej. PPR miała w tym czasie nikłe poparcie społeczne, a bardzo potrzebowała członków – przyjmowano nawet byłych hitlerowców, o czym także jest w powieści Konwickiego.

Pisarz zobrazował działalność polskich komisji ewakuacyjnych w sposób przez peerelowskch cenzorów nie do przyjęcia: „Widać nie spodziewano się tu wysiedlenia. Drobiazgi leżały rozrzucone na stolikach i szafkach. Na ścianie jarzył się zegarek zawieszony na bransoletce. W czystym łóżku leżała kobieta o ziemistej twarzy. Nad nią, na wyblaklym kilimku, obok sczernialego krzyża, wisiał medal na kolorowej wstążeczce. ´Pani jest gospodynią?' – spytał Wilczek. ´Ja´ – rzekła słabym głosem kobieta

Weise umging das Buch Tadeusz Konwickis *Aufgänge und Untergänge des Mondes* (1982) die kommunistische Gedankenpolizei. Es ist eine Art Erinnerungsband, Notizbuch, eine Gattung, die sich in Polen seit den achtziger Jahren sehr verbreitet hat. Konwicki hat in den Text dieses Buches Fragmente seines Romans mit dem markanten Titel *Neue Tage* integriert; er hatte diesen unmittelbar nach dem Krieg geschrieben, ihn aber nicht herausgegeben können, weil das Jahr 1949 kam, ein endgültige Sieg des Kommunismus, der Roman wurde von der Zensur abgelehnt, ein Fragment erschien in der berühmten Zeitschrift „Kuznica" („Die Schmiede"). Konwicki trat in die Partei ein, was er in seinen *Aufgängen und Untergängen* bereuen sollte.

Die Handlung der exhumierten *Neuen Tage* spielt unmittelbar nach dem Krieg in Oberschlesien und ihr Hauptthema sind die Schicksale von ehemaligen Soldaten der Heimatarme aus dem Wilnagebiet, das in Jalta zugunsten der Sowjetunion von den Westalliierten abgeschrieben wurde. Als Nebenfiguren treten Unterzeichner der Volksliste der allen vier Kategorien auf; unabhängig von der Nummer werden die einen als Deutsche vertrieben, die anderen dürfen die polnische Staatsangehörigkeit wieder erwerben. Zu diesen letzten gehört Fräulein Erika Pienioch, das Objekt erotischer Interessen des Protagonisten des Romans, Teodor, der gerade aus dem von Polen verlorenen Gebiet in das von den Deutschen verlorene Gebiet gekommen ist. „´Sehen Sie´, unsicher begann die Alte (d.h. Erikas Mutter) zu flüstern, ´wir, das heißt Eri´, sie knackte nervös mit den Knöcheln, ´Eri wird rehabilitiert werden. Weil wir, weil, das heißt sie´, sie verhaspelt sich, ´sie hat während des Krieges die zweite Liste gehabt. Verstehen Sie, bei uns, musste jeder. Sonnst hätten sie uns kein Brot gegeben. Und Eri hat sogar der polnischen Konspiration in Krakau geholfen. Wenn sie was tun könnten…´". Dann gaben Eris Eltern zwanzig amerikanische Dollar dem zuständigen Beamten und sie bekam sogar Arbeit und schrieb sich dann, um eine bessere zu kriegen, in die kommunistische Partei ein. Die PPR (Polnische Arbeiterpartei) hatte zu der Zeit wenig Unterstützung bei der Bevölkerung und war sehr auf Mitglieder angewiesen – es wurden sogar ehemalige Nazis herzlich aufgenommen, was auch in Konwickis Roman geschildert ist.

Der Autor beschreibt die Tätigkeit der polnischen Evakuierungskommissionen auf Art und Weise, die für die volkspolnische Zensur unmöglich annehmbar war: „Offensichtlich hat man hier die Aussiedlung nicht erwartet. Überall lagen Kleinigkeiten herum. An der

w łóżku. ´Zbierać się, żywo. Wysiedlamy was. Macie zaraz się spakować.´ Kontrolerzy już bobrowali w szafach. (...) Panie, ja jestem Polka´ – zajęczała kobieta w łóżku. ´Jeśli jesteście Polką, to pokażcie dokumenty´ – zakomenderował Wołkowicz (...). Kobieta wysupłała spod poduszki pęczek zżółkłych papierów. ´Mój mąż był powstańcem śląskim´ – rzekła pochlipując. Teodor zaglądał przez ramię Wołkowicza. Legitymacja związku byłych powstańców, zaświadczenie na ordery i zaśniedziały orzełek piastowski. ´A nowe obywatelstwo polskie macie?´ – spytał Wołkowicz. ´Nie, panie. Ja jestem chora, a tam się trudno dostać. Ci, co mają pieniądze, już otrzymali, ale ja jeszcze nie mam. Ja przecież jestem Polka. ´To nic nieważne´ – Wołkowicz rzucił na kołdrę papiery. ´A mąż gdzie?´ – spytal Wilczek. ´Zginął w obozie.´ Spojrzeli na siebie zmieszani. Potem odwrócili się od łóżka. Kontrolerzy już mieli dobrze rozepchane teczki. Drugi funkcjonariusz UB otwierał z namaszczeniem konserwy w kuchni. Stada zdezorientowanych much krążyły pod wyliniałym sufitem. ´No cóż, matko. Musicie się zbierać. Te dokumenty są nieważne. Trzeba było zdobyć nowe obywatelstwo. Wyłaźcie z łóżka.´ ´Tak, zdobyć nowe obywatelstwo, gestapowcy zdobywają, bo mają pieniądze, żeby przekupić urzędników. A ja co, co miałam dać. Boże, Boże, dobrze, że mój mąż nie dożył oswobodzenia´ – zalewała się łzami kobieta." Żonę byłego powstańca śląskiego i ofiary hitlerowskiego ludobójstwa wyratował w końcu Teodor. Wezwał na pomoc pozytywnego funkcjonariusza PPR, który mieszkał w pobliżu i rozpędził komisję wilczków i wilków przy pomocy rewolweru.

Nieszczęśliwa wdowa wspomina o gestapowcach, że dostawali obywatelstwo polskie. „Pierwszy w mieście otrzymał obywatelstwo hitlerowiec Schröder" – mówi narator *Nowych dni*. Ów Schröder ze szczególnym upodobaniem prześladuje innych volksdeutschów – jak poprzednio prześladował Polaków. W następujący sposób żegna on swoją sąsiadkę, niejaką Futterową, opuszczającą rodzinne miasto w kierunku brytyjskiej strefy okupacyjnej: „´Jedź, jedź, cholero´ – krzyczał za autem Schröder wsparłszy się pod boki – ´będziesz tam Anglikom tyłka nadstawiać!´ ´Poczekaj draniu, i na ciebie przyjdzie koniec. Krwiopijca, złodziej. Dużoś robotników wpędził do grobu´ – szarpała się na tobołkach Futterowa, cała czerwona ze złości. ´Checheche, checheche´ – rechotał Schröder, obcierając

Wand hing eine Armbanduhr und leuchtete. Im sauber bezogenen Bett lag eine Frau mit aschfahlem Gesicht. Über ihr, auf dem zerschossenen Kelim, neben dem geschwätzten Kruzifix hing ein Orden mit bunten Schleifen. ´Sind Sie die Hauptmieterin?´, fragte Wilczek. ´Ja´, antwortete die Frau im Bett mit schwacher Stimme. ´Packen Sie, los. Wir siedeln Sie aus. Sie sollen sofort einpacken´. Die Kontrolleure schnüffelten schon in den Schränken herum ... ´Ich bin Polin, mein Herr´, jammerte die Frau im Bett. ´Wenn Sie Polin sind, zeigen Sie ihre Dokumente´, kommandierte Wolkowicz ... Die Frau zog unter dem Kissen ein Päckchen vergilbter Papiere hervor. ´Mein Mann war oberschlesischer Aufständischer´, schluchzte sie. Theodor guckte Wolkowicz über die Schulter. Ausweis des Bundes der ehemaligen Aufständischen, Bescheinigung für die Orden, ein grünspaniger Piastenadler. ´Und die neue polnische Staatsangehörigkeit, haben Sie die?, fragte Wolkowicz. ´Nein, mein Herr. Ich bin krank und dort ist es schwer durchzukommen. Diejenige, die Geld haben, haben sie schon bekommen, ich noch nicht. Ich bin doch Polin. ´Das ist alles ungültig´, Wolkowicz schmiss die Papiere auf die Bettdecke. Und der Mann, wo ist der?´, fragte Wilczek. ´Im Lager umgekommen´. Sie guckten sich verwirrt an. Dann drehten sie sich vom Bett weg. Die Kontrolleure hatten schon gut gefüllte Aktentaschen. Der zweite Funktionär der Sicherheitsbehörde öffnete salbungsvoll die Konserven in der Küche. Scharen desorientierter Fliegen kreisten unter der schäbigen Decke. ´Na; was nun, Mutter. Sie müssen packen. Diese Dokumente sind ungültig. Sie sollten doch die neue Staatsangehörigkeit erledigen. Kriechen Sie aus dem Bett.´ ´Ja, neue Staatsangehörigkeit erledigen, die Gestapoleute können das, weil sie Geld haben, um die Beamten zu schmieren. Und ich, was sollte ich ihnen geben? O Gott. O Gott, gut, dass mein Mann die Befreiung nicht erlebt hat´, brach die Frau in Tränen aus." Schließlich rettete Teodor die Frau des ehemaligen schlesischen Aufständischen und der Opfer des Naziterrors aus der Bedrouille. Er holte einen positiven Funktionär der Polnischen Arbeiterpartei zur Hilfe, der um die Ecke wohnte und der die Evakuierungskommission mit dem Revolver in die Flucht schlug.

Die unglückliche Witwe hat daran erinnert, dass die Gestapoleute die polnische Staatsangehörigkeit bekommen haben. „Als erster in der Stadt hat der Nazi Schröder die polnische Staatsangehörigkeit erhalten", berichtet der Ich-Erzähler der *Neuen Tage*. Schröder als Pole verfolgt mit besonderen Vergnügen andere

wierzchem dłoni łzy z ubawienia. ´Co się stało?´ – spytał Teodor. Schröder odwrócił się z gasnącym wolno uśmiechem na twarzy. Auto podnosząc za sobą wiry kurzu znikało za rogiem. Kwękał klakson. ´´Ostatnią Niemkę wysiedlili´ – rzekł Schröder." Teodor nie zna niemieckiego, zatem Schröder rozmawia z nim po polsku, jak i poprzednio chyba mówił po polsku z Futterową.

Takich scen nie mogło być w tomie opowiadań Henryka Worcella *Najtrudniejszy język świata* (1965). Jest to książka w całości poświęcona „zmianie warty" z niemieckiej na polską – na Śląsku Dolnym, gdzie kwestia Niemcopolaków/Polakoniemców była może trochę mniej zagmatwana niż na Górnym. W *Najtrudniejszym języku świata* wiernopartyjnego autora nie występuje ona prawie wcale. Niemcy są Niemcami i muszą sprawiedliwie odejść z prastarych ziem piastowskich, na które wracają Polacy. Ale jest ślad tej problematyki w opowiadaniu pt. *Wotan odjedzie pociągiem*. We wsi w okolicach Kłodzka, po niemiecku Glatz, gdzie umiejscowiona jest akcja Worcellowskich opowieści, mieszka rodzina Petruschke. Pietruszkowie nie bedą wysiedleni, ale mają smarkatą córkę, Lucynę. „Ją trza było wysiedlić, tę gówniarę Lucynę!" – wypowiada się żona nowego polskiego wójta, pani Helena Kornacka. Ale: „Jak można Lucynę wysiedlić? Raz, że dziewczyna ma dopiero czternaście lat, po wtóre, przecież to Polka. W każdym razie jej rodzice, Petruschkowie, deklarują się jako Polacy i nieźle mówią po polsku. Natomiast ona ani w ząb. Przez cały czas jej służby u Hattwigów nie słyszeli od niej słowa po polsku. Nie, raz się zdarzyło, że coś powiedziała. To było zeszłego roku w lecie, gdy tu zamieszkali i postanowili sobie uświadomić Lucynę, zrobić z niej prawdziwą Polkę. To było w tym pokoju. Helena długo jej tłumaczyła, kim byli Niemcy, opowiadała o obozach koncentracyjnych, o milionach ludzi, którzy tam zginęli. Dziewczyna wysłuchała jej uważnie, w końcu energicznie potrząsnęła głową i powiedziała po polsku: ´To wszystko było mało´. I wtedy dostała od Heleny butem w głowę i chyba już zupełnie została stracona dla polskości".

Została w końcu ta Lucyna Niemką czy Polką na resztę życia, tego nie wiemy. Rzecz zależała częstokroć od historycznie-państwowo determinowanych realiów wychowawczych, którym podlegali akurat młodzi Niemcopolacy/Polakoniemcy.

Pisarza śląskiego Wilhelma Szewczyka, któremu rodzice nadali cesarskie imię w roku 1916, po przeVolksdeutsche – wie er früher als Deutscher die Polen verfolgte. So verabschiedet er sich von seiner Nachbarin, einer gewissen Frau Futter, die aus ihrer Heimatstadt in die britische Besatzungszone abgeschoben wird: „´Fahr, fahr, du Schlampe´, schrie Schröder dem davonfahrenden Auto mit in die Hüfte gestemmten Händen hinterher, ´du wirst dort den Engländer deinen Arsch anbieten!´ ´Warte, du Lump, für dich kommt auch noch das Ende. Blutsäuger, Dieb. Du hast viele Arbeiter ins Grab getrieben´, tobte Frau Futter rot vor Zorn auf den Bündeln herum. ´Hähähä, hähähä´, meckerte Schröder und wischte sich die Lachtränen weg. ´Was ist los?´, fragte Teodor. Schröder wandte sich mit langsam verlöschendem Lachen auf dem Gesicht ihm zu. Das Auto verschwand um die Ecke, Staubwolken hinter sich lassend. Die Hupe quäkte. ´Die letzte Deutsche ist ausgesiedelt worden´, sagte Schröder." Teodor kann Deutsch nicht, Schröder spricht also mit ihm offensichtlich Polnisch, wie er auch mit der Frau Futter wahrscheinlich Polnisch gesprochen hat.

Solche Szenen durften sich in dem Erzählungsband Henryk Worcells *Die schwierigste Sprache der Welt* (1965) nicht abspielen. Das Werk ist im Ganzen der „Wachablösung" zwischen Deutschen und Polen gewidmet; spielt in Niederschlesien, wo die Frage des Deutschpolen/Polendeutschen etwas weniger verwickelt war als in Oberschlesien. In der *Schwierigsten Sprache der Welt* des parteitreuen Autors taucht sie fast überhaupt nicht auf. Die Deutschen sind Deutschen und müssen gerecht weg ziehen, die Polen sind auf den uralten Piastenboden zurückgekehrt. Aber schwach schimmert die Problematik doch in der Erzählung *Wotan fährt mit dem Zug ab* durch. In einem Dorf in der Nähe von Glatz (poln. Klodzko), in der das ganze Buch spielt, lebt Familie Petruschke (polnisch „Pietruszka" – „Petersilie"). Die Familie darf bleiben, aber die Petruschkes haben eine halbwüchsige Tochter, Lucyna. „Sie sollte man aussiedeln, dieses Scheissgör Lucyna!", sagt Frau Helena Kornacka, die Gemahlin des neuen polnischen Gemeindevorstehers, ihre Meinung. Aber: „Wie kann man Lucyna aussiedeln? Zum einen ist das Mädchen erst vierzehn Jahre alt, dazu ist sie doch Polin. Jedenfalls haben sich ihre Eltern, die Petruschkes, als Polen ausgegeben und sprechen nicht schlecht polnisch. Sie dagegen, kein Stück. Die ganze Zeit, wo sie bei Hattwigs gearbeitet hat, haben wir von ihr kein Wort polnisch gehört. Nein, einmal hat sie doch etwas gesagt. Das war letztes Jahr im Sommer, als wir hier eingezogen

granej przez Niemców I wojnie światowej wychowało szkolnictwo II Rzeczypospolitej. W pierwszych latach II wojny pracował w jednej z kopalń III Rzeszy, dopóki nie został aresztowany przez gestapo za pomoc udzielaną polskim jeńcom wojennym, swoim szkolnym kolegom. W 1943 roku zbiegł do Generalnej Guberni, w powojennej Polsce stał się czujnym obserwatorem tego, co robią Niemcy. Jego felietonów prasowych z cyklu *Co robią Niemcy?* zebrało się na kilka książek, sukcesywnie wydawanych w PRL. Szewczyk pisał prozę artystyczną o tematyce śląskiej. W powieści *Trzciny* (1964) jest scena z 1945 roku, w której oficer Wehrmachtu zmusza przy pomocy rewolweru ludzi ze śląskiej wsi do ucieczki na Zachód. Nocą zostaje zamordowany w tajemniczych okolicznościach, ludność wraca do domów. Jaka to ludność? Czy to są Niemcy? Czy to są Polacy? W dziesiątkach zachodnioniemeckich powieści o wypędzeniach (Vertreibungsliteratur) jest to oczywiście ludność niemiecka, której nie trzeba grozić rewolwerem, ucieka ona w strachu przed Armią Czerwoną i dzikimi Polakami.

Było różnie. Ludność Górnego Śląska była etnicznie przemieszana i miała poczucie odrębności regionalnej, było ono częstokroć mocniejsze, niż więź z tym czy innym państwem narodowym; ludność ta była przyzwyczajona do politycznej niestabilności zamieszkiwanego przez nią terytorium. „Przyjdą – pójdą" – myślano sobie. „A my zostaniemy."

Po 1945 roku Ślązacy najpierw opierali się wysiedleniom, następnie zaczęli sami wyjeżdżać, czemu polska władza ludowa położyła po 1947 roku tamę. Posluchajmy, co o Niemcopolakach/Polakoniemcach śląskich pisał w 1954 roku Leopold Tyrmand (*Dziennik 1954*, I wyd. Londyn 1980): „Na ulicy spotkałem młodego dziennikarza Z. Wrócił właśnie wstrząśnięty z Opolszczczyny. Mówił o Ślązakach opolskich, którzy przez 700 lat trzymali się kurczowo polskości, gnieceni przez niemieckość. Trwali przy mowie i obyczaju i niemieckość nie mogła ich zgnieść. Zmógł ich komunizm, czyli ostatnie 7 lat. Są, według Z., doszczętnie zgermanizowani, w kościołach modlą się po niemiecku, ich forma protestu i oporu. Mnie to nie dziwi, ale Z., zapaleniec i patriota, miał łzę w krtani, gdy opowiadał. On zresztą, jak każdy idealista, wini niedowład polszczyzny i jej lichotę. Biedne, rozdarte pacholę. Powiedziałem mu, że gdyby u nas nie było komunizmu, Niemcy uciesind und beschlossen haben, Lucyna aufzuklären, aus ihr eine echte Polin zu machen. Das war in diesem Zimmer. Helena hat sie lange darüber aufgeklärt, wer die Deutschen waren, hat ihr von den Konzentrationslagern erzählt, von den Millionen Leuten, die da umgekommen sind. Das Mädchen hat ihr aufmerksam zugehört, zum Schluss energisch mit dem Kopf geschüttelt und auf Polnisch gesagt: ´Das war alles zu wenig´. Und dann hat sie von Helena mit dem Schuh eins an den Kopf gekriegt und war wohl schon ganz für Polen verloren."

Ob diese Lucyna schließlich für den Rest ihres Lebens Deutsche oder Polin geworden ist, wissen wir nicht. Die Sache war oft von den staatlich-historisch determinierten Erziehungsrealien abhängig, die man gerade an den jungen Deutschpolen/Polendeutschen ausprobierte.

Der schlesische Schriftsteller Wilhelm Szewczyk, dem die Eltern 1916 den Namen des Kaisers gaben, kam nach dem von den Deutschen verlorenen Ersten Weltkrieg in den Genuss des polnischen Bildungswesens. I den ersten Jahren des Zweiten Weltkrieges arbeitete er als Bergmann in einer der Zeche des Dritten Reiches, bis er von der Gestapo für die Hilfe, die er den polnischen Kriegsgefangenen, seinen Schulkameraden, geleistet hatte, festgenommen wurde. 1943 floh er in das Generalgouvernement, im Nachkriegspolen wurde er zum wachen Beobachter dessen, was die Deutschen machen. *Was machen die Deutschen?* – heißen seine Feuilletons, die er jahrzehntelang in der Presse publizierte und die sukzessiv in der VRP als Bücher herausgegeben wurden. Szewczyk schrieb schöne Literatur zur schlesischen Thematik. Im Roman *Das Schilf* (1964) gibt es eine Szene von 1945, in der ein Wehrmachtoffizier mit Hilfe seines Revolvers Leute in einem schlesischen Dorf zur Flucht nach Westen zwingt. Nachts wurde er unter geheimnisvollen Umständen ermordet, die Bevölkerung kehrt ins Dorf zurück. Was für eine Bevölkerung? Sind das Deutschen? Sind das Polen? In etlichen westdeutschen Romanen der Vertreibungsliteratur ist das natürlich die deutsche Bevölkerung, die man nicht mit dem Revolver antreiben musste, sie flieht eifrig vor der Roten Armee und den wilden Polen.

Es war so und so. Die Bevölkerung Oberschlesiens war ethnisch gemischt und empfand das Gefühl regionaler Besonderheit oft stärker als die Bindung an diesen oder jenen Nationalstaat; diese Bevölkerung war an die politische Instabilität des von ihr bewohnten Territoriums gewöhnt. „Sie kommen, sie gehen", dachte man. „Und wir bleiben."

kaliby masowo przez Odrę i Nysę i polszczyli się w neopolskim Wrocławiu".

W tym miejscu wtrącę historyjkę, ktorą opowiedziała mi w 30 lat po Tyrmandowej, słuchaczka moich wykładów o literaturze polskiej na kilońskim uniwersytecie, Uschi, imię od chrztu Urszula. W połowie lat 60. była uczennicą wiejskiej szkoły powszechnej na Opolszczyźnie. Przyjechał wizytator z powiatu, bardzo miły i łaskawy. W rozmowie z dziećmi w obecności nauczyciela zapytał: „A kto wie, jak się nazywa towarzysz pemier naszego rządu?". Dzieci gapią się na siebie bezradnie, na zaniepokojonego nauczyciela i na życzliwie zachęcającego do emulacji wizytatora, nikt nie kwapi się do odpowiedzi. Wreszcie wypalił jakiś chłopczyk z pierwszej ławki: „Adenauer!".

W literaturze polskiej znajdzie się sporo przykładów zdecydowanego polszczenia się byłych obywateli III Rzeszy z powodu szczerego obrzydzenia do niemieckości po strasznej plamie hitleryzmu. Taką Niemkę mamy np. w powieści Eugeniusza Paukszty, czołowego pisarza Ziem Odzyskanych, pt. *Spowiedź Lucjana Skobiela* (1963). W powieści Wilhelma Szewczyka *Trzciny* Niemka (Niemcopolka/Polakoniemka) ma na imię Klara, jak pani Krause primo voto Leśnik, o której opowiadałem w części pierwszej niniejszego szkicu. Diewczyna obdarzona tym ulubionym przez śląskiego pisarza imieniem została skrzywdzona przez niegodnego Polaka: Klara jest w ciąży. Chce opuścić Polskę w desperacji. Pociąg zbliża się już do granicy, gdy nieszczęśliwa dziewczyna przytomnieje i wyskakuje z wagonu. Upada w trzciny – czyżby to była aluzja do Pascalowskiego symbolu egzystencji człowieka w strasznym świecie przymusów i barier? Filozoficzny sens tytułu powieści?

Znajdujemy w niej wiele materiału do problematyki Niemcopolaka/Polakoniemca. Jedną z głównych postaci *Trzcin* jest rolnik nazwiskiem Wodecki, człowiek tutejszy, w Peerelu mówiło się „autochton", porządny gospodarz. Porządność Wodeckiego budzi podejrzliwość wójta Miszury – przybył on na Śląsk zza Buga. Ów wiejski funkcjonariusz (kresowiak być może po sowieckiej praktyce) prowadzi swoistą kartotekę spraw wsi. Ma w niej wydzieloną rubrykę „Niemczyzna". Siedzi w poniemieckiej izbie za poniemieckim stołem i pisze. „Nad rubryką ´Niemczyzna´ zastanawiał się nieco dłużej, wreszcie zapisał: ´Niepewni są Wodecki i Cibulius, reszta – biedota, za każdym pójdzie´".

Nach dem Jahr 1945 hatten sich die Schlesier zuerst gegen die Aussiedlungen gewehrt, dann begannen sie selbst auszureisen, das die polnische Volksmacht nach 1947 gestoppt hat. Hören wir zu, was über die schlesischen Deutschpolen/Polendeutschen im Jahre 1954 Leopold Tyrmand schrieb (*Tagebuch 1954*, 1. Ausgabe London 1980): „Ich habe auf der Straße den jungen Journalisten Z. getroffen. Er kam gerade erschüttert aus der Oppelner Gegend. Er erzählte von den Oppelner Schlesiern, die sich, von den Deutschen unterdrückt, siebenhundert Jahre an ihr Polentum geklammert haben. Sie hielten an Sprache und Gebräuchen fest und das Deutschtum konnte sie nicht brechen. Gebrochen hat sie der Kommunismus, also die letzten sieben Jahre. Sie sind, so Z., restlos germanisiert, in den Kirchen beten sie auf Deutsch, ihre Form des Protestes und Widerstandes. Mich wundert das nicht, aber Z., ein Hitzkopf und Patriot, hatte Tränen in Kehle, als er das erzählte. Er gibt übrigens der Lähmung und dem Schund des Polentums die Schuld, wie jeder Idealist. Der arme verirrte Knabe. Ich hab´ ihm gesagt, dass, wen bei uns kein Kommunismus wäre, die Deutschen massenweise über die Oder und Neiße fliehen und sich im neopolnischen Wroclaw polonisieren würden."

An diese Stelle erwähne ich ein Geschichtlein, das mir 30 Jahre nach diesem von Tyrmand eine Hörerin meiner Vorlesungen über die polnischen Literatur an der Kieler Universität erzählt hat, sie hieß Uschi, getaufte Urszula. Mitte sechziger Jahre war sie Schülerin einer Dorfgrundschule in Oppelnland. Eines Tages kam ein Kreisschulinspektor in ihre Schule, gütig und freundlich. Im Gespräch mit dem Kinder fragte er: „Und wer weiß den Namen unseren Genossen Ministerpräsidenten?" (Damals und seit 1948 war das Jozef Cyrankiewicz.) Die Kinder glotzen einander, den beängstigten Lehrer und den freundlichen Gast, der hoffnungsvoll die Antwort erwartet – es meldet sich niemand. Plötzlich schieß ein Junge los: „Adenauer!"

In der polnischen Literatur findet man viele Beispiele von Deutschen, die sich überzeugt polonisieren lassen – aus echtem Ekel gegen das Deutschtum nach dem schrecklichen faux pas des Nazismus. So eine Deutsche haben wir z.B. im Roman Die Beichte von Lucjan Skobiel (1963) von Eugeniusz Paukszta, dem Tambourmajor der polnischen Wiedergewonnenen Gebiete unter den Literaten. Im Roman von Wilhelm Szewczyk *Das Schilf* heißt sie Klara, wie Frau Krause primo voto Lesnik, über sie ich in den ersten Teil dieser Skizze erzählt habe. Das Mädchen, dem der Schriftsteller den von ihm geliebten

A więc ów Wodecki ma dwóch synów. Starszy nazywa się Alois Wodetzki, był w Wehrmachcie, potem jako jeniec u Amerykanów, obecnie, 10 lat z górą po wojnie, dzierżawi stację benzynową w Mönchen-Gladbach, w RFN. Młodszego syna, Horsta, jego poprzednie państwo nie miało szansy umundurować – za Hitlera był dzieckiem. Kiedy dorósł, zgłosił się na ochotnika do armii swego państwa obecnego, jest żołnierzem Ludowego Wojska Polskiego. Przyjeżdża starszy brat w odwiedziny. Dochodzi do rodzinnej konfrontacji ideologicznej, wcale nie niemiecko-polskiej, lecz kapitalistyczno-socjalistycznej. Starszy brat uderzył ojca, młodszy rzucił się na starszego w obronie rodziciela i socjalistycznej ideologii.

Tyrmand, przysięgły wróg ustroju powojennej Polski, na początku lat 50. widzi Niemcopolaków/Polakoniemców śląskich jako Polaków uciekających w niemczyznę na znak protestu przeciw komunizmowi. Szewczyk, dobrze funkcjonujący w PRL socjalistyczny literat, przedstawia ich 10 lat później jako rzeczywistych uciekinierów do Niemiec, oczywiście zachodnich. Wabi ich mamona i perspektywa luksusów. Oto grupa repatriantów (Spätaussiedler), wśród których znajduje się Klara; oczekują na pociąg w kierunku Zachód. „Nikt z tych ludzi, którzy tutaj czekali, nie żądał współczucia, wszyscy oni bowiem dobrowolnie, po wielokrotnym przebadaniu swojej decyzji starali się o udział w tej wielkiej podróży. Niektórzy skłonni byli wybłagać pozwolenie pieniędzmi lub łzami. Mimo to każdy z nich działał z innych pobudek. Podobieństwa wyznaczały jedynie granice ludzkich tragedii, pomyłek, nieporozumień lub sprytu, były może podobieństwami losów, ale nie uczuć. Tych dwoje staruszków szepczących do siebie w języku, który przejęli jako naturalne dziedzictwo po przodkach, uległo jedynie presji syna, wielkiego pana tam gdzieś nad Renem; wyobrażali sobie tę jego pańskość jako wystarczające zabezpieczenie dla swojej starości. Ta niemłoda już kobieta z dwojgiem dzieci, zapłakanych po wczorajszym pożegnaniu z kolegami i koleżankami szkolnymi, jedzie zachęcona przez pewną instytucję, która zamiast zajmować się właściwym jej miłosierdziem, nasyła na nią pokusy, donosząc w częstych listach, że należy się jej renta, potężna, bo wieloletnia renta po poległym dla ojczyzny mężu; mąż jej zginął w poczuciu bezprawia, które się wobec niego dokonywało, dzieci dowiedziały się o tym w szkole i od rozumnych

Vorname gegeben hat, wurde von einem nichtswürdigen Polen missbraucht: hopp und ex. Klara ist schwanger. Voller Verzweiflung will sie Polen verlassen. Der Zug nähert sich zur Grenze an, das Mädchen kommt in der letzte Minute zur sich, sie springt aus dem Waggon. Sie fällt ins Schilf – sollte das eine Anspielung an das Pascalsche Symbol der menschlichen Existenz in der ungeheuren Welt von Zwängen und Barrieren sein? Der philosophische Sinn des Romantitels?

In dem Roman finden wir viel Material zur Problematik des Deutschpolen/Polendeutschen, jawohl. Eine der Hauptfiguren in *Dem Schilf* ist Wodecki, ein Einheimischer, in VRP sagte man „Autochthone". Wodecki ist ein musterhafte Landwirt und das erweckt den Verdacht des Gemeindevorstehers Miszura, der von Bug her auf die schlesische Erde gekommen ist. Dieser Dorffunktionär (kann sein, dass er die sowjetische Lebensschule hinter sich hat) führt eine Ar Kartei übe die Dorfangelegenheiten. Er hat in seiner Kartei die Rubrik „Deutschtum". „Bei der Rubrik ´Deutschtum´ überlegte er etwas länger, schließlich hatte er hineingeschrieben: ´Unzuverlässig sind Wodecki und Cibulius, der Rest – graue Masse, die hinter jedem herläuft.´"

Dieser Wodecki also hat zwei Söhne. Der ältere heißt Alois Wodetzki, er war Wehrmachtssoldat, danach Kriegsgefangener bei der Amerikaner, jetzt, über 10 Jahre nach dem Krieg, ist er Pächter einer Tankstelle in Mönchen-Gladbach, in der BRD. Der jüngere Sohn, Horst, war noch Kind in dem vorigen Staat, wurde also nicht uniformiert. Der gewachsene Horst wurde jetzt freiwillig zum Soldat seines aktuellen Staates. Der ältere Bruder kommt zum Besuch, es findet eine Konfrontation statt, keine deutsch-polnische, sondern eine kapitalistisch-sozialistische. Der ältere Bruder ohrfeigt den Vater, der jüngere verteidigt ihm und die sozialistische Ideologie.

Tyrmand, ein eingeschworene Feind der politischen Ordnung in Nachkriegspolen, sieht die schlesischen Deutschpolen/Polendeutschen Anfang der fünfziger Jahre als Polen, die ins Deutschtum fliehen. Szewczyk, ein in Volkspolen gut funktionierender sozialistischer Literat, stellt sie, als sie zehn Jahre später wirklich nach Deutschland fliehen, natürlich nach Westdeutschland. Sie seien von Mammon und Träume über Luxusleben verführt. So zeigt der Schriftsteller eine Gruppe von ihnen, unter denen sich auch Klara befindet: „Keiner von denen, die da warteten, forderte Mitleid, weil sie sich alle freiwillig und nach vielmaliger Überprüfung

ludzi, ale niemłoda wdowa zażyła już rujnującej jej pamięć trucizny, którą było zwiastowanie oszałamiających pieniędzy. Ta pretensjonalna pani w kapeluszu z błękitną gazą okrywającą czoło aż po nos, w wytwornej etoli na czarnym płaszczu, przez kilkanaście lat opłakiwała utratę wielkiego sklepu spożywczego, który zresztą dostał się w jej ręce z pożydowskiej zdobyczy; teraz jedzie przekonana, że jej kupiecki patriotyzm dozna zadośćuczynienia w formie odszkodowania, które przeobrazi się wkrótce w nowy, potężny sklep. Za tego młodego jeszcze człowieka nie dalibyśmy ani szeląga; istotnie, niedawno wyszedł on z więzienia, do którego przywiodła go żywiołowa nienawiść, zlecona mu przez awanturniczego ojca; siostry i bracia jego odprowadzają go bez żalu, raczej z poczuciem niejakiego wstydu, bo rozglądają się niepewnie dookoła, bo przemilczeli jego ucieczkę przed własnymi dziećmi. Tamta chmurna kobieta jedzie do męża; kazał jej przyjechać, a nie biadolić w listach, ale ani słowem nie wspomniał, czy ją jeszcze kocha, czy tęskni za nią, czy przyjmie ją jako żonę lub też jako służącą; jej ręce niezdarnie sięgające po papiery, spękane i zgrubiałe od ciężkiej pracy, nie będą pasowały do towarzystwa męża, którego fotografia w torebce, podobizna mężczyzny o małych oczach, z wąskim czarnym wąsikiem, nawet jej wydaje się być zmyśleniem kogoś, kto już nie istnieje, czymś bardzo odległym od prawdy."

Gdy czyta się dziś te kunsztownie budowaną, rozrosłą składniowo, Faulknerowską nieledwie prozę, ma się wrażenie, że autor ma coś do przesłonięcia, do ukrycia między zdaniami, między słowami. Przed kim? Przed cenzorem czy przed czytelnikiem?

Są wsród Szewczykowych spätaussiedlerów także super-Niemcy, czyli odwetowcy, starzy i nowi rekruci osławionej niegdysiejszej V Kolumny: „Są w tej grupie i tacy, którzy uśmiechają się i próbują w rozmowach słów, jakże śmiesznie brzmiących (...). Wygląda to tak, jakby wydobywali z trumny, niedawno odkopanej z ziemi, stare, zleżałe i spróchniałe łachmany, cuchnące truchłem i starzyzną. Uśmiechają się z błazeńską przemądrzałością i ta ich pewność siebie, sprężysty krok, jakim przechadzają się po sali, działa na innych, tragicznie rozłamanych, jak rozkaz bojowy: ´Nie płakać! Nie rozpaczać! Wrócimy tu, mein Schlesienland! Jedziemy na przeszkolenie, ihr Kerle! Zwei, drei, ein Lied!´ Wyprężają piersi, przekonani, że już im wszystko

ihrer Entscheidung bemüht haben, an dieser großen Reise teilzunehmen. Manche waren bereit, sich die Erlaubnis mit Geld oder Tränen zu erkaufen. Trotzdem hatte jeder von ihnen verschiedene Gründe. Die Ähnlichkeiten beschränkten sich auf menschliche Tragödien, Irrtümer, Missverständnisse oder Gewitztheiten, das waren Ähnlichkeiten der Schicksale aber nicht der Gefühle. Die beiden Alterchen, die miteinander in der Sprache flüstern, die sie als natürliches Erbe ihrer Ahnen empfinden, haben nur dem Druck des Sohnes, eines vornehmen Herren irgendwo da am Rhein, nachgegeben; sie haben diese seine Vornehmheit als Absicherung für ihr Alter angesehen. Diese nicht mehr ganz junge Frau mit zwei Kindern, die noch verweinte Gesichter vom gestrigen Abschied von den Schulkameradinnen und -kameraden haben, fährt, von einer gewissen Institution ermuntert, die, anstatt sich ihrer tätigen Nächstenliebe zu widmen, sie verführt, indem sie sie mit Briefen überschüttet hat, dass dieser Frau eine erhebliche Rente zustehe, die sich in den vielen Jahren angehäuft habe, seit ihr Mann für Vaterland gefallen ist; ihr Mann ist im Bewusstsein des Unrechts gefallen, das ihm widerfahren ist, die Kinder haben davon in der Schule und von vernünftigen Leuten gehört, aber die nicht mehr ganz junge Witwe hat schon etwas von dem Gift, das ihr Gedächtnis ruinieren wird, eingenommen, von dem Gift des das Gedächtnis benebelnden Geldes. Die anspruchsvolle Dame mit dem Hut mit blauen Schleier, der ihr Gesicht bis zur Nase bedeckt, in eleganter Stola über den schwarzen Mantel, beweinte jahrelang den Verlust ihres großen Lebensmittelgeschäfts, das übrigens nach der „Arisierung" zugefallen war; jetzt fährt sie in der Überzeugung, dass ihr kaufmanischer Patriotismus Genugtuung i der Form der Entschädigung findet, die sich bald in einen neuen, noch wunderbareren Laden verwandelt wird. In diesem noch jungen Mann würde man keinen Pfennig investieren; er ist wirklich vor kurzem aus dem Gefängnis entlassen worden, in das ihn blinder Hass, vom abenteuerlichen Vater geerbt, geführt hat; seine Schwester und Brüder begleiten ihn ohne Reue, eher mit Schamgefühl, denn sie blicken sich unsicher um, wie sie seine Flucht vor den eigenen Kindern verschwiegen haben. Diese umwölkte Frau fährt zu ihrem Mann; er ließ sie fahren und nicht in Briefen jammern, aber hat mit keinem Wort erwähnt, ob er sie noch liebt, ob er sich nach ihr sehnt, ob er sie als Ehefrau oder Dienstmädchen nimmt; ihre Hände greifen ungeschickt nach den Papieren, ihre spröden

wolno, jeszcze tylko wobec urzędników potulni i dokładni, aby jakieś uchybienie nie odmieniło decyzji."

Trzciny Wilhelma Szewczyka są okazem polemiki z gorszego gatunku zachodnioniemiecką Vertreibungsliteratur, pisaną nierzadko na zlecenie wrogich wschodzącej już gwieździe przyszłego kanclerza Willy Brandta i jego polityce wschodniej niemieckich związków wypędzonych, Vertriebenenverbände. Ale pisarz polski zamuje się w tej powieści (jak i w całej swojej śląsko-literackiej tworczości) tyle polityką, ile autentycznymi ludzkimi dramatami. Tym potrafi nierzadko poruszyć do głębi czytelnika. Taki dramat przeżywa epizodyczna postać powieści *Trzciny*, Frida Hilse. Narrator mówi o niej, że „płacze przez cały dzień w swoim pokoiku".

Frida Hilse jest kimś beznadziejnie samotnym w pustce między niemieckością i polskością, czuje się ona jak człowiek stojący bezradnie na granicznym pasie ziemi niczyjej, najeżonej minami i urządzeniami samostrzelającymi, obserwowany z wysokich wieżyczek strażniczych.

Było, minęło. Cieszmy się.

Aneks

Niemiec czy Polak? (Scenka dramatyczna z przeszłości)

Czas i miejsce akcji:

1983, sala lekcyjna na Uniwersytecie Ludowym (Volkshochschule) w Kilonii

Osoby:

Fritz Rosinski, ur. 1958 w Rheinbek, germanista i slawista, nauczyciel języka niemieckiego

Stanislaw Krüger (do 1983 nazywał się Krygier), ur. 1955 w Zabrzu, uczestnik kursu językowego dla późnych wysiedleńców (Spätaussiedler) z Polski

ROSINSKI (przerywając toczoną po polsku sprzeczkę swoich słuchaczy): Może dosyć już? Panie Krüger? Jak zwykle Polacy, byle czas minął, żeby się nie przepracować. Więcej dyscypliny, proszę.

KRÜGER (po polsku): Ja nie Polak. My tu wszyscy jesteśmy Niemcy, no nie?

ROSINSKI: Ależ oczywiście, oczywiście panie Krüger. Wróćmy do lekcji. Widzieli państwo wczoraj w programie NDR ten film o cudzoziemskich robotnikach przymusowych w Niemczech w czasach

und verarbeiteten Hände, die werden nicht zur Gesellschaft ihres Mannes passen, dessen Photo in der Tasche, das Porträt eines Mannes mit kleinen Äuglein und schmalen schwarzen Schnurrbart sogar ihr wie eine Einbildung erscheint, von jemanden, der nicht mehr existiert, de sehr weit weg von der Wahrheit ist."

Wenn man heute diese kunstvoll konstruierte, syntaktisch breit angelegte, fast wie von Faulkner stammende Prosa liest, könnte man den Eindruck gewonnen, dass der Autor zwischen den Sätzen und Worten etwas zu verdecken, zu verstecken hätte. Vor wem? Vor dem Zensor oder vor dem Leser?

Es gibt unter den Spätaussiedler bei Szewczyk auch Superdeutsche, d.h. Revanchisten, alte und neue Rekruten der berüchtigten ehemaligen Fünften Kolonne. „Es gibt in dieser Gruppe auch solche, die lächeln und in Gesprächen Worte probieren, die komisch klingen ... Es scheint, als ob sie aus einem Sarg, der von kurzem ausgegraben wurde, hervorgezogen wären, alte vermoderte Lumpen, nach Leichen und Verwesung stinkend. Sie lächeln mit närrischer Neunmalklugheit und diese ihre Selbstsicherheit, ihr federnder Schritt, mit dem sie durch Saal wandern, wirkt auf die anderen zerrissener als ein Schlachtruf: ´Nicht weinen! Nicht klagen! Wir kehren zurück, mein Schlesierland! Wir fahren zur Schulung, ihr Kerle! Zwei, drei, ein Lied!´ Sie werfen sich in die Brust, überzeugt, dass ihnen schon alles erlaubt sei, sind nur den Beamten gegenüber ergeben und brav, damit die Entscheidung durch einen Fehler nicht geändert werden kann."

Das Schilf von Wilhelm Szewczyk ist ein Beispiel für die Polemik mit manchen, schlechterer Sorte westdeutschen Werke der Vertreibungsliteratur, die oft im Auftrag von den Vertriebenenverbänden entstanden und gegen den aufgegangenen Stern Willy Brandt uns seine Ostpolitik sich richteten. Aber der polnische Schriftsteller beschäftigt sich in seinem Roman (wie in seinem ganzen schlesisch-literarischen Schaffen) sowohl mit der Politik als auch mit menschlichen Tragödien. Damit kann er nicht selten den Leser tief berühren. So eine Tragödie durchlebt eine Nebenfigur in *Dem Schilf*, Frida Hilse. Der Erzähler sagt, „sie weint den ganzen Tag in ihrer Stube".

Frida Hilse ist jemand, der sich hoffnungslos einsam im Leerraum zwischen Deutschtum und Polentum fühlt, sie fühlt sich wie ein Mensch, er ratlos im verminten Niemandsland mit verrätischen Selbstschussanlagen steht, von den Wachtürmen beobachtend.

Es war, es ist vergangen. Freuen wir uns.

hitlerowskiej dyktatury? Te różne kategorie, różne przepisy dla różnych narodowości. Francuzowi tyle masła, Czechowi mniej. Polakowi nie wolno posiadać i używać roweru, ale Holender może sobie wypożyczyć. I tak dalej, opisał te absurdy Rolf Hochhuth w powieści *Miłość w Niemczech*. Takie absurdy. Cały ten hitleryzm to był zbrodniczy absurd przecież. Czyj? Ano nasz, niemiecki, nie da się zaprzeczyć. Na szczęście żyjemy w innych czasach teraz. Ale dziś rano rozmawiam z panią Schulte, naszą sprzątaczką, i ona mówi: „Ja tam nic nie mam przeciw cudzoziemcom, ale dla mnie jednak Włosi czy nawet Grecy to nie jest to samo, co Turcy albo Polacy. A Murzyny to w ogóle nie". Oczywiście mówiąc o cudzoziemcach, nie miała na myśli takich ja wy, Niemców, którzy wracają po latach ze Wschodu do swojej ojczyzny, prawda panie Krüger?

KRÜGER (po niemiecku): Panie Rosinski, ale ja Niemcem nie jestem.

Berlin, VII 2009

Anex

Deutscher oder Pole? (Eine Kurzszene aus der Vergangenheit)

Zeit und Ort der Handlung:

1983, ein Unterrichtsraum in der Volkshochschule Kiel

Personen:

Fritz Rosinski, geb. 1958 in Rheinbek, Germanist und Slawist, Deutschlehrer

Stanislaw Krüger (bis 1883 sein Name war Krygier), geb. 1955 in Zabrze (dt. Hindenburg), Teilnehmer des Kurses für Spätaussiedler aus Polen

ROSINSKI (einen Streit in der polnischen Sprache von seinen Hörer unterbrechend): Vielleicht schon genug gequatscht? Herr Krüger?. Wie gewöhnlich die Polen, man kann keine Lust zu arbeiten, will nur die Zeit rumkriegen. Mehr Disziplin bitte.

KRÜGER (auf Polnisch): Ich bin kein Pole. Wir alle hier sind Deutsche, ne?

ROSINSKI: Aber natürlich, gewiss, Herr Krüger. Kommen wir zum Thema unseres Unterrichts zurück. Haben Sie gestern den Fernsehfilm von NDR über den ausländischen Zwangsarbeiter in Deutschland zur Zeit der Nazidiktatur gesehen? Diese verschiedene Kategorien, unterschiedliche Anordnungen für verschiedene Nationalitäten. Einem Franzosen zusteht solche Menge Butter, einem Tschechen weniger. Einem Polen ist nicht erlaubt ein Fahrrad zu besitzen und fahren, aber ein Holländer darf sich ein leihen. Und so weiter, diese Absurditäten wurden von Rolf Hochhuth im Roman *Eine Liebe in Deutschland* beschrieben. Solche Absurditäten. Dieser ganze Nazismus war doch ein verbrecherischer Absurd. Von wem? Von uns Deutschen leider, es ist nicht zu leugnen. Zum Glück leben wir jetzt in einer anderen Zeit. Aber heute Morgen spreche ich mit Frau Schulte, unserer Putzfrau, und sie sagt: „Ich habe nichts gegen die Ausländer, aber für mich sind doch Italiener oder sogar Griechen nicht dasselbe, wie Türken oder Polen. Und die Mohren überhaupt nicht". Natürlich, wenn sie „Ausländer" sagte, dachte sie nicht an solchen wie ihr, an die Deutschen, die nach Jahren in sein Vaterland aus dem Osten zurückkehren, nicht wahr, Herr Krüger?

KRÜGER (auf Deutsch): Herr Rosinski, ich bin aber kein Deutscher.

Berlin, VII 2009

Übersetzung vom Autor

Poranek 5.45

przebudzony
patrzę na ścianę
akceptuję każdą jej nierówność

w głowie niedokończone sprawy
jednak nie chwytają za nogawkę
nie proszą o finał

przez szczeliny w szybie
przeciska się krucza mowa
choć wyraźnie czarna
nie burzy mojego spokoju

za oknem inaczej niż wczoraj
cisza karmi pustką nieobecne gołębie
ale nie ogarnia mnie samotność

obok mnie ona
choć oderwana ode mnie ciałem
obrócona snem
i przeżywaniem
jestem jej pewien

jest 15 sierpnia
chcę się pomodlić
nie ma o co

bóg się obudził
czy właśnie śpi

W kościele

są ich tłumy
sami starcy

w ich dłoniach różańce
trzymają je niczym liny
wolą nie patrzeć w dół

chcą sięgnąć szczytu
jak dawniej
gdy nie było horyzontów
a gonitwa za chwilą nie miała końca

nie znali granic
wątpliwości
chłodu
woleli ody niż epitafia

przekonani o swej sile
sięgali tylko po najbardziej odległe lądy

święte księgi uważali za balast

zawsze mierzyli najwyżej
dlatego omijali te mury
dlatego tu są

prócz rozpiętego guzika u mego rękawa
należał zawsze do ciebie

Michael Kurzwelly

Nachdenken über... Słubfurt

Mein erstes Bild von Frankfurt (Oder), das war der Bahnhof, im Oktober 1989, auf der Durchfahrt von Bonn nach Poznań, wo ich von 1990 bis 1998 leben sollte. Es war schon Nacht, der Bahnhof war nur spärlich beleuchtet, wirkte düster und ebenso bedrohlich, wie die barschen Herren in ihren grauen Uniformen, die mich kontrollierten. Ich hätte damals im Traum nicht daran gedacht, dass dieser Ort am Ende der Welt eines Tages meine Wahlheimat werden würde.

1993 lernte ich in Poznań Andreas (Andrzej) Billert kennen, der mich als Sanierungsbeauftragter von Altberesinchen mit folgenden Worten nach Frankfurt einlud: „Poznań ist doch langweilig, eine große Stadt, wie jede andere. Du musst nach Frankfurt (Oder) kommen, dort ist noch alles möglich." Er führte mich durch den bis dahin noch heruntergekommenen Kiez von Altberesinchen, von Haus zu Haus – vorne rein und durch Hinterhöfe wieder heraus. Im „Königs Fritzen" blieben wir stehen. Einige Monate später bespielte ich das noch immer leer stehende Gebäude zusammen mit 8 weiteren KünstlerInnen aus Poznań als „Gast-Stätte".

Mit der Zeit verschwanden die äußerlich sichtbaren Spuren der Zeit und auch das Eckhaus am Dresdner Platz wurde zu einer Praline in Altrosa.

Nach mehreren Spagatversuchen entschied ich mich im Herbst 1998 von Poznań nach Frankfurt zu ziehen. Ausschlag gebend war die Grenzlage der Stadt zwischen Poznań und Berlin, sozusagen in Polen und in Deutschland gleichzeitig. Das entsprach ganz meinem inneren Lebensgefühl: zuhause im Dazwischen.

Michael Kurzwelly

Rozmyślania o... Słubfurcie

Moje pierwsze wspomnienie z Frankfurtu nad Odrą to dworzec, w październiku 1989 r., kiedy jechałem z Bonn do Poznania, gdzie miałem mieszkać w latach 1990-1998. Była noc, dworzec, słabo oświetlony, wydawał się mroczny i równie groźny, jak ci burkliwi panowie w szarych mundurach, którzy mnie kontrolowali. Wówczas nie śniło mi się nawet, że to miejsce, gdzieś na końcu świata, któregoś dnia stanie się moją ojczyzną z wyboru.

W 1993 roku poznałem Andreasa (Andrzeja) Billerta, który jako pełnomocnik do spraw renowacji Altberesinchen zaprosił mnie do Frankfurtu tymi słowy: „Poznań to nudy, wielkie miasto, jak każde inne. Musisz jechać do Frankfurtu nad Odrą, tam wszystko jest możliwe". Poprowadził mnie potem po zapadłej wówczas dzielnicy Altberesinchen, wiódł od domu do domu – wejście od przodu, a potem wyjście od podwórza. W „Königs Fritzen" zatrzymaliśmy się. W kilka miesięcy później, wraz z ósemką innych artystów z Poznania, zamieniliśmy stary opuszczony budynek w wielką instalację artystyczną pt. *Gast-Stätte*, czyli *Miejsce dla gości / gospoda*.

Z czasem zewnętrzne znamiona upływającego czasu zniknęły, także ten dom na rogu Dresdner Platz stał się prawdziwą perełką w kolorze ciemnego różu.

Jesienią 1998 r., po krótkim okresie jeżdżenia w tę i z powrotem, podjąłem decyzję o przeprowadzce z Poznania do Frankfurtu. Najważniejsze znaczenie miało przy tym nadgraniczne położenie tego miasta, w połowie drogi między Poznaniem i Berlinem, rzec by można – jednocześnie w Polsce i w Niemczech. Odpowiadało to moim najgłębszym pragnieniom – życia gdzieś „pomiędzy".

Als Mensch und Künstler war die alte Dürer-Frage „Wer bin ich?" schon lange mein existentielles Thema. Als ich etwa 16 Jahre alt war, wollte ich nicht mehr Deutscher sein. In der Schule beschäftigten wir uns mit dem Holocaust und unsere Geschichtslehrerin hatte uns die Hausaufgabe mit auf den Weg gegeben, unsere Großeltern zu fragen, was sie während der Nazizeit gemacht hatten. Meine Großeltern waren empört über die Lehrerin und ihre Reaktionen machten sie verdächtig, mitgewirkt zu haben. Meine Großeltern, die ich so liebte? Die haben das geduldet oder sogar mitgemacht? Wie war es möglich, andere Menschen wie Abfall zu behandeln? Steckt das auch in mir?

Ich verweigerte den Wehrdienst und leistete Ersatzdienst mit „Aktion Sühnezeichen/Friedensdienste" in Frankreich. Die normannischen Bauern überzeugten mich, dass ich als junger Mensch nicht für die Taten der Generation meiner Großeltern verantwortlich bin. Trotzdem bin ich weiterhin der Überzeugung, dass aus der deutschen Vergangenheit für mich eine besondere Verantwortung für mein eigenes Handeln erwächst. Vor allem in dieser Beziehung bin ich Deutscher. Ich blieb 3 Jahre in Frankreich und lernte Sprache, Kultur und Lebensweise kennen. Dort habe ich verstanden, dass Offenheit für das Fremde, für das, was ich nicht gleich verstehe, eine wichtige Voraussetzung ist, um meiner geschichtlichen Verantwortung gerecht zu werden. So war ich vorbereitet für meinen Umzug 1990 nach Poznań. Dort habe acht Jahre lang gelernt, die Menschen in Polen zu verstehen und auch Deutschland durch ihre Augen zu sehen.

In beide Kulturen durfte ich eintauchen und habe viel von ihnen gelernt. Besonders in Polen war es nicht einfach, mich an die für mich schwierigen Lebensbedingungen anzupassen.

Vom polnischen Gesichtspunkt aus lebt man in Deutschland noch immer, wie „die Made im Speck". Ganz habe ich mich an diesen Überlebenskampf in Polen nie gewöhnt. Sicher war das einer der Gründe, weshalb ich gerne die Einladung des Frankfurter Kunstvereins wahrnahm, hier zwei Jahre zu arbeiten und mein erstes großes deutsch-polnisches Kunstprojekt im städtischen Raum unter dem Titel „Kommunikationsraum Frankfurt-Słubice – zeitweise öffentlich" zu realisieren. Der zweite Grund: Ich genieße es bis heute, hin und her über die Brücke zu fahren und in beiden Kulturen zu baden; dieser Ort

Stare dürerowskie pytanie „Kim jestem?" już dawno stało się dla mnie podstawowym problemem egzystencjalnym, zarówno jako dla człowieka, jak i dla artysty. W wieku około 16 lat chciałem przestać być Niemcem. W szkole zajmowaliśmy się tematem Holocaustu i nasza nauczycielka historii, w ramach zadania domowego, poprosiła, byśmy spytali dziadków, co robili w czasach narodowego socjalizmu. Moi dziadkowie byli na nią oburzeni, a ich reakcje budziły podejrzenie, że może mieli coś do ukrycia. Moi dziadkowie, których tak bardzo kochałem? Tolerowali to wszystko, a może nawet brali w tym udział? Jak można było traktować innych ludzi jak odpady? Czy to jest także częścią mnie?

Odmówiłem pójścia do wojska i odbyłem służbę zastępczą w organizacji „Aktion Sühnezeichen / Friedensdienste" we Francji. Normańscy chłopi przekonali mnie, że jako młody człowiek nie jestem odpowiedzialny za okrucieństwa popełnione przez pokolenie moich dziadków. Mimo to nadal jestem przekonany, że niemiecka przeszłość nakłada na mnie szczególną odpowiedzialność za moje własne czyny. I przede wszystkim w tym znaczeniu pozostaję Niemcem. Mieszkałem we Francji trzy lata, poznałem tamtejszy język, kulturę i sposób bycia. Tam pojąłem także, że bez otwarcia się na obcość, na to, czego nie rozumiem od razu, nie będę mógł stawić czoła mojej historycznej odpowiedzialności. To było moje przygotowanie do przeprowadzki do Poznania w 1990 r. Przez osiem lat życia w tym mieście nauczyłem się rozumieć Polaków i widzieć Niemcy także ich oczami.

Mogłem się zanurzyć w obu kulturach i z obu wiele się nauczyłem. Szczególnie w Polsce było mi trudno przystosować się do trudnych dla mnie tutejszych warunków życia.

Z polskiego punktu widzenia w Niemczech wciąż jeszcze żyje się „jak u Pana Boga za piecem". Nie udało mi się w pełni przyzwyczaić do tej polskiej walki o przetrwanie. Z pewnością był to jeden z powodów, dla których z radością przyjąłem zaproszenie Frankfurckiego Towarzystwa Artystycznego (Frankfruter Kunstverein), by przenieść się do tego miasta na dwa lata i uczestniczyć w polsko-niemieckim projekcie artystycznym w przestrzeni miejskiej pod tytułem „Przestrzeń komunikacji Frankfurt-Słubice – czasowo otwarte". Był i drugi powód: wciąż jeszcze uwielbiam przejeżdżać przez most w tę i z powrotem i nurzać się w obydwu kulturach;

entsprach und entspricht meinem Grundbedürfnis, zwischen den Kulturen leben zu können.

Es gab damals eine Diskussion in Frankfurt, in der es hieß, man müsse erst einmal die eigene, regionale Identität entwickeln, bevor sich Frankfurt und Słubice näher kommen könnten. Denn auf beiden Seiten der Oder leben Entwurzelte, die durch die 1945 auf Jalta beschlossene Ost-West Verschiebung der polnischen Grenzen ihre Heimat verloren hatten. Wie ihnen also ein Gefühl von Heimat zurückgeben? Das war für mich der Anlass, mich der Frage nach Identität von meinem Standpunkt aus zu stellen und ihn zu visualisieren. So entstand Słubfurt als „parallele Realität", seit zehn Jahren nun meine Heimat. Die Grenzen sind nur in unseren Köpfen. Diese Erkenntnis wächst bei mir von Projekt zu Projekt. Deutschland, Polen und der Begriff „regionale Identität" basieren auf Wirklichkeitskonstruktionen und Freiheit bedeutet, so frei zu sein, die eigene Wirklichkeit im Kopf zu verändern und die Verantwortung dafür zu übernehmen. Wenn ich heute Touristen durch Słubfurt führe, dann glauben viele daran, dass es diese Stadt tatsächlich gibt, denn ich glaube daran. Die Stadt existiert ja schließlich in meinem Kopf. Sie ist also bereits Realität.

Seit 1999 spiele ich verschiedene Facetten dieses gesellschaftlichen Raumes durch, von der Stadtmauer bis zum Parlament.

Polen, Deutschland und Europa sind ebensolche von Menschenhand geschaffene Konstrukte. Nationale Gesellschaften funktionieren meist in Abgrenzung gegeneinander und Europa ist die Chance, diese Abgrenzungen nach innen hin aufzuweichen. Diese Lebensräume funktionieren nur dann, wenn die Menschen sich mit ihnen identifizieren. Die „Olympiada" zwischen Słubfurt und Gubien hat das verdeutlicht: Die aus Polen und Deutschen bestehende Słubfurter Fußballmannschaft integrierte sich augenblicklich in dem Moment, als sie gegen den gemeinsamen Gegner aus Gubien (Guben-Gubin) antrat. Stolz wehte da die Słubfurter Fahne über dem Rathaus, als wir gewonnen hatten.

Unaufhaltsam werden Frankfurt und Słubice in Europa zusammen wachsen. Es ist nur eine Frage der Zeit, denn meines Erachtens ist das das wichtigste Alleinstellungsmerkmal unserer beiden Städte und die Zukunftskonferenz im Juni 2009, bei der über 200 BürgerInnen beider Städte an einer gemein-

to miejsce zawsze odpowiadało i wciąż odpowiada mojej podstawowej potrzebie życia na granicy kultur.

We Frankfurcie trwała wówczas dyskusja o tożsamości, mówiono, że Frankfurt i Słubice, nim zbliżą się do siebie, muszą najpierw odnaleźć własną, regionalną tożsamość. Po obu stronach granicy żyją ludzie pozbawieni korzeni, którzy w 1945 r. utracili swoje ziemie rodzinne na skutek jałtańskiej decyzji o przesunięciu polskich granic na Zachód. Jak można zwrócić im poczucie bycia u siebie? Stało się to dla mnie okazją, by samemu sobie zadać pytanie o tożsamość, a potem by je zwizualizować. I tak powstał Słubfurt, „równoległa rzeczywistość", która od 10 lat stanowi mój duchowy dom. Granice istnieją tylko w naszych głowach. To przekonanie wzmacnia się we mnie wraz z każdym nowym projektem. Niemcy, Polska, pojęcie „tożsamości regionalnej" opiera się na konstrukcji rzeczywistości oraz na wolności dokonywania zmian w rzeczywistości tkwiącej w naszych głowach oraz gotowości przejęcia odpowiedzialności za te zmiany. Kiedy oprowadzam dziś turystów po Słubfurcie, wielu z nich zaczyna wierzyć, że miasto to naprawdę istnieje – ponieważ ja w nie wierzę. I przecież tak jest w istocie – ono jest, jest w mojej głowie. Stało się więc już rzeczywistością.

Od 1999 r. zajmuję się najróżniejszymi aspektami tej przestrzeni społecznej, od murów miejskich po sejmik.

Polska, Niemcy i Europa również są konstruktami ludzkiej ręki. Społeczności narodowe funkcjonują najczęściej, oddzielając się od siebie, a Europa daje im szanse zmiękczenia tych granic od środka. Takie przestrzenie życiowe mogą istnieć tylko wówczas, gdy są ludzie, którzy się z nimi identyfikują. Wyraźnie pokazała to „Olimpiada" rozegrana między „Słubfurtem" a „Gubinem" – słubfurcka drużyna piłkarska, składająca się z Polaków i Niemców, zintegrowała się w okamgnieniu, kiedy tylko wyszła na boisko grać przeciwko wspólnemu przeciwnikowi z Gubina-Guben. Gdy wygraliśmy, słubfurcka flaga z dumą powiewała nad ratuszem.

Frankfurt i Słubice będą niepowstrzymanie wzrastały dalej we wspólnej Europie. To tylko kwestia czasu, bo moim zdaniem jest to najważniejszy wyróżnik tych dwóch miast, czego najlepszym dowodem była konferencja nt. przyszłości, która odbyła się w czerwcu 2009 r., a w której mieszkańcy Słubic i Frankfurtu tworzyli wspólną wizję rozwoju. Wyróżnienie, jakie projekt ten otrzymał w Brukseli,

samen Vision gearbeitet haben, ist der beste Beweis dafür. Die Auszeichnung, die das Projekt in Brüssel erhalten hat, macht deutlich, dass gerade jetzt der richtige Zeitpunkt gekommen ist, uns gemeinsam auf den Weg zu einer europäischen Modellstadt zu machen. Ich wünsche uns, dass wir diese Chance nutzen und das funktioniert nur, wenn sich auch die BürgerInnen beider Städte gemeinsam auf den Weg machen und den Lokalpolitikern Mut mit auf den Weg geben. Die Zukunftskonferenz mit den gemeinsam entwickelten Handlungsstrategien, das Słubfurter Parlament mit seiner humorvollen Basisdemokratie und die Bürgerinitiative „pro tram" als Netzwerk von Leuten, die sich gemeinsam für die Stadtentwicklung einsetzen sind dafür Beispiele, denn alle drei Foren denken den Stadtraum gemeinsam sowohl aus deutscher, wie aus polnischer Perspektive.

Es ist nicht möglich, allein aus der Schwere der Vergangenheit heraus Zukunft zu entwickeln. Deshalb ist Słubfurt ein Raum, der uns aus der Zukunft humorvoll entgegen lacht.

pokazuje, że właśnie teraz nadszedł czas, by razem wejść na drogę prowadzącą nas ku modelowemu europejskiemu miastu przyszłości. Życzyłbym sobie, abyśmy wykorzystali tę szansę; jednak uda się to tylko wówczas, gdy w drogę tę wyruszą także obywatele obu miast i w ten sposób tchną odwagę w lokalnych polityków, by zechcieli im towarzyszyć. Konferencja przyszłości i opracowana na niej wspólna strategia działania, słubfurcki sejmik i jego pełna humoru bazowa demokracja oraz inicjatywa obywatelska „pro tram", czyli grupa obywateli, którzy pragną razem zmieniać obraz miasta, to przykłady, że jest to możliwe, ponieważ wszystkie te trzy fora widzą miasto jako wspólną przestrzeń, czy to z polskiej, czy to z niemieckiej perspektywy.

Nie da się stworzyć przyszłości wyłącznie z brzemienia przeszłości. Dlatego właśnie Słubfurt jest przestrzenią, w której przyszłość śmieje się do nas radośnie.

Tłumaczenie Grzegorz Kowalski

VARIA

Małgorzata Mikołajczak

Oblicza prywatności

O twórczości poetyckiej Eugeniusza Kurzawy

Pisząc o poezji Eugeniusza Kurzawy, trudno uwolnić się od kategorii generacyjności. Przynależność do pokolenia Nowych Roczników zdecydowała o kształcie, tematyce, lirycznym idiomie, mówiąc najkrócej – o drodze twórczej autora *Wciąż nowej prywatności.*

Kurzawa to bez wątpienia jeden z najbardziej reprezentatywnych przedstawicieli swego pokolenia. I choć w antologii poświęconej Nowym Rocznikom jego nazwisko figuruje obok nazwisk innych lubuskich autorów (Mieczysława Warszawskiego, Czesława Sobkowiaka, Czesława Markiewicza)[1], on jeden

1 Por. *Poeta jest jak dziecko. Nowe Roczniki. Antologia*, wybór i opracowanie M. Chrzanowski, Z Jerzyna, J. Koperski, Warszawa 1987.

pozostał do końca wierny „nowej prywatności". Mało tego, tą „prywatnością" został niejako naznaczony – tak, że stała się dlań nie tylko punktem wyjścia („momentem wejścia"), ale i najważniejszym punktem odniesienia – w wielu znaczeniach i na różnych, nie tylko lirycznych, płaszczyznach. Nic dziwnego, że Andrzej Waśkiewicz w posłowiu do zbiorku, sumującego twórczość poetycką autora, sytuuje go właśnie na tle tego zjawiska: „Poznawcza przygoda Nowych Roczników – stwierdza – właśnie się bilansuje. Wiersze Kurzawy są ważnym głosem w tej zbiorowej autobiografii"[2].

Waśkiewicz, który od początku towarzyszy pisarstwu autora *Serialu codziennego*, omawiając programowe cechy jego poezji, ważne miejsce przypisuje utworowi *Z drzwi* – temu samemu, który rozpoczynał debiutancką książkę, a który po latach otwiera retrospektywny tomik:

Wejdźcie przyjaciele.
Siadajcie.
Nic nie mówcie.
Porozmawiajmy.

Warto jednak pamiętać, że dla czytelników rozmowa z wierszami Kurzawy zaczęła się wcześniej, a poetycki start autora (w arkuszu poetyckim *Wiem?*) wyznaczał wiersz niepowtórzony potem w żadnej innej książce[3]. W tym utworze motyw zamilknięcia (nazwany tytułowym frazeologizmem *Skonał na ustach*) został zgoła inaczej wyzyskany:

Znielubiłem tzw. poetów
widząc
konkurs poetycki ich życia
[...]
tzw. twórcy są aktorami
    stumaskowymi
    mają garderoby
    z szerokim wyborem
przebrań na różne okazje

Dlaczego przypominam ten nieco sztubacki, utrzymany w poetyce charakterystycznej dla juweniliów, utwór? Z powodu dwóch pojawiających się tu i sprzęgniętych w poezji Kurzawy motywów: życia poetyckiego i teatru (ten wątek zajmie ważne miejsce w moich rozważaniach). Ale także – ze względu na słowa, które zawarte zostały kilka wersów dalej:

a teraz banalnie
    kto z nich zna mowę strumieni
    ciemną kurtynę lasu
    wyświechtany księżyc
    głaskanie drobnej dłoni
tyle dzieli mnie od tzw. poety
    jak to dobrze

Oto pierwszy impuls i źródło tej poezji: pragnienie bycia „prawdziwym", nie tylko „tak zwanym" poetą. A co to oznacza, dookreśli Kurzawa we wstępie do pierwszego opublikowanego arkusza, upominając się o rzeczywistość oraz o człowieka. W domyśle: człowieka wolnego od politycznych sporów, społecznie narzuconych ról i manifestów; piszącego z wewnętrznej (prywatnej!) potrzeby, nie pod dyktando rynku, szkół artystycznych, mediów.

Z perspektywy trwającej (już? tylko?) trzydzieści lat drogi rzec można, że nie do końca mu się to udało, że dystansując się wobec tzw. literackiego życia, sam – jak baron Munchausen – znalazł się w pułapce „nowej prywatności", w programowym potrzasku, które narzuciło jego pisarstwu instytucjonalne pęta i zmusiło do wzięcia udziału w konkursie poetów.

jeździliśmy do chorzowa poznania
torunia warszawy lub wrocławia
żeby roztrząsać zadane sobie w świetle dnia
przenicowane w nocy tematy drukowane potem
w itd. studencie integracjach nowym medyku

– wspomina poeta w wierszu *Moje roczniki,* rozliczając przygodę swego pokolenia. W tym samym miejscu przywoła pamiętny moment – grudzień 1981 roku, w którym o noworocznikową generację upomniała się historia. Nie da się uciec od demona polityki, nawet jeśli egzorcyzmować go metaforą losowego zdarzenia. W wierszach odnoszących się do okresu, gdy „pechowa trzynastka przebiegła (...) drogę" (opublikowanych w tomikach *Samotnieję*

2 A. K. Waśkiewicz, *Posłowie,* [do:] E. Kurzawa, *Autoportret z przyszłością*, Zielona Góra 2006, s. 132.
3 W tomiku *To wszystko nic* (Warszawa 1990) pojawiła się za to mocno skrócona i zmodyfikowana wersja tego utworu.

[1986] i *Nie jesteś tu* [1986], także w tomiku *To wszystko nic* [1990]), temat stanu wojennego nie dochodzi do głosu, jego klimat przekłada się za to na psychiczne introspekcje. Rzeczywistość, pseudonimowana metaforami snu i nocy, projektowana jest na stany podmiotu, na studia samotności, wewnętrznego rozbicia. Wtedy też w wierszu *Młodzi poeci* będzie mieć miejsce pierwsze, pokoleniowe rozliczenie: „poetom zaczął / wiać w oczy wiatr / i okazało się że nie można iść / dalej".

Nie można? Powiedzmy już teraz, uprzedzając dalsze rozpoznania, że tamta pierwsza, pokoleniowo wyznawana poetyka świetnie zaadaptowała się w świecie późniejszych wierszy i ostatecznie poprowadziła Kurzawę ku innej – pleonazm będzie tu w pełni uzasadniony – „prywatnej prywatności": przestrzeni od wieków zasiedlanej przez poetów, usytuowanej z dala od medialnego rynku, ponad programowymi i pokoleniowymi granicami.

Nim tak się stało, „mit poety" musiał przejść jednak swoistą kwarantannę, poddać się kontestacji oraz oczyszczeniu. Kurzawa musiał natomiast rozwiązać osobisty dylemat:

„Co począć z poetą w sobie?"

I od tego zacznijmy zatem szkic do jego portretu. Na pytanie, kim jest (kim działa, myśli, czuje) podmiot liryczny Kurzawy, odpowiedź może być tylko jedna: poetą. „Czułym sejsmografem" (*inc.* „jestem czułym sejsmografem..."), „ślepcem dwudziestego wieku" (*inc.* „zaciskam palce..."), „błaznem i hamletem z jedną twarzą" (*Skończyły się czasy*), dla którego „życie jest tylko / pomysłem na wiersz" (*inc.* „życie jest tylko...") i którego „życie założyło się / w książki" (*Założyło się życie*). Parafrazując Wittgensteina, Kurzawa mógłby o sobie powiedzieć: „Granice wiersza są granicami mego świata", a na dowód, jak dalece idzie to utożsamienie, przytoczyć wiersz pod tytułem *Lektura*:

jeżeli sięgniesz poza okładki tam –
mnie nie ma cały jestem wewnątrz

W ów poetocentryzm wpisany jest jednak ontologiczny paradoks, poetycka klęska: powierzenie egzystencji słowu, które... nie ma w sobie życia. Które niczego nie tłumaczy, niczego nie wyjaśnia, nie ogarnia sobą całości, nie odpowiada na najważniejsze pytania. Autor *Wiem?* dobrze odrobił lekcję Różewicza, współczesną lekcję o śmierci poezji. A ponadto pogłębił ją o wiedzę wyniesioną z zajęć dodatkowych, odbywanych podczas literackich spotkań (vide *Recenzja ze spotkania literatów w Gnieźnie* czy tekst zaczynający się *incipitem* „nie wierz poecie..."). Dlatego wiersze pisane na zgon poezji (np. utwór *Skończyły się czasy*) mówią zarazem o narodzinach poezji-instytucji, która, ironicznie parafrazując Horacego, sama dziwi się swojemu (jeszcze) istnieniu.

W rozpisanej na wiele utworów refleksji metapoetyckiej Kurzawy nader często powraca związany z instytucjonalizacją twórczości poetyckiej wątek. Dużo tu, uderzająco dużo wierszy demaskatorskich, ironicznych, gorzkich, obnażających poetycki blichtr, artystyczny pozór. Kontestacyjna refleksja poety brzmi tak, jak gdyby argumenty dyktował autor słynnej filipiki *Przeciw poetom*, Gombrowicz[4]: świat poezji jest światem fikcji czy raczej – w wersji Kurzawy – zakłamania, oferuje nijak mającą się do życia iluzję; wzniosłe poetyckie przemowy drażnią oraz nużą; sami poeci natomiast tworzą głównie dla takich jak oni poetów, ich życie jest zaprzeczeniem głoszonego w wierszach ideału.

Metapoetycka narracja układa się w opowieść o smutnym i samotnym poecie (to jeszcze jeden charakterystyczny dla Kurzawy splot motywów, domagający się, na co nie ma tu miejsca, osobnego szkicu), o uczestniku wieczorów autorskich, zjazdów, spotkań, „wynajmującym się do pisania haseł reklamowych i tekstów gazetowych" (*inc.* „rozpisały się setki..."). O autorze wierszy „garbatych / skręconych bólem w jeden szkielet" (*Zostawiam was*) i „małej poezji / nie znaczącej śladów" (*Moje samotne białe żagle),* który nauczył się podchodzić z dystansem do swojej literackiej roli, bo „czy poeta ma prawo zawracać wam głowę?" (*Zawracanie głowy*). Świetnie to podsumowuje ten oto satyryczny obrazek:

jeździ poeta od wioski do wioski
rozdaje wiersze
na spotkaniach autorskich
jeździ prawie
pół wieku z hakiem

4 Por. W. Gombrowicz, *Przeciw poetom: dialog o poezji z Czesławem Miłoszem*, wstęp F. M. Cataluccio, Kraków 1995.

na którym wisi
mięso jego poezji
(*Jeździ poeta*)

Sęk jednak w tym, że u Kurzawy kontestacja instytucji i syndrom „poety słabego" („on sam słaby" czytamy w utworze *Poeta*[5]) łączy się z silnym przywiązaniem do swojego „wewnętrznego poety". Stąd wątpliwości, które najlepiej podsumowuje *Komunikat:*

... stan
wewnętrznego surrealizmu tak długo trwa
co robić z poetą w sobie myśli nieszczęsny
którego to dopadło

„Wewnętrzny surrealizm" nakazuje, by wziąć w nawias realną rzeczywistość. Zgodzić się na trwający spektakl, udawanie, na grę w poezję, w poetę i – grę w życie.

Motyw gry, spektaklu, masek

– bardzo często eksploatowany, pojawia się u Kurzawy w różnych wariantach i wpisuje jego twórczość w tradycję znaną od czasów Szekspira, podjętą przez XVII-wiecznych metafizycznych poetów. Jeden z nich, Sir Walter Ralegh rozwijając ów motyw w wierszu *Czymże jest nasze życie?*, konkludował:

Tak to grając zdążamy do ostatniej mety
I tylko umieramy na serio, niestety[6].

„Niestety"? U Kurzawy, u którego nawet „ptaki odgrywają / codzienny szary serial" (*Jeszcze*) i w którego twórczości odbija się XX-wieczny egzystencjalizm, także umieranie zamienia się w spektakl. W wierszu, w którym interlokutorem poety jest *nomen omen* tytułowe *Życie,* toczy się na ten temat ciekawa rozmowa:

... zagraj swoją życiową rolę
jesteś po to żeby grać
tę tragifarsę tylko
niech to będzie w wielkim stylu
potem zapijemy się
na twojej stypie
niech ci będzie, sknero, lichwiarzu
na mojej

Życie jest „tragifarsą" i „melodramatem" (*Rozpady*), jest też nieustannie trwającym serialem (*Serial codzienny)*, w którym każdy dzień mija jak skończony film („oglądam ostatni seans" – oznajmi podmiot wiersza *Co rano*) i w którym „nie nauczeni cynizmu nieszczęśliwi / odgrywają po amatorsku dramatyczne sceny" (*Spektakl).* Przede wszystkim jest jednak spektaklem na „scenie samotności", o którym mówi poeta w wierszu *Gra dla siebie*. Ta gra ma różne warianty. Jest m.in. grą w siebie, teatrem marionetek, w którym „Kukła o twarzy znajomej / porusza się niezgrabnie / potrąca słowa / gdy pociągam za sznurki (*inc.* „wycinek świata może...").

W ramach eksploatowanego przez poetę motywu życia-teatru najbardziej produktywne są dwie jego odmiany: 1. związana ze wspomnianym już odczuciem nierealności istnienia, a zarazem z motywem kreacji artystycznej (pojawiającej się np. w wierszu o *incipicie* „wykreowane życie...") oraz 2. dotycząca tej gry, której synonimem jest wprowadzenie w błąd, udawanie. Tę drugą uprawiają m.in. ci, którzy mówią „do zobaczenia / odwiedzę cię wkrótce" (*Dworce niepokoju*). Ale największym aktorem w wierszach Kurzawy jest on sam, zakładający różne maski (*Maska*), wyznający: „Mnogie są wszystkie twarze / na jakie mnie stać" (*inc.* „nie szukaj mnie i we mnie..."). W tym samym miejscu zapisana została ważna konstatacja: „lecz życie to coraz bardziej / nieprawda". Przyjęcie takiego myślenie jest dla poety równoznaczne ze zgodą na Baudrillardowski świat symulakrów, na sojcomechanizmy życia społecznego. Te ostatnie przywołuje poeta w wierszu *byłeś,* analizując fenomen istnienia Chrystusa. Z uruchomioną tu, teologiczną kwestią, łączy się też największe egzystencjalne oszustwo, opatrzone kwantyfikatorem – „jeżeli":

5 Określenie to odnieść można do diagnozy autora *Ósmej dekady,* A. K. Waśkiewicza, który pokolenie Nowych Roczników nazwał generacją „słabą".
6 Sir Walter Ralegh, *Czymże jest nasze życie?*, [w:] *Antologia angielskiej poezji metafizycznej XVII stulecia,* wyboru dokonał, przeł., opracował i wstępem opatrzył S. Barańczak, Warszawa 1991, s. 37.

a jeżeli tam po drugiej stronie
jest – nic
i ci którzy na kolanach przybyli
na maskaradę nie zauważyli
oszustwa

(*Jeżeli*)

Na wszelki wypadek autor *Jeżeli* szukać będzie jednak innego sposobu na wieczność, a jego sprzymierzeńcami staną się

miejsce i czas – podstawowe współrzędne na mapie egzystencji.

W świecie gry i spektaklu, w którym realia zostają zawieszone, miejsce i czas stanowią rękojmię istnienia, poświadczenie bytu. Osadzając twórczość Kurzawy w realnym „tu"' i „teraz", są czymś więcej niż tylko elementem świata przedstawionego.

Czas, trudno nie zauważyć, stanowi obsesję poety. Obrazowany metaforycznie jako „wąż czasu", „przeorane pola czasu", „stalaktyty z upływającego / czasu", ma wiele różnych wcieleń: zachowuje się jak uliczny kot („ociera się o nogi przechodniów") jak mijany na ulicy przechodzień („czas mnie niespiesznie wyprzedził") czy też wszechwładny demiurg („to czas układa piramidy / absurdu"). Przede wszystkim jednak jest czasem fizykalnie doświadczanym – objawia się w procesach rozsypywania się („wczoraj codziennie / na moich oczach rozsypuje się czas"), rozpadu („rozpadam się w pęknięciach / czasu"), ubywania („ubywam codziennie / oczy włosy ruch ust wszystko idzie ku zblednięciu / wypływa ze mnie czas / kończy sie brzask stan przejściowy"). Charakterystyczne dla podmiotu Kurzawy jest interioryzowanie czasu w cielesnym, związanym z bólem, doznaniu. Poetę „wyraźnie boli nieskończenie rozwijający się w linię prostą / czas"; „często czuję wielki zegar / idący po drabinie" – wyznaje w wierszu *Choroba,* a w innym miejscu powie: „wczoraj to boli / ból powoli uderza / do głowy odpryskami czasu". Somatyczne i temporalne przenika się do tego stopnia, że czas staje się parametrem podmiotowości: „Świat co się kurczy i rozszerza / to czas płynący w moich żyłach" – czytamy w wierszu *Wyznaczając tętno*, czas „stężony", oznaczający „powolne konanie / kiedy korozja zżera słowa" (*Stężony czas*). A przecież poeci znają sposób zatrzymywania czasu: „Ta kartka wieki tu będzie płakała..." – pisał wieszcz romantyczny, Juliusz Słowacki. I autor z końca XX wieku ma pełną świadomość tej tradycji:

unieruchamiam czas

powtarzam ten zabieg
z pompatyczną wiarą w jego sens
przez siebie i proroków tej religii
wcześniej ustalony

(*inc.* „tu siebie dopadam jak schroniska...")

Ów „wcześniej ustalony sens" nie jest jednak udziałem podmiotu. Dla Kurzawy pisanie to odkładanie „kolejnego dnia" w „kartki niepamięci / w wiersze o przetrwaniu". „Mała poezja" bowiem niczego nie zatrzyma; jej słowa nie uchronią przed dotykiem śmierci, przed doznaniem starości, bólu i choroby. Oto owoc tej wiedzy, *exegi monumentum* w wersji współczesnego poety:

kamienieję Czasem
[...]
kamieniuję Czas

(*Będę stał jak pomnik albo jak człowiek nikomu niepotrzebny*)

Na szczęście jest też inny sposób na nieśmiertelność, związany nie z pomnikowym uwiecznieniem, ale z przestrzennym utrwalaniem siebie:

Zostawiam gdzieniegdzie drobne ślady
jak strzałki rysowane w dzieciństwie na ziemi
boję się że ktoś nie zauważy
tego tropu przeoczy okolice które
tak wyraźnie jak mogłem określiłem

(*inc.* „Zostawiam gdzieniegdzie...")

Pozostawione tropy znaczą miejsce na ziemi – miejsce, które u Kurzawy ma różne imiona. Najpierw więc jest to Zbąszyń, wpisany w metrykę urodzenia,

miejsce:
rozlane na nici niespiesznej
pogodnej wody
jezioro
i uwikłana w małą historię
kilkunastu domów
paru tysięcy byłych
i obecnych ludzi
rzeka

(*inc.* „miejsce...")

Ten wiersz, opublikowany po raz pierwszy w tomiku *Nad Błędnem i Odrą. Wiersze zbąszyńskie* (1989) otwiera ścieżkę regionalną, bardzo ważną na szlaku poetyckim Kurzawy. Jej kontynuacją jest wydany kilka lat później *Zapis* (1990, 1996), który rozwijając regionalną refleksję, dookreśli „to takie niepozorne miejsce". Autor *Zapisu* sięgając w głąb dziejów, wciela się w rolę poety archeologa: odczytuje stare kroniki, bada historyczne przekazy, rekonstruuje biografie dawno zmarłych osób, które „zapisano i rozpisano do miejsca / imienia nazwiska i zawodu / na trwałe / do życia monotonie powtarzającego / swą inność i niezmienność" (*Zapisano*). Bohaterami są tu m.in. Jan Głowacz, Abraham Zbąski i Marcin Czechowic, a dalej Stefan Garczyński, Tadeusz Żychliński oraz pomniejsi związani z historią Zbąszynia mieszkańcy. W tym zwrocie ku miejscu przejawia się, zwraca na to uwagę autor *Ósmej dekady,* charakterystyczne dla pokolenia Nowych Roczników porzucenie „dużej społecznej perspektywy, na rzecz więzi lokalnych. Dużej tradycji na rzecz tradycji małej. [...] z owej lokalnej perspektywy owo ogólne staje się konkretne. Przemawia poprzez ludzkie losy, dzieje ulic i domów, zapisy w starych księgach"[7].

Dodajmy, że osadzając się w tym przestrzennym wymiarze poecie udało się – w sensie dotąd nieprzywołanym – czas wyprzedzić. Jego poetycka topografia antycypuje bowiem kierunek we współczesnej humanistyce nazwany „nowym regionalizmem", będący krytyczną odpowiedzią na Wielkie Opowieści Narodowościowe, a zarazem – reakcją na globalizacyjne utopie i nie-miejsca[8]. W ramach regionalnie zorientowanej „geografii wyobraźni" przewartościowaniu podlega kontekst biograficzny – jest on nie tylko (nie tyle) składową autoprezentacji, co elementem strategii autolokalizacyjnej, w której peryferii nadany zostaje status miejsca centralnego.

We wspomnianym *Zapisie* prezentację miejsca i wniknięcie w jego dziejowe korzenie dopełnia genealogia własna – wejrzenie w rodzinną historię. Tu zaczyna się kolejny w twórczości autora *Wiem?* rozdział:

nowa wersja nowej prywatności.

Ten obszar zakreśli najważniejszą perspektywę dojrzałej poezji Kurzawy – z „widokiem na ogród" i na dom, w którym już nie wiersz jest głównym lokatorem. Poezji wystarczyć musi teraz rola „domowego zwierzęcia" (jak w utworze *Twórczość*), w centrum bowiem usytuowana zostaje rodzina: córka, żona, rodzice. W najnowszych tomikach (*Wciąż nowa prywatność, Autoportret z przyszłością*) cykl wierszy, poświęconych rodzicom (*Fotografia, Mój ojciec, Czuwanie, Nie, Z życzeniami pogody ducha*) uzupełniają utwory, opowiadające o ich odwiedzinach: o ojcu, który przyjechał „jak zawsze ku pomocy", o jego zgubionym w trawie scyzoryku. Osobną grupę stanowią tutaj wzruszające wiersze, dedykowane córce (*Wieczna lampka*, *inc.* „gdy była całkiem mała..., *inc.* „zbliża się sen – nie wpuszczaj nocy do domu..." *etc.*) i wiersze dla żony. Właśnie te teksty zarysowują podstawowy „pejzaż wewnętrzny" (*Dom*) – świat, w którym wieczność zakotwicza się w osobach najbliższych:

wy musicie być
wieczni choćby
to miała być tylko
moja wieczność
(*Nie*)

Poeta ćwiczy się teraz w nowej roli, „odpowiedzialnej roli igły / w stogu naszej wsi / globalnej" i odbywa zwykłe „zajęcia domowe": kosi trawę, wbija gwóźdź, parzy herbatę. Obawa „że świat zechce mnie / nie zauważyć" łączy się z nadzieją, bowiem to, co na zewnątrz, przestało mieć znaczenie: „pękły szwy sensu / świat rozsypał się i nie / pozbierał". Zamiast siedzieć nad białą kartką, lepiej jest uprawiać domowy ogródek, nawet jeśli w doniczkach „niepokój sadzi smutek", „nadzieję toczy lęk"; nawet jeśli „nocą / zaczyna się śmierć miękko w kapciach", a „jutro skalpel dnia otworzy / nowy / ból". Dzień wprawdzie nie pozwala oderwać się od spraw „toczącego się w poprzek swych istnień" świata, ale

7 A. Waśkiewicz, *Posłowie..., op. cit.*, s. 128.

8 Por. E. Rybicka, *Od poetyki przestrzeni do polityki miejsca. Zwrot topograficzny w badaniach literackich*, „Teksty Drugie" 2008, nr 4, s. 27. Jak zauważa badaczka: „Do lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych literatura regionalna traktowana była jako zjawisko drugorzędne i dopiero rosnąca od lat sześćdziesiątych fala jej popularności w Stanach Zjednoczonych przyniosła nowe perspektywy odczytania i wartościowania".

wieczorem można zamknąć drzwi, zapalić lampę (czy raczej „wieczną lampkę" – namiastkę wieczności) i... „nie wpuszczać nocy do domu".

zamykam
drzwi na klucz wyłączam telefony
wyłączam świat z krwioobiegu
zostawiam
za progiem

(*inc.* „zamykam...")

Po tym „zamknięciu" można by dać kropkę i zakończyć ów szkic do portretu. Tymczasem nie sposób oprzeć się wrażeniu, że coś tu jednak zostało pominięte i że powinno pojawić się jeszcze...

post scriptum.

Dlatego, zataczając koło, cofnijmy się do miejsca, w którym wszystko się zaczęło i powróćmy raz jeszcze do momentu debiutu – tym razem do wiersza, w którym zaprojektowany został zdawałoby się zwyczajny scenariusz. Oto w przygotowanej przez autora scenografii (w deszczu ze strażackiej sikawki spływającym na parkową ławkę) mokną zakochani. Ludzie i rekwizyty wykorzystani zostali do skonstruowania sentymentalnej, lirycznie ckliwej atmosfery. Ale już po wszystkim; ostatnie słowa należą do reżysera, który dostrzega, że zaplanowane przezeń zdarzenia przybrały obrót nieoczekiwany:

– a państwo wzięli rzecz poważnie
naprawdę się zakochali
trudno
zapraszam do następnych wierszy.

Co zapowiada ten utwór, co szczególnego jest w tym, wymykającym się spod kontroli poety, scenariuszu? Jego samospełniający się mechanizm. Dla Kurzawy bowiem udział w literackiej przygodzie Nowych Roczników pozornie tylko zaowocował porzuceniem literackiej sceny, przejściem ze świata poezji w prozę egzystencji. Po opadnięciu kurtyny nie rozwiała się przecież przygoda nowej prywatności: zmieniając maskę przeszła... „do następnych wierszy". Bo „poetyckość i prywatność" to układ sprzęgnięty, „ogród sztuk" trwa i nie ma ucieczki z systemu.

***

najlepiej się czuję zanurzony w micie
o PRL mit to przecież fikcja może strzępy
faktów przesianych przez pamięć pokoleń

zanurzam się zatem w fikcji
czymś nieistniejącym nieszkodliwym
gdyż zdaniem funkcjonariuszy prawdy
nie było wtedy polski o kolejnym numerze
i dobrze mi z tym bytem nierealnie pięknym
bezpiecznym gdyż niezmiennym choć
dziwnie na jawie ściganym i prześladowanym
palonym na stosie przez państwową inkwizycję

fikcja ogarnia mnie zewsząd fikcja
czyli nieprawda

2007

Napiera

napiera przeszłość tak wiele czasu
chaotycznie porządkowanego z którym
nie tylko ja sobie nie radzę
cały kraj przesunięty nad odrę nie wie co
z sobą począć głupieje od nadmiaru śliny
w ustach narodu rośnie pieśń i pleśń
i coraz bardziej czuję jego niezdrowy oddech
na plecach a może coś się psuje od głowy od rany
koguty pieją jak zwariowane coś obwie-
szczają za oknem sąsiad obiecał je pozabijać
jednak żyją i znów nowy dzień wśród
jazgotu i frustracji

7 II 2009

***

wciąż odrastają ci paznokcie włosy broda
chwilowa
powtarzalność ale nie taka jak w ogrodzie
za oknem za ścianą gdzie lód zamyka się
nad stawem a trawy powstrzymują swój wzrost
żeby znów ruszyć ku względnej nieskończoności
denerwująca czynność przycinania już wkrótce
ustanie względnie odpoczniesz po bezsensownym
biegu znikąd do nikąd a trawy znów wyrosną
nietrwałe jak wieczność

16 XII 2007/17 XII 2008

Wszystko rośnie

wszystko rośnie forsycja pod drzwiami stoi
kiedyś zaledwie krzew w tym roku stroi
się na drzewko a brzozy od brata potężne
dziś mają pnie że trudno uwierzyć patrząc
lirodendron zarzuca jesienią stawek liśćmi
tyle ich ma obok jarząb szwedzki modrzew
koło saloniku przeskoczył wszystko taki
wysoki aż trudno go przyciąć więc rósł
i rośnie i sypie igłami do rynien
nawet trwały kamień wrasta w ziemię i
obrasta mchem przyzwyczajając się
do miejsca tylko ja
jestem tutaj nietrwały
słabo ukorzeniony i rosnąc umieram

8-12 V 2009

Maria Radziszewska

Wspomnienie o Józefie Kostrzewskim w 40. rocznicę śmierci nestora polskiej archeologii

W październiku minęła 40. rocznica śmierci nestora polskiej archeologii – profesora Józefa Kostrzewskiego. W tym roku mija także 75 lat od odkrycia przez jego zespół osady kultury łużyckiej w Biskupinie. Te dwie rocznice są dla Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki im. Cypriana Norwida ważne, zielonogórska biblioteka posiada bowiem archiwum tego uczonego pozyskane od rodziny w 1970 r., w rok po jego śmierci. W skład archiwum wchodzi kilka tysięcy woluminów książek i czasopism oraz nadbitek artykułów, będących przez ponad pół wieku warsztatem pracy polskiego archeologa. Zbiór archiwalny tworzą także rękopisy najważniejszych prac Józefa Kostrzewskiego, sprawozdania polskich archeologów z wykopalisk i 102 teki notatek i rysunków, dokumentujące prace wykopaliskowe w różnych regionach Polski i krajów sąsiednich, w podziale na okresy archeologiczne. Wraz z dokumentami biblioteka nabyła także wyposażenie gabinetu profesora.

Po latach wielkiego uznania w okresie międzywojennym i w czasach PRL-u, o osobie profesora jakby w III RP zapomniano. Zmienia się to powoli. Od kilku lat obserwuje się wzrost zainteresowania archiwum naukowym Józefa Kostrzewskiego, zwłaszcza dokumentacją ze stanowisk archeologicznych. Bibliotekę odwiedzają naukowcy z różnych ośrodków w kraju, badając zawartość tek, a w swoich publikacjach powołują się na ustalenia i rysunki archeologa.

Józef Kostrzewski, jeden z twórców polskiej archeologii, urodził się w 1885 roku w Poznańskiem

ILUSTRACJA POLSKA

35

Nie tylko katedra jest terenem działalności profesora uniwersytetu

Co znaleziono nad jeziorem w Biskupinie

Skan z „Ilustracji Polskiej" z 1934 r. opisującej wykopaliska w Biskupinie

i swoje życie związał z Poznaniem i Wielkopolską. Kształcił się we Wrocławiu, Krakowie, Berlinie i Lwowie. Dwa lata studiował medycynę, ale studia przerwał w związku z zaległościami spowodowanymi aresztowaniem za działalność spiskową przeciw zaborcy. Potem obrał Kraków jako miejsce kształcenia, tak ze względu na zajęcia z prahistorii, jak i atmosferę polskości w tym mieście. Zgłębiał tam także archeologię, lingwistykę i filozofię. Tam zetknął się z wykładami pierwszego fachowego prahistoryka polskiego, profesora Włodzimierza Demetrykiewicza. Po roku studiów, w 1910 r., za radą Bolesława Krzepkiego, historyka kultury, badacza prahistorii i dyrektora Muzeum Mielżyńskich w Poznaniu zapisał się na uniwersytet berliński, który jako jedyny na terenie Niemiec posiadał katedrę prahistorii na wydziale filozoficznym. Pierwszy rok studiów berlińskich to właściwie pobyt w Londynie, przesiadywanie w bibliotece British Museum i studiowanie literatury archeologicznej. Jak wspomina w swoim pamiętniku *Z mego życia*, pierwszy rok studiów w Berlinie „zaliczono mi jednak, ponieważ podpisy w indeksie zbierał dla mnie zacny kolega i przyjaciel Władysław Marcinkowski"[1]. Ten rok studiów literatury archeologicznej – gdzie indziej często niedostępnej – okazał się bardzo przydatny w dalszych studiach w Berlinie.

Studia te dały Kostrzewskiemu solidną wiedzę teoretyczną i znajomość metodologii badań archeologicznych. Polski archeolog zetknął się tam z wykładami i poglądami Gustafa Kossinny, szefa katedry prahistorii. To właśnie ten fakt wpłynął na całe życie uczonego. I to spór z nim i jego następcami będzie towarzyszył profesorowi przez całe życie zawodowe. W pamiętniku tak charakteryzował go: „Prof. Dr Gustaf Kossinna, który pisał swe imię stale przez f, podobnie jak Skandynawowie, był doskonałym pedagogiem o ogromnej wiedzy i świetnym znawcą materiału wykopaliskowego i można się było u niego wiele nauczyć"[2]. Podkreślał także i doceniał wysoki poziom jego wykładów.

Jak to się stało, że chwalony profesor Kossinna stał się przeciwnikiem Józefa Kostrzewskiego – jednego ze swoich najzdolniejszych uczniów?

Kostrzewski pisał o nim: „był to nacjonalista niemiecki, gloryfikator prehistorycznej kultury germańskiej i prekursor narodowego socjalizmu, który w Skandynawii dopatrywał się prakolebki wszystkich ludów europejskich"[3]. To Gustaf Kossinna zwykł mawiać o Słowianach: „Teraz będziemy zajmować się kulturą, a właściwie brakiem kultury u Słowian"[4]. Niezmiernie raziło to polskiego studenta pobierającego nauki na niemieckim uniwersytecie, zwłaszcza studenta mającego w życiorysie działalność patriotyczną w tajnych stowarzyszeniach. Reaktywował Towarzystwo Tomasza Zana, mające na celu samokształcenie członków w języku polskim, historii i literaturze polskiej, drukował anonimowo patriotyczne artykuły, udzielał się także w ruchach antyalkoholowych.

Przyczyną konfliktu stały się kontrowersyjne poglądy Kossinny, zgodne z wyznawaną przez niego metodą osadniczą w archeologii. Historia tej metody

1 J. Kostrzewski, *Z mego życia*, Wrocław 1970, s. 65.
2 Tamże, s. 72.
3 Tamże, s. 73.
4 Tamże, s. 74.

sięga XIX w. W Europie XIX stulecie to czas idei narodowych i powstawania wyraźnie wyodrębnionych narodowych wspólnot „których wszyscy członkowie (nie zaś, jak w minionych czasach, tylko elity) wykazywali wysoki poziom świadomej identyfikacji z wartościami propagowanymi przez wspólnotę, z jej tradycją, językiem i obyczajami, poczuciem własnej wartości i wyższości nad innymi wspólnotami"[5]. Ważne stały się uprawnienia poszczególnych społeczności do określonych terytoriów. Udowadnianiem tego zajęli się naukowcy różnych specjalności, zwłaszcza historycy, którym jednak nie wszystko dało się wyjaśnić. Przydatni tu okazali się archeolodzy: „Odpowiadając na wyzwanie idei narodowej, europejscy archeolodzy drugiej połowy XIX stulecia postąpili jak przystało na przedstawicieli »wieku nauki«, wypracowali metodę umożliwiającą – ich zdaniem – identyfikację dalekich praprzodków współczesnych narodów europejskich"[6]. Ta młoda nauka szybko stała się orężem narodów i zatraciła się w nacjonalizmach.

Metoda osadnicza, z którą zetknął się Kostrzewski na Uniwersytecie w Berlinie, ogłoszona została na zjeździe Niemieckiego Towarzystwa Antropologicznego w Kassel w 1895 r. Teoria ta zakładała uproszczenie, że pozostałości archeologiczne na danym terenie są świadectwem zajmowania go przez konkretne ludy i plemiona oraz że możliwa jest identyfikacja tych ludów z wymienionymi u starożytnych pisarzy. Dla Niemców znaczyło to, że osadnictwo germańskie na terenach m.in. Polski było wcześniejsze od osadnictwa słowiańskiego, co uzasadniało ich prawo do tych ziem. Studiujący na niemieckim uniwersytecie studenci przyjmowali metodę swoich profesorów, ale dla Polaków nieposiadających własnego państwa wyższość germańska była trudna do zaakceptowania.

Józef Kostrzewski, jeden z najzdolniejszych studentów prof. Kossinny, także przyjął tę metodę, jednak na terenie Polski widział od czasów najdawniejszych osadnictwo słowiańskie, a nie germańskie. Była to jedna z teorii pochodzenia Słowian, teoria autochtoniczna, zakładająca, że ich prakolebką były tereny nad Wisłą i Odrą. W czasach, gdy

Szkic ceramiki z teki

Polski na mapie nie było, przyjęcie teorii autochtonicznej pochodzenia Słowian stwarzało konflikt z uczonymi niemieckimi, ale wielu z polskich archeologów stanęło po stronie polskiej idei narodowej.

Teorię autochtoniczną wyznawał Kostrzewski konsekwentnie, choć jak sam przyznaje w autobiografii, najpierw była teoria, a potem badania. W swojej książce *Wielkopolska w czasach przedhistorycznych* (wyd. w 1914 r.) „po raz pierwszy wypowiedziałem przekonanie, nie poparte jeszcze materiałem dowodowym, o tubylczości Słowian na ziemiach polskich"[7].

Barbara Stołpiak pisze: „J. Kostrzewski realizował w praktyce badawczej historyzm quasi-teoretyczny dokonując skrupulatnej analizy materiałoznawczej, ale w pracach syntetyzujących budował konstrukcje światopoglądowe w oparciu o fakty intersubiektywne, nie zachowując tym samym konsekwentnie postawy poznawczo-opisowej"[8].

Po dojściu Hitlera do władzy na początku lat 30. nastąpiło apogeum konfliktu z niemieckimi uczonymi. Niemcy musieli uzasadniać swoje prawo do terytoriów odwiecznie germańskich, co powodowało opór polskich kręgów naukowych. Przybrało to ostry wymiar w polemikach na łamach prasy polskiej i niemieckiej, Kostrzewskiego z dziekanem uniwersytetu w Królewcu i członkiem NSDAP – archeolo-

5 Z. Skrok, *Archeologia niezgody*, „Rzeczpospolita" 2000, nr 263, s. D1.
6 Tamże, s. D1.
7 J. Kostrzewski, *Z mego życia...*, s. 83.
8 B. Stołpiak, *Rozwój prahistorii polskiej w okresie 20-lecia międzywojennego*, Poznań 1984, s. 154.

Zdjęcie z odwiedzin prezydenta Ignacego Mościckiego w Biskupinie

giem Bolko von Richthofenem. W swoim pamiętniku *Z mego życia* temu sporowi Józef Kostrzewski poświęca dużo uwagi, szczegółowo analizując tę sprawę. Początek lat 30. to także zakrojone na wielką skalę prace wykopaliskowe przez duże ekspedycje na terenie całej Polski. W ich wyniku odkryto m.in. Biskupin. Z ówczesnych odkryć to było najbardziej spektakularne i wykorzystane ideologicznie. W pracy nad tą osadą zastosowano najnowocześniejsze metody badawcze i środki techniczne, bo jak pisze Andrzej Abramowicz „skala stanowiska, jego znaczenie, ogrom problemów, które stawiało, były istotnymi czynnikami zmuszającymi ośrodek poznański do stosowania postępowych metod badawczych i dokumentacyjnych"[9].

Zdjęcia stanowiska wykonywano m.in. z balonu, swoje badania prowadzili tam paleobotanicy, paleozoologowie, geolodzy, geografowie, a doświadczenia z Biskupina dały początek polskiej archeologii eksperymentalnej.

Sprawa datowania osiedla budziła od samego początku kontrowersje. Jak można się dowiedzieć ze strony internetowej muzeum w Biskupinie: „rozstrzygające dla Biskupina stało się uzyskanie dat dendrologicznych. Metoda ta polega na analizie sekwencji przyrostu słojów drzew od czasów współczesnych i cofaniu się w pradzieje. Prowadzone przez dr. T. Ważnego prace doprowadziły do powstania kalendarza względnego dla osiedla biskupińskiego. Później, porównując uzyskaną sekwencję z pełnym kalendarzem dendrochronologicznym z Niemiec Środkowych, uzyskano daty absolutne. Drewno dębowe na budowę zostało ścięte w latach 747-722 p.n.e., z tym, że ponad połowę budulca uzyskano w czasie zimy z 738/737 r. p.n.e. Prowadzone nadal prace otwierają przed archeologami nowe, ogromne perspektywy badawcze"[10].

Datę powstania osady rozstrzygnięto, ale nie ustalono przynależności etnicznej ludzi z osady biskupińskiej. Twierdzenie, że zamieszkiwała ją ludność prasłowiańska było raczej życzeniem niż tezą popartą dowodami naukowymi. Na przestrzeni minionych 75 lat od jej odkrycia archeolodzy umiejscawiali tam Prasłowian, Pragermanów, Illirów i wykorzystywali te hipotezy do spraw ideologicznych.

Po II wojnie światowej, gdy na Zachodzie idee metody osadniczej przybladły, w Polsce „archeolodzy uznali, że nadal mają pełne ręce roboty, a naród oczekuje od nich udowodnienia sobie i światu, że ponad wszelką wątpliwość Ziemie Odzyskane rzeczywiście są odzyskane"[11].

Obecnie uczeni zgadzają się co do tego, że osada należy do kultury łużyckiej trwającej od epoki brązu, czyli ok. XIV w. p.n.e., do wczesnej epoki żelaza ok. V w. p.n.e. Według dzisiejszego stanu wiedzy na temat pradziejowych kultur archeologicznych uważa się, że przynależności etnicznej tych kultur, w tym łużyckiej jednoznacznie nie da się ustalić. Tak więc spory pewnie trwać będą nadal.

Co dzisiaj pozostało z naukowej spuścizny Józefa Kostrzewskiego?

Na polu archeologii zasługi Kostrzewskiego są nie do przecenienia i to zarówno w dziedzinie naukowej, jak i popularyzacji tej nauki w społeczeństwie. Na niwie naukowej oprócz prowadzenia wykopalisk, publikowania swoich prac, sporą część aktywności profesora zajmowała sprawa organizacji muzealnictwa w Wielkopolsce, tak po I, jak i po II wojnie światowej oraz szkolnictwa – aktywnie włączył się w proces tworzenia Uniwersytetu Poznańskiego. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r. zabiegał także o scalenie kolekcji archeologicznych i rozstrzygnięcie zasad opieki konserwatorskiej nad zabytkami archeologicznymi w kraju.

9 A. Abramowicz, *Historia archeologii polskiej XIX i XX wiek*, Warszawa-Łódź 1991, s. 126.
10 *Biskupin. Muzeum Archeologiczne*, dostępny: http://www.biskupin.pl [2.10.2009].
11 Z. Skrok, *Archeologia niezgody...*, s. D1.

Utrzymywał kontakty zawodowe ze światem archeologicznym z całej Polski i Europy. Od 1922 r. był członkiem Międzynarodowego Instytutu Antropologicznego w Paryżu, a od 1926 r. Fińskiego Towarzystwa Archeologicznego.

O tych kontaktach świadczą nadsyłane Kostrzewskiemu nadbitki artykułów z całej Europy przesyłanych mu z dedykacjami od autorów i przechowywanych w zbiorach WiMBP. Zachowały się też zaproszenia na kongresy, obiady wydawane przy ich okazji. Aktywność profesora pozwalała mu na zapoznanie świata z osiągnięciami polskiej archeologii, a polskiemu uczonemu na zorientowanie się w tym, co działo się w innych krajach. Równie ożywione kontakty utrzymywał z polskim środowiskiem naukowym, nierzadko wchodząc w naukowe polemiki. Biblioteka przechowuje wiele sprawozdań z badań wykopaliskowych dokonywanych przez różne zespoły badawcze, referatów, programów konferencji. Archeolog wychował liczne i oddane mu grono badaczy takich jak: Witold Hensel, Władysław Łęga, Zdzisław Durczewski, Adam Rajewski, Jacek Delekta, Aleksandra Karpińska, Tadeusz Wieczorkowski i szczególnie ciepło w autobiografii wspominany Konrad Jażdżewski.

Dorobek naukowy Józefa Kostrzewskiego to kilkanaście książek naukowych, ponad 900 rozpraw, artykułów, recenzji. Z opublikowanych syntez i monografii w zbiorach naszej książnicy znajdują się rękopisy następujących tytułów: *Pradzieje Pomorza* i *Kultura prapolska* napisane w czasie okupacji w Małopolsce, gdzie ukrywał się profesor przed gestapo; *Pradzieje Polski*, wydana w 1945 r. *Prasłowiańszczyzna* oraz rękopis 3. wydania *Wielkopolski w pradziejach*. Na podkreślenie zasługuje fakt, że prace pisane podczas wojny były oparte na świetnej pamięci naukowca, bowiem jego warsztat pracy został w Poznaniu. Musiały mu zatem wystarczyć właściwie tylko pióro, atrament i zeszyt.

Kostrzewski był także inicjatorem założenia „Przeglądu Archeologicznego" i „Fontes Praehistorici" później „Fontes Archeologici Posnanienses". Dużą wagę przywiązywał do metodologii badań archeologicznych, opisał także dzieje polskich badań prahistorycznych. Ze szczególną uwagą zaznajamiał się z techniką wykopaliskową na studiach. Doceniał zwłaszcza tych wykładowców, którzy posługiwali się nowoczesnymi środkami nauczania, przeźroczami, tablicami rysunków powielanych na tzw. hektografie. Dobra metodologia gwarantowała fachowość w prowadzeniu badań i opracowaniu materiału. Dzięki temu interpretować mogą je na nowo dzisiejsi uczeni.

Archiwum, jakie posiada biblioteka, świadczy o solidności warsztatu pracy polskiego archeologa. Profesor posiadał szczegółowo opracowaną przez siebie na kartach dużego formatu bibliografię piśmiennictwa archeologicznego, także zagranicznych autorów. Posługiwał się fiszkami precyzyjnie uporządkowanymi w układzie abecadłowym. Notatki, rysunki, wycinki dotyczące prac wykopaliskowych tematycznie grupował w tekach wg epok, alfabetycznie wg miejscowości objętych badaniami opisane przykładowo: Pomorze Zachodnie, kultura łużycka, P-Z. Żaden bibliotekarz nie mógłby się powstydzić takiego warsztatu. W swojej autobiografii Józef Kostrzewski spory fragment poświęca imponującej mu bibliotece British Museum. Podziwia sprawność jej działania, fachowość, katalogi, to, że „Biblioteka była zaopatrzona w wydawnictwa ze wszystkich kontynentów, m.in. znalazłem tam publikacje polskie, jakich na próżno poszukiwałem w Bibliotece Jagiellońskiej"[12].

Był także wielkim popularyzatorem archeologii na łamach prasy codziennej i popularnonaukowej. W jego archiwum znajduje się 15 numerów „Jlustracji Polskiej" z lat 1932-34 i to właśnie w numerach z 1934 r. zamieszczono artykuły obficie ilustrowane o odkryciu Biskupina, »Jlustracja Polska« bowiem „przyczyniając się do sfinansowania badań, zapewniła sobie pierwszeństwo w publikowaniu fotografij z miejsca i rezultatów badań"[13].

Zadziwia rozgłos i popularność tematyki archeologicznej w ujęciu dla mas. Temu miał służyć także popularnonaukowy dwumiesięcznik „Z Otchłani Wieków" założony przez profesora w 1926 r., gdzie określając profil pisma, „zaakcentowano jego rolę w kształtowaniu świadomości narodowej, a więc rolę światopoglądową wykraczającą poza prezentowanie dorobku prahistoryków polskich w aspekcie poznawczo-opisowym"[14]. Czasopismo to cieszyło się

12 J. Kostrzewski, *Z mego życia...*, s. 67.
13 *Patrzymy w przeszłość Wielkopolski*, „Jlustracja Polska" 1934, nr 27, s. 3.
14 B. Stołpiak, *Rozwój prahistorii polskiej...*, s. 158.

dużą popularnością szczególnie w międzywojennej Polsce.

Józef Kostrzewski wiele lat kierował Muzeum Archeologicznym w Poznaniu i do emerytury z niewielkimi przerwami pracował na Uniwersytecie Poznańskim od czasu jego utworzenia w 1918 r., założył Polskie Towarzystwo Prehistoryczne przemianowane później na Archeologiczne. Uhonorowany został wieloma odznaczeniami, tytułami doktora *honoris causa* Uniwersytetu Poznańskiego, Jagiellońskiego i Uniwersytetu Humboldta w Berlinie oraz orderem papieskim św. Grzegorza Wielkiego.

W kręgach naukowych, nieobarczanych już sporami ideologicznymi, nadal trwają dyskusje na temat kolebki Słowian, między wyznawcami hipotezy autochtonicznej a zwolennikami hipotezy allochtonicznej zakładającej, że prakolebką Słowian są tereny nad środkowym i górnym Dnieprem. Oprócz tych dwóch koncepcji istnieje wiele innych mniej lub bardziej potwierdzonych naukowo. Zagadnienie to jest przedmiotem rozważań m.in. antropologów, biologów, językoznawców, genetyków, etnologów. I jak dotąd brak jednoznacznej odpowiedzi. Ostatnie badania antropologiczne przeprowadzone na Uniwersytecie Poznańskim w latach 2002-2004 i opisane przez Roberta Dąbrowskiego w pracy *Populacje ludzkie z dorzecza Odry i Wisły w okresie wpływów rzymskich i we wczesnym średniowieczu* (Poznań 2007) wskazują na zamieszkiwanie już w czasach rzymskich Słowian na terenie Polski. Być może nigdy to zagadnienie nie zostanie definitywnie rozwiązane, podobnie jak sprawa mieszkańców osady biskupińskiej. Zawsze jednak zostają efekty prac wykopaliskowych, a tu dorobek profesora Kostrzewskiego jest wielki. Nad jego rysunkami, notatkami nadal pochylają się naukowcy, coraz młodsi. To w dalszym ciągu bezcenne źródło informacji dla badaczy przeszłości.

Z pamięci

Ten chuderlawy chłopiec
w przydużej marynarce
to ja
a obok
starsza o kilka wiosen
siostra
śpiewa akompaniując sobie
na akordeonie
Na futrynie wisi sum
długości drzwi
(ma naprawdę ogromne wąsy)
Na klepisku płonie ognisko
jest lato i wieczór
lat pięćdziesiątych
W świetle płomieni
twarze flisaków
co przyjechali z południa
Zaprawieni w wiązaniu
stuletnich sosen
i spławianiu

Po tygodniowej harówce
chwile wytchnienia

Zasłuchani w tanga i walce
myślami są w odległych
domach i zagrodach

Błyski, cienie, półcienie
Melodie, słowa…
m a g i a

Na coraz bardziej wyblakłej
fotografii...

Z pamięci

Kino 1953/54

Będzie Kino
przyjechał pan Kwiatkowski
z Wygonu
– rozwieszone białe płótno
to ekran

Przemycony przez nastolatków
sadowię się na ławce
Bilety po złotówce i dwadzieścia groszy
których nie pamiętam
ale wiem jak wyglądały banknoty
dwu- i pięciozłotowe
i dwudziestki z tamtego okresu

Tytuł filmu
„Wakacje z Moniką”
produkcji szwedzkiej

Wszystko jak żywe
(inny świat, inne życie)
nad morzem którego nikt z nas
nie widział

We wsi zagubionej
wśród lasów
w świetlicy
migający
snop
światła
projektora
charakterystyczny
terkot
i szum

(dziś tylko strzępy migawek)

Kino

Alina Polak

Paradisus Sanctae Mariae, czyli jak powstawał dokument średniowieczny

Badacze zgłębiający tajniki dziejów często sięgają do źródeł historycznych, zarówno pisanych, jak i archeologicznych, dzieł sztuki, architektury i ikonografii. Wydaje się jednak, że najwięcej informacji zaczerpnąć można z dokumentów, listów, pamiętników, kronik etc., czyli śladów dawniejszych wydarzeń zapisanych na papierze. Jeśli chodzi o średniowiecze, z dokumentów odtworzyć możemy wiele aspektów życia gospodarczego, kulturalnego, politycznego i kościelnego epoki; niewiele jednak osób zastanawia się, w jakich okolicznościach pisma te powstawały, w jaki sposób je spisywano i kto to robił?

W znalezieniu odpowiedzi na te pytania posłużmy się dokumentem, inaczej zwanym dyplomem, dotyczącym ziemi lubuskiej, spisanym po łacinie, a mówiącym o fundacji klasztoru cysterskiego w Paradyżu (Gościkowie). Wspomnieć należy, że w wiekach średnich słowo „dokument" zastępowane było całym szeregiem innych nazw łacińskich: *scriptum*, *privilegium*, *pagina*, *chirographum*, *scriptura*, *carta*, *cedula* i in. W sprawach kościelnych, a także gospodarczych stosowano najczęściej dwojaki rodzaj dyplomów: poświadczeniowe, stanowiące dowód zaistniałej czynności prawnej i mogące służyć jako dowód przed sądem oraz dyspozytywne, czyli takie, które dopiero stwarzały stan prawny. Do takiego rodzaju właśnie należy dokument paradyski. Wystawił go wojewoda poznański Mikołaj Bronisz herbu Wieniawa 29 stycznia 1230 roku. Za zgodą biskupa poznańskiego Pawła i księcia Władysława Odonica postanowił przeznaczyć część swych włości (samo Gościkowo oraz klucz dziewięciu wsi leżących między Książem i Śremem) na założenie klasztoru cysterskiego. Wkrótce przybyli tu bracia zakonni z Lehnina (w Brandenburgii) i wieś zmieniła nazwę na *Paradisus Sanctae Mariae* (Raj Matki Boskiej), z czego z czasem utworzona została nazwa polska – Paradyż.

Co zawierała treść dokumentów XIII-wiecznych? Osoby, które zajmowały się układaniem tekstu dokumentów, korzystały ze zbiorów gotowych formuł, tzw. formularzy. Wiele kancelarii miało swoje własne podręczniki *ars dictandi*. Dyktatorzy brali też za wzór wcześniejsze dyplomy, a także dysponowali swoją własną wiedzą i pomysłowością w sztuce sporządzania pism. Jeśli chodzi o dokument paradyski, to nie zawiera on wszystkich formuł używanych w średniowieczu, jednak te uwzględnione w nim są najbardziej reprezentatywne dla pism o charakterze ekonomicznym. Zasadniczo formuły dokumentowe dzieli się na trzy części: protokół (częśći wstępna), tekst właściwy oraz eschatokół (część końcowa). W dokumencie paradyskim w protokole mamy inwokację werbalną – wezwanie imienia Bożego (*In nomine Patris et Filii et Spiritus sancti amen*). Do innych typów inwokacji spotykanych w średnioweczu należą: inwokacje symboliczne pod postacią znaku krzyża lub też greckie Α – Ω (alfa i omega), jako symbol początku i końca wszechrzeczy. Następną formułą wstępną dokumentu paradyskiego jest

intytulacja, mówiąca czytelnikowi, kto był wystawcą dokumentu i dyspozycji w nim zawartej. Jak wiemy, fundatorem klasztoru był Bronisz i jego to imię widnieje w omawianym piśmie (*Bronissius Dei gracia nobilis comes Polonie*). Najbardziej przydatną w badaniach dyplomatycznych (badaniach dokumentów) formułą jest arenga. Jej wyjątkowość polega na tym, że pozostawiała zawsze pole do popisu dyktatorowi dokumentu, który przy konstruowaniu jej mógł wykazać się erudycją, znajomością tekstów biblijnych, Ojców Kościoła czy filozofów starożytnych. Za pomocą różnorakich sentencji kanclerz czy notariusz ujmował motyw wystawienia pisma. W dyplomie Bronisza mamy arengę o treści: *Non absque dolore cordis nostre condicionis agnicionem nobis memoria suggerit, presertim cum vita hominis quamlibet potens et florens, sit denuo tamen vapor ad modicum parens, et quasi fumus vento raptus de fumario. Quapropter, cum multe sint aversiones, restat ut mittamus manum ad forcia et apprehendatur misericordia abscondens eleemosynam in sinum pauperum Christi qua possit orare pro nobis; quandoquidem nullum cicius placat et ad veniam movet pium Iudicem, quam opus pietatis, promissionem habens vite que nunc est et future.* Te kwieciste i skomplikowane na pierwszy rzut oka zdania, kryją bardzo prostą motywację fundatora dotkniętego brakiem potomstwa, a mianowicie potrzebę zadbania nie tylko o doczesność. Życie człowiecze jest ulotne, w jednej chwili dostatnie i kwitnące, w następnej rozwiewa się jak dym z ogniska. Dlatego nawet najmniejsza jałmużna sprawić może, iż Chrystus wstawi się za nami przed Sędzią Najwyższym; nic lepiej nie zapewni nam życia wiecznego niż miłosierne uczynki. Jest to arenga o wydźwięku religijno-etycznym. W źródłach spotyka się jednak najczęściej arengi memoratywne, mówiące o marności i kruchości życia ludzkiego i związanej z tym potrzebie utrwalenia postanowień darczyńcy pisemnie.

Przejściem do tekstu właściwego jest notyfikacja, mówiąca o woli wystawcy niekiedy całemu społeczeństwu: obecnym, jak i potomnym (*tam presentibus quam posteris universis*). W następnej kolejności w dokumencie znajduje się dyspozycja, czyli oświadczenie woli osoby wymienionej w intytulacji. Łączy się z nią formuła pertynencyjna, wymieniająca wszystkie części, które weszły w skład darowizny. W przypadku omawianego dokumentu były to wspomniane już wsie, a także dziesięciny ze znajdującego się w Gościkowie kościoła parafialnego. Mnisi zamieszkać mieli w zbudowanym z drewna klasztorze położonym na północnym brzegu rzeki Paklicy, poza właściwym obszarem wsi. Ponadto otrzymali prawo do uprawy ziemi, połowu ryb i polowań, wypasu bydła na łąkach oraz budowy młyna i pasieki. W klasztorze wyrabiano też sukno.

Jak wspomniano wyżej, w dokumentach stosowano wyrażenia, które uwierzytelniały go w taki sposób, by mógł stanowić pełnoprawny środek dowodowy przed sądem. Jedną z takich formuł była korroboracja, która wymieniała środki, jakimi nadawało się pismu moc obowiązującą. Było to powołanie się na pieczęć, świadków, podpis wystawcy. W tekście paradyskim jest to pieczęć właśnie oraz lista świadków, a na niej książę Władysław Odonic, biskup poznański Paweł, opat z Lehnin – Henryk, a z osób mniej znacznych: pleban gościkowski Wilhelm, kasztelan międzyrzecki Teodoryk, a także notariusz z otoczenia Bronisza – Gotard.

Dokument najczęściej kończono datacją, czyli określeniem czasu i miejsca jego powstania. Tak jest i w tym przypadku (*Acta sunt hec et data Posnanie anno gracie millesimo ducentesimo tricesimo, quarto Kalendas Februarii, Epacta XXVI, Indictione V*).

W ustawodawstwie średniowiecznym dla nadania mocy obowiązującej aktowi prawnemu nie wystarczyło samo spisanie dokumentu. Należało wykonać też cały szereg symbolicznych czynności pomocniczych, np. podniesienie pisma z ziemi i wręczenie go stronie, oświadczenie woli wystawcy na forum publicznym, np. na wiecu, zaś w Bawarii symboliczne pociągnięcie świadków za uszy przy redagowaniu dokumentu.

Odpowiedzmy jeszcze na ostatnie pytanie: w jaki sposób sporządzało się dokumenty w średniowieczu? Brały w tym udział trzy osoby: ta, która zmieniała stan prawny, czyli sprawca; ta, na rzecz której zmieniał się ten stan, czyli odbiorca oraz osoba, która spisywała dokument lub polecała go spisać, czyli wystawca. Dość często to sprawca wystawiał dokument, lecz kiedy nie posiadał on własnej kancelarii, obowiązek ten spadał na barki petenta, czyli odbiorcy lub też osób trzecich. Po poleceniu przez wystawcę spisania dokumentu, następowało zazwyczaj zlecenie naczelnikowi kancelarii przygotowania go, podzielone na kilka etapów. Niżsi urzędnicy musieli sporządzić brulion,

czyli brudnopis nazywany minutą. Posługiwali się przy tym podręcznikami, formularzami, księgami kancelaryjnymi. Te czynności nazywa się dyktowaniem dokumentu. Minuta sprawdzana była przez odpowiedniego urzędnika pod kątem zgodności z oświadczeniem sprawcy. Następnie przychodziła kolej na sporządzenie czystopisu, nad którym niejednokrotnie pracowało kilku urzędników, z których każdy miał inne zadanie, dlatego w jednym dokumencie spotyka się nieraz różne rodzaje pisma. Czystopis porównywano na końcu z brulionem, następnie podpisywano i przywieszano pieczęć. Niektóre kancelarie pobierały za wykonane zadanie tak zwaną taksę, której wysokość zaznaczano niekiedy na czystopisie. Widzimy więc, że przygotowanie dokumentu na pozór tak proste, bywało wynikiem skomplikowanego procesu. Tak też i wyglądało zapewne wystawienie dokumentu paradyskiego, który powstać mógł w otoczeniu wojewody poznańskiego Bronisza. Ciekawa arenga zastosowana w przywileju fundacyjnym świadczyłaby wtedy o wysokiej erudycji dyktatora tegoż dyplomu.

Literatura:

1. *Kodeks Dyplomatyczny Wielkopolski*, tom I (lata 984 – 1287), Poznań 1877.
2. Kętrzyński Stanisław, *Zarys nauki o dokumencie polskim wieków średnich*, Poznań 2008.
3. Maleczyński Karol, *Zarys dyplomatyki polskiej wieków średnich*, część 1, Wrocław 1951.
4. Szymański Józef, *Nauki pomocnicze historii*, Warszawa 2008.
5. Strona internetowa Szlaku Cysterskiego: http://old.szlakcysterski.org/paradyz.htm Stan na dzień 13 grudnia 2009 r.

Jan Poppenhagen

1974 geb. in Berlin; 1995 Abitur; 1996 Gründung der Kurzfilmgruppe „Satt und Durstig"; 1997 Gründung und Organisation des internationalen Berliner Underground Kurzfilmfestival „Clash of Clans"; 1999 Design Studium an; 2006 der Fachhochschule Potsdam, 2001 Gründung des Kurzfilm- und Kunstlertreffs „Aquarium" in Berlin Moabit; 2002 Kunst Studium an der ASP in Posen/Polen mit dem; 2003 Schwerpunkt Neue Medien; 2004 künstlerische Mitarbeit am Projekt „Slubfurt City" mit Michael Kurzwelly; 2006 künstlerische Zusammenarbeit mit der Tanzgruppe Lisanga am Tanztheaterstück „KRIEG"
Seit 1999 macht Jan Poppenhagen Kurzfilme, Videoinstallationen und experimentelle Musikvideos und arbeitet als freier Künstler und Fotograf Berlin.
Preise: 1. Preis Internationalen Trash Festival – Berlin / Deutschland 1998; 2. Preis Internationalen Trash Festival – Berlin / Deutschland 1999; 1. Preis WRO 03 – Inter. Media Art Biennale Wroclaw / Polen 2003; Publikumspreis Film and Video Festival – Naoussa / Greek 2006
Ausstellungen: 2004 Zero-Galerie, Berlin Slubfurter Informationszentrum, Frankfurt Oder, 2005 Rock! – Wanderausstellung; Zeitgeschichtliches Forum, Leipzig; Haus der Geschichte, Bonn, Rhythim of the Line; Berlin; 2006 Rock! – Wanderausstellung; Kronprinzenpalais, Berlin; 2007 M wie Moabit – Fotoausstellung – Galerie-Zero, Berlin; 2008 Inselglück – Sammelausstelung Kunstverein Tiergarten ev. – Galerie Nord, Berlin; 2008 Kings and Queens – Sammelausstelung – Miope-Galerie, Berlin

1974 ur. w Berlinie; 1995 matura; 1996 założenie grupy twórców filmów krótkometrażowych „Satt und Durstig"; 1997 założenie i organizacja międzynarodowego Berlińskiego Festiwalu Undergroundowych Filmów Krótkometrażowych „Clash of Clans"; 1999-2006 studia na kierunku design na Fachhochschule Potsdam; 2001 organizacja klubu artystów i filmów krótkometrażowych „Aquarium" w Berlinie Moabit; 2002-2003 studia na ASP w Poznaniu na kierunku Nowe Media; 2004 współpraca artystyczna z Michaelem Kurzwellym nad projektem „Słubfurt City"; 2006 współpraca artystyczna z grupą taneczną Lisagna nad sztuką teatru tańca pt. KRIEG; od 1999 r. Jan Poppenhagen tworzy filmy krótkometrażowe, wideoinstalacje oraz eksperymentalne klipy muzyczne. Pracuje jako wolny artysta i fotograf w Berlinie.
Nagrody: 1. Nagroda na Międzynarodowym Festiwalu Trash w Berlinie, Niemcy 1998 r.; 2. Nagroda na Międzynarodowym Festiwalu Trash w Berlinie, Niemcy 1999 r.; 1. Nagroda WRO 03 – Inter. Media Art Biennale Wroclaw / Polen 2003 r.; Nagroda Publiczności Film and Video Festival – Naoussa / Grecja 2006 r.
Wystawy: 2004 Zero-Galerie, Berlin; Slubfurter Informationszentrum, Frankfurt nad Odrą; 2005 Rock! – wystawa objazdowa; Zeitgeschichtliches Forum, Lipsk; Haus der Geschichte, Bonn; Rhythim of the Line; Berlin; 2006 Rock! – wystawa objazdowa; Kronprinzenpalais, Berlin; 2007 M wie Moabit – wystawa fotografii – Galerie-Zero, Berlin; 2008 Inselglück – wystawa zbiorowa stowarzyszenia Kunstverein Tiergarten ev. – Galerie Nord, Berlin; 2008 Kings and Queens – wystawa zbiorowa – Miope-Galerie, Berlin

Tłumaczenie Grzegorz Kowalski

Ramzi, 2007, C-Print auf Alu-Dibond hinter Acrylglas, Maße: 100 x 100 cm
Ramzi, 2007, C-print na dibondzie, plexiglas, wymiary: 100 x 100 cm

Hassmonster, 2008, C-Print auf Alu-Dibond hinter Acrylglas, Maße: 100 x 100 cm
Hassmonster (**Nienawistny potwór**), 2008, C-print na dibondzie, plexiglas, wymiary: 100 x 100 cm

Babu und Al, 2008, C-Print auf Alu-Dibond hinter Acrylglas, Maße: 100 x 100 cm
Babu und Al (**Babu i Al**), 2008, C-print na dibondzie, plexiglas, wymiary: 100 x 100 cm

Jerome, 2007, C-Print auf Alu-Dibond hinter Acrylglas, Maße: 100 x 100 cm
Jerome, 2007, C-print na dibondzie, plexiglas, wymiary: 100 x 100 cm

Jan Poppenhagen

Black is Black is Black is Black

Ein Gespräch von Michael Kurzwelly

– 2003 hast du für mich den Film „Słubfurt – eine Stadt an der Oder" gedreht. Damals sah alles danach aus, dass Du Filmemacher bist. Warum nun die Fotografie?

– Der Schritt zur Fotografie war ein langsamer Prozess. Zu der Zeit, als ich „Slubfurt – eine Stadt an der Oder" gedreht habe, habe ich auch an ein paar Auftragsarbeiten für ein paar Untergrund Rapper aus Berlin gearbeitet. Das waren hauptsächlich trashige Musikvideos oder Film-Skits für das Internet, aber u.a. habe ich auch Konzert-Touren mit der Videokamera dokumentiert. Irgendwas hat mich dann auf diesen HipHop-Konzerten fasziniert, von dem ich am Anfang nicht wusste das sein könnte. Ich wusste aber instinktiv, dass ich mit der Videokamera hier nicht weiterkommen würde.

Natürlich kommt es darauf an, wie man sich der Sache nähert, aber ich kam mit der Videokamera zu keinem Ergebnis. Immer sprangen mir Leute vor das Bild, wollten gefilmt werden, oder drehten sich weg. Ich hatte das Gefühl, die Videokamera stiftet eine Unruhe an einen ohnehin schon Unruhigen Ort. Also wählte ich den Fotoapparat. Keine Tonspur, keine Zeitachse, ich empfand die Fotografie plötzlich wie eine Befreiung, da es sich bei ihr immer um eine Fokussierung auf Raum und Zeit handelt. Ich hatte davor schon immer mit Videoinstallationen experimentiert, in denen ich mich mit der Zeitachse im Film beschäftigte. Zum Beispiel „to Love", wo ich 4 Stunden die frühe Love-Parade ohne Schnitt und in einer Einstellung drehte. Oder den Experimentalfilm „Three boys, a girl and a white sofa", nach demselben Prinzip die Drehpause eines Pornofilms zeigte. Da gibt es einen Grenzbereich zur Fotografie. Im stren-

Jan Poppenhagen

Black is Black is Black is Black

Rozmowę przeprowadził Michael Kurzwelly

– W 2003 r. nakręciłeś dla mnie film *Słubfurt – miasto nad Odrą*. Wtedy wszystko wskazywało na to, że zostaniesz filmowcem. Skąd więc ostatecznie zainteresowanie fotografią?

– Do fotografii dochodziłem powoli. W czasach, kiedy nakręciłem *Słubfurt – miasto nad Odrą*, wykonywałem też kilka zleceń dla paru undergroundowych raperów z Berlina. To były głównie trashowe klipy czy skity do internetu, ale poza tym kręciłem też na wideo niektóre koncerty. Coś mnie zaczęło fascynować w tych hiphopowych koncertach, coś, o czym na początku nie wiedziałem, co to może być. Jednak instynktownie czułem, że kamera się tu nie sprawdza.

Oczywiście wszystko zależy od tego, jak podejść do danego tematu, ale jeśli o mnie chodzi, kamera nie dawała oczekiwanych wyników. Ludzie ciągle wskakiwali mi w kadr, bo chcieli, żeby ich sfilmować, albo z kolei odwracali się ode mnie. Miałem poczucie, że kamera wprowadza dodatkowy niepokój w miejsce, które i tak było już niespokojne. Dlatego wybrałem aparat fotograficzny. Żadnej ścieżki dźwiękowej, żadnej osi czasu, fotografia wydała mi się nagle wyzwoleniem, bo chodzi w niej zawsze o skupienie się na danej przestrzeni i czasie. Wcześniej już często eksperymentowałem z wideoinstalacjami, w których zajmowałem się ścieżką czasową w filmie. Na przykład w projekcie „to Love", w którym przez cztery godziny kręciłem Love-Parade, bez montażu i z jednego ujęcia. Albo w eksperymentalnym filmie *Three boys, a girl and a white sofa*, który na tej samej zasadzie pokazywał przerwę w kręceniu filmu porno. To takie przejście w stronę fotografii. W ścisłym sensie film to przecież nic innego niż seria

gen Sinne ist Filme ja auch nichts anderes als eine serielle Fotografie mit Ton. Aber eben in der Regel mit einem Ende und einem Anfang. Diesen Gedanken, dass ein Kunstwerk ein Ende und einen Anfang hat, fand ich irgendwann sehr ermüdend und langweilig. Es gab den Punkt, wo ich das Medium Film Grundsätzlich in Frage gestellt habe, zumal ich auch das Gefühl hatte, das sich das „Bewegte Bild" durch Foren wie Youtube und dem allgegenwärtigen Handy in einer tiefen Krise steckt. Ich empfand Videos als Medium zu dieser Zeit irgendwie als sehr laut und hektisch. Also habe ich mir einen einfachen digitalen Fotoapparat gekauft, und bin in eigener Regie zu den Konzerten gefahren um einfach drauf los zu fotografieren, ohne ein bestimmtes Ziel vor Augen gehabt zu haben. Das ist instinktiv abgelaufen. Die Bilder die ich damals schoss entstanden willkürlich und unterscheiden sich komplett von meinen jetzigen fotografischen Arbeiten. Ich hatte einfach das Gefühl mich mit der eher „leisen" Vorgehensweise der Fotografie gut diesem Thema nähern zu können. Dieser Prozess dauerte vielleicht 2-3 Jahre, bis ich eine ganze Festplatte mit Fotos voll hatte, ohne wirklich eine Bildsprache entwickelt zu haben von der ich überzeugt war. Das ging solange bis ich anfing in meinem damaligen Wohnbezirk Moabit Jugendliche vor Ort auf der Strasse zu fotografieren.

Ich habe aber trotzdem nie wirklich aufgehört über das Medium Film nachzudenken. Ich halte es mir auch nach wie vor offen jeder Zeit wieder zum bewegten Bild zurückzukehren. Für mich stellt sich immer die Frage, welches Medium eine Idee oder einen Inhalt am besten transportieren kann.

– Warum interessiert dich gerade der Hip-Hop, die Show, die Maskerade junger Leute auf der Straße? Ich habe nicht den Eindruck, dass es sich um Modefotografie handelt, auch wenn die Menschen auf Deinen Fotos sich bewusst inszenieren und die Bilder sehr ästhetisch sind.

– Was mich interessiert ist genau der Bereich zwischen der Hochglanzinszenierung und der journalistischen Dokumentationsfotografie. Beide Gattungen sind ja in unserer Gesellschaft omnipräsent. Die eine versucht etwas vorzugeben, was nicht ist. Die andere etwas „ans Licht zu führen" bzw. einen Teil der Wirklichkeit sichtbar zu machen. Es gibt den Spruch „ein Bild sagt mehr als tausend Worte". Ich finde das in die Irre führend, da „ein Bild" etwas ganz fotografii z dźwiękiem. Przy tym jednak w zasadzie z jakimś początkiem i jakimś końcem. Ta myśl, że jakieś dzieło sztuki ma zawsze jakiś początek i koniec, wydała mi się w pewnym momencie niezwykle męcząca i nudna. Przyszedł moment, w którym w ogóle zakwestionowałem film jako medium, zwłaszcza że miałem poczucie, że „ruchomy obraz" przez takie fora, jak Youtube czy wszechobecne komórki, znalazł się w głębokim kryzysie. Wideo jako środek wyrazu wydawało mi się wówczas bardzo głośne i pełne nerwowości. Kupiłem więc prosty aparat cyfrowy i zacząłem na własną rękę jeździć na koncerty, po prostu żeby fotografować, nie zastanawiając się nad tym głębiej. To wszystko działo się instynktownie. Zdjęcia, które wtedy robiłem, powstawały przypadkowo i różniły się zdecydowanie od tego, co dziś robię z fotografią. Miałem po prostu poczucie, że dzięki tej „cichej" technice mogę lepiej zbliżyć się do tematu. Ten proces trwał może dwa albo trzy lata, po których miałem pełny twardy dysk zdjęć, a wciąż nie udawało mi się stworzyć jakiegoś własnego języka obrazów, do którego miałbym przekonanie. Trwało to do chwili, gdy zacząłem fotografować młodzież na ulicy w mojej ówczesnej dzielnicy, Moabicie.

Jednak mimo wszystko wciąż nie przestałem myśleć o filmie jako medium. I wciąż nie odrzucam myśli, że w każdej chwili mogę wrócić do ruchomego obrazu. Dla mnie zawsze najważniejsze pozostaje to, jakimi środkami najlepiej mogę wyrazić jakąś myśl czy treść.

– Skąd twoje zainteresowanie właśnie hiphopem, show, maskaradą młodych ludzi na ulicach? Nie odnoszę wrażenia, że chodzi tu o fotografię mody, chociaż ludzie na twoich zdjęciach pozują do nich, a same fotografie są bardzo estetyczne.

– To, co mnie interesuje, to właśnie obszar pomiędzy pełną inscenizacją a dziennikarską fotografią dokumentalną. Obydwa gatunki są przecież wszechobecne w naszym społeczeństwie. Pierwszy próbuje pokazać coś, czego tak naprawdę nie ma, drugi zaś „wydobyć na światło dzienne", czy po prostu pokazać, jakąś część rzeczywistości. Jest takie powiedzenie „Jeden obraz mówi więcej, niż tysiąc słów". Uważam, że wprowadza ono w błąd, ponieważ „obraz" to coś zupełnie innego, niż „słowo", albo wręcz „tysiąc słów". Fotografia wysokopołyskowa i fotografia dziennikarska próbują jednak powiedzieć coś o rzeczywistości wyobrażonej lub też przeży-

anderes ist als „ein Wort", oder eben „tausend Worte". Hochglanzfotografie und fotojournalistische Fotografie versuchen aber etwas über eine vermeintlich vorhandene und gelebte Wirklichkeit zu sagen. Entweder, „guckt...so bin ich", was ja eigentlich gerade im Hiphop oft heißt, „guckt...so würde ich gerne sein", oder eben „guckt euch mal diesen Aspekt der Wirklichkeit der Welt an in der wir leben." Auf mich wirken beide Kommunikationsversuche hilflos, die immer hinter ihrem eigenen Anspruch – nämlich aufzuklären – zurückbleiben müssen.

Auf beiden Seiten nehmen sich die Protagonisten zu ernst. Wenn ich persönlich nicht mindestens 5 Prozent Ironie in einem Bild entdecke, verliere ich das Interesse. Es spielt für mich auch keine Rolle, ob es sich dabei um eine Fotoreportage aus dem Stern, ein neues HipHop-Cover, eine Reklame an einer Häuserwand oder eine Installation in einem Foto in einer Galerie handelt.

Für mich ist Fotografie immer auch eine Inszenierung. Der Mensch der letzten zehn Jahre hat ja zudem auch immer mehr gelernt sich selbst zu inszenieren. Im Angesicht des digitalen Zeitalters spielt das eine riesengroße Rolle. Jeder, der einen „Avatar" auf einem Web-Forum besitzt ist ja förmlich zur Selbstinszenierung gezwungen. Das war früher nicht so bzw. nur einer bestimmten Schicht vorbehalten. Es wird auch nicht mehr so eine Portraitfotografie geben, wie sie es bis ins späte 20. Jahrhundert gab. Der Mensch vor der Kamera hat seine Unschuld verloren, und ich sehe keinen gesellschaftlichen Prozess, der dieses wieder rückgängig machen könnte. Ich glaube nur beschränkt daran, dass man über ein Foto etwas Persönliches über einen Menschen erfährt. Man kann aber immer etwas über die Zeit und die Gesellschaft herausfinden, in der ein Foto entstanden ist.

HipHop im Speziellen stand als solches schon immer für Selbstinszenierung. Dabei unterscheide ich zwischen HipHop als die kommerzielle Form von Rap und eben „Untergrund Rap". Da gibt es vor allen in der Szene und auf den Konzerten große Unterschiede. Es gibt die, die sich uniformieren und die, die eher an einer Selbst-Inszenierung interessiert sind. Je kommerzieller die Branche, ob das nun HipHop oder allgemein die Pop-Musik ist, desto uniformierter erscheinen ja auch ihre Anhänger. Bei der Untergrundszene sind die Fronten nicht so klar. Wer ist Musiker, wer Bodyguard oder Mitläufer, Manager

wanej. Mówi albo: „Patrzcie... taki jestem", co szczególnie w środowisku hiphopowym znaczy po prostu tyle, co „Patrzcie... taki chciałbym być", albo znowu „Popatrzcie na ten aspekt rzeczywistości świata, w którym żyjemy". Dla mnie obydwa te sposoby komunikowania się są w istocie bezradne – ponieważ zawsze muszą pozostawać w tyle za tym, do czego same dążą, za oświeceniem.

Po obu stronach tej granicy bohaterowie sami siebie traktują zbyt serio. Osobiście, jeśli w jakimś obrazie nie dostrzegę choćby 5 procent ironii, tracę nim zainteresowanie. Nie ma przy tym dla mnie znaczenia, czy chodzi o fotoreportaż ze Sterna, nową okładkę hiphopową, reklamę na ścianie domu czy instalację fotograficzną w galerii.

Fotografia jest dla mnie zawsze rodzajem inscenizacji. Zresztą przecież człowiek w ostatnich dziesięciu latach nauczył się coraz lepiej świadomie pozować. W epoce cyfrowej odgrywa to ogromną rolę. Każdy, kto posiada swojego „awatara" na jakimś forum internetowym, jest w pewnym sensie zmuszony do tworzenia własnego wizerunku. Kiedyś tak nie było, albo dotyczyło to tylko pewnej warstwy ludzi. Nie będzie też już nigdy takiej fotografii portretowej, jaką znaliśmy do późnych lat dwudziestego wieku. Człowiek przed kamerą utracił niewinność i nie dostrzegam żadnego procesu społecznego, który mógłby odwrócić tę tendencję. Moja wiara w to, że poprzez fotografię można dowiedzieć się jakiejś osobistej prawdy o fotografowanym, jest ograniczona. Jednak zawsze można dowiedzieć się czegoś o czasach i o społeczeństwie, w których to zdjęcie powstało.

Hiphop jako taki zawsze był rodzajem pozy. Rozróżniam przy tym między hiphopem jako komercyjną formą rapu oraz „rapem undergroundowym". Te różnice widać szczególnie w tych środowiskach i na koncertach. Są tacy, którzy się uniformizują, i tacy, którzy są raczej zainteresowani autokreacją. Im bardziej skomercjalizowana jest dana branża, czy to hiphop, czy w ogóle muzyka pop, tym bardziej jednolici są jej wielbiciele. W undergroundzie fronty nie są tak jasno zarysowane. Nie widać, kto jest muzykiem, kto ochraniarzem, kto się tylko przykleił, kto jest managerem, a kto po prostu fanem. Często zresztą role te się mieszają, jednak zawsze każdy jest silnie zainteresowany swoim wizerunkiem.

Fotografowałem też środowiska punkowskie, metalowe i reggae. Szybko jednak przestałem, bo

oder einfach nur Fan. Das geht oft fließend ineinander über, doch jeder ist stark mit seinem Auftreten beschäftigt.

Ich habe auch in der Punk-, Metal- und Raggaeszene fotografiert. Habe es aber ganz schnell sein lassen, da ich das Gefühl hatte, dass diese Szenen sehr damit beschäftigt sind einen eigenen „heilen" Mikrokosmos zu bewahren. Ich hatte den Eindruck, dass krampfhaft versucht wird sich vom Rest der Gesellschaft abzugrenzen. Mir fehlten ganz einfach die Symbole an den Kleidungen die über einen Style-Aspekt hinausgehen und etwas persönliches Kommunizieren. Beim HipHop gilt eher, alle gegen alle und Ellenbogen raus. Das ist ein hervorragender Spiegel für das System in dem wir leben. Die Protagonisten sind sehr verschieden, und haben auch zum Teil sehr unterschiedliche Ansichten. Einer ihrer kleinsten gemeinsamen Nenner ist aber, dass alles am Mikrophon „geregelt", „ausgedrückt" und „gesagt" werden kann. Und jeder hat das Recht dazu, auch wenn es sich in vielen Texten so anhört, als wenn den Mitmenschen jegliche Rechte abgesprochen werden. In dieser Hinsicht ist HipHop eine sehr friedfertige Bewegung, die aus einer äußerst gewalttätigen Umgebung entsteht.

Es wird aber nicht versucht ein Paralleluniversum entstehen zu lassen. Der tiefere Wunsch ist oft das Aufgehen bzw. Ankommen in der Gesellschaft. Das kann finanzieller Erfolg, aber auch etwas ganz anderes sein. Interessanterweise habe ich oft aus der Szene gehört, dass Ihnen die eigene Szene egal ist. Viele wünschen sich einen Zugang zu anderen Gesellschaftsschichten.

– Würdest Du denn sagen, dass es Identität nicht gibt, dass alles nur Inszenierung ist? Oder wird Inszenierung zur Identität?

– Oh doch, es gibt Identität. Ich glaube das Entdecken bzw. Entwickeln einer eigenen Identität ist „der" entscheidende Baustein zu wirklicher und tieferer menschlicher Reife. Man sagt ja oft, dass „wir alle ein Produkt unserer Umgebung sind", das stimmt zwar, aber meiner Meinung nach sind wir halt doch noch etwas mehr. Identitätsfindung ist ein Prozess. Fotografie hingegen immer nur eine Momentaufnahme. In meinen Bildern geht es erstmal „nur" um die Inszenierung, die aber identitätsstiftend sein kann.

Ich kenne die Menschen die ich fotografiere nicht, gebe mir auch keine Zeit, um mich in sie miałem wrażenie, że środowiska te wiele energii zużywają na ochronę swego „świętego" mikrokosmosu. Wydawało mi się, że zapamiętale próbują odgrodzić się od reszty społeczeństwa. Na ich ubraniach brakuje mi po prostu symboli, które wykraczałyby poza jednolity styl i komunikowały coś własnego. W hiphopie obowiązuje raczej zasada „każdy przeciwko każdemu", byle się dopchać o swoje. Jest to znakomite zwierciadło systemu, w którym żyjemy. Ludzie, o których mówię, są często bardzo różni i często mają też różne poglądy. Jednym z najmniejszych wspólnych mianowników jest jednak fakt, że wszyscy uważają, iż wszystko można „załatwić", „wyrazić" i „powiedzieć" przez mikrofon. I każdy ma prawo to robić, nawet jeśli niektóre teksty brzmią tak, jakby ich autor odmawiał innym jakichkolwiek praw. Z tego punktu widzenia hiphop jest bardzo pokojowym ruchem, wywodzącym się z niezwykle brutalnego środowiska.

Nikt jednak nie próbuje tu stworzyć równoległego wszechświata. Najgłębszym życzeniem większości jest sukces, a przynajmniej pokazanie się w społeczeństwie. Może chodzić o sukces finansowy, ale niekoniecznie. Ciekawe, że często w środowisku tym słyszałem opinię, że nikomu nie zależy na środowisku jako takim. Wielu chciałoby znaleźć się w innej warstwie społecznej.

– Czy można zatem powiedzieć, że ludzie nie mają tam tożsamości, że wszystko jest rodzajem autokreacji? Czy może ta autokreacja staje się tożsamością?

– No nie, tożsamość istnieje. Sądzę, że odkrywanie czy rozwój własnej tożsamości to podstawa rzeczywistej i głębokiej ludzkiej dojrzałości. Często mówi się, że „wszyscy jesteśmy produktem naszego otoczenia", i to rzeczywiście prawda, ale sądzę, że jednak jest tam jeszcze coś więcej. Poszukiwanie tożsamości to proces. Natomiast fotografia zatrzymuje tylko pewien moment. W moich zdjęciach chodzi w pierwszej kolejności „tylko" o autokreację, która jednak może stać się kamieniem węgielnym tożsamości.

Nie znam ludzi, których fotografuję, nie daję sobie zresztą czasu na to, żeby się „wczuć" w ich życie. Jestem więc zdany wyłącznie na cechy zewnętrzne, przez co tworzę raczej portret zbiorowy pewnego środowiska. Moje podejście opiera się na krótkich, spontanicznych spotkaniach. Czasem do zrobienia zdjęcia wystarczy skinienie. Kiedy zaś tworzę portret, całość nie trwa dłużej niż pięć minut. Zanim wyko-

„einzufühlen". Ich bin also nur auf die äußerlichen Merkmale angewiesen, die mich auf ein eher kollektives Identitätsbild einer ganzen Szene schließen lässt. Was meine Vorgehensweise ausmacht, ist die kurze, spontane Begegnung. Oftmals ist es nur ein Kopfnicken, was zu einem Fotoshooting führt. Wenn ich ein Portrait mache dauert das ganze insgesamt nicht länger als 5 min. Vor dem Shooting ist es nur die Hülle die mich interessiert. Das eigentliche kennen lernen findet meist später statt. Ab da an geht es mir eher um den Menschen, und es sind daraus auch Freundschaften entstanden die mir wichtig sind. Im Augenblick der Auslösung des Bildes aber entwickeln sich die Identität der Fotografierten und das Bild in zwei verschiedenen Richtungen. Diese können zwar parallel laufen, stehen aber nicht mehr in einer Verbindung. Manche können sich oft beim Betrachten Ihres eigenen Bildes nicht mehr mit Kleidungsstücken wie einem Pulli oder einer Jacke identifizieren. Andere Identifizieren sich überhaupt nicht mehr mit ihren eigenem Auftreten. Wieder anderen gelingt das aber sehr gut. Ich habe beobachtet, dass in dem Augenblick, in dem Sie vor Ihren eigenen Bildern stehen, auf denen sie großformatig abgebildet sind, etwas passiert. Was, das ist ganz unterschiedlich, aber es ist auf jeden Fall eine direkte Gegenüberstellung mit der eigenen Maskerade und Gestik.

Ich lege großen Wert darauf, dass die Bilder mind. Im Format 1 Meter x 1 Meter aushängen. Die Bilder wirken so auch wie eine Detail-Lupe, man kann die kleinsten Details erkennen, und es kommen neben der Pose auch Dinge zum Vorschein, die in der Realität untergehen, oder sich „ausspielen" wie man im Film-Jargon sagt. Hier lässt sich aber nichts „ausspielen", da der Betrachter Zeit und Raum hat. Ich stelle das Äußerliche und die Maskerade - und mit ihr den Menschen, der beides vertritt - in den Mittelpunkt. Beschränkt man sich im wirklichen Leben nur auf die Maskerade, läuft man Gefahr, sein Inneres, und damit seine Identität aus dem Fokus zu verlieren. Äußerliches kann aber trotzdem zur Bildung eines menschlichen Charakters beitragen. Die Frage ist nur, wie sehr diese von einem Selbst kommt und „erarbeitet" wurde oder vorgegeben ist. Das Leben ist viel mehr als äußerliche Inszenierung, aber Inszenierung ist Teil unseres Lebens. Sie kann unser Inneres nach außen Visuell verstärken, ist im Kern jedoch immer zur Oberflächlichkeit verdammt.

nam fotografię, interesuje mnie wyłącznie zewnętrzność. To, co istotne, poznaje się najczęściej dopiero potem. Dopiero wówczas zaczynam interesować się człowiekiem i niekiedy skutkowało to przyjaźniami, które są dla mnie ważne. Jednak w momencie naciskania migawki tożsamość fotografowanego i jego wizerunek zaczynają rozwijać się w różnych kierunkach. Mogą to być wprawdzie proste równoległe, ale nie ma między nimi żadnego połączenia. Niekiedy fotografowani oglądając swoje zdjęcia, nie identyfikują się już zupełnie z jakąś częścią swojego ubrania, swetrem czy kurtką. Inni w ogóle nie identyfikują się już ze swoim wykreowanym wizerunkiem. A znowu inni świetnie się z nim czują. Często obserwowałem, że w chwili, gdy ludzie stoją przed własnymi, wielkoformatowymi fotografiami, coś się z nimi dzieje. Są to bardzo różne rzeczy, ale zawsze jest to reakcja na bezpośrednią konfrontację z własną inscenizacją i gestykulacją.

Kładę duży nacisk na to, żeby te zdjęcia miały format przynajmniej metr na metr. W ten sposób stają się czymś w rodzaju lupy, można na nich zobaczyć nawet najmniejsze szczegóły, a oprócz pozy pojawiają się rzeczy, których w rzeczywistości się nie dostrzega, które, jak to się mówi w żargonie filmowym, znikają. Tutaj jednak nie znikają, ponieważ obserwator ma czas i przestrzeń. Zewnętrzność i maskaradę – a wraz z nimi człowieka, który reprezentuje je obie – stawiam w centrum. Jeśli w codziennym życiu skoncentrujemy się na maskaradzie, to pojawia się niebezpieczeństwo zatracenia tożsamości. Jednak zewnętrzność może być przyczynkiem do tworzenia charakteru człowieka. Pytanie brzmi tylko, na ile charakter ten pochodzi od samego człowieka, a na ile został „wypracowany" czy narzucony. Życie to znacznie więcej niż autokreacja, ale autokreacja jest częścią naszego życia. Może być wizualnym wzmocnieniem naszego wnętrza, jednak w swej istocie pozostaje zawsze skazana na powierzchowność.

– Ostatni rok mieszkałeś w Poznaniu. Czy nie masz wrażenia, że autokreacja odgrywa tam mniejszą rolę? Czy może teraz i to już się zmieniło?

– To dobre pytanie. Osobiście skłaniam się ku opinii, że w Polsce tworzenie własnego wizerunku odgrywa znacznie mniejszą rolę niż w Niemczech. Jednak w przyszłości i to ulegnie zmianie. Tak zwana wolna gospodarka konfrontuje człowieka z licznymi

– Du hast ja ein Jahr in Poznań gelebt. Findest Du nicht, dass die Inszenierung dort eine geringere Rolle spielt? Oder ist sie nur anders?

– Das ist eine Gute Frage. Ich persönlich würde schon sagen, dass in Polen die individuelle Inszenierung eine geringere Rolle spielt. In Zukunft wird sich das aber ändern. Die so genannte „Freie Wirtschaft" konfrontiert den einzelnen Menschen mit etlichen Widersprüchen. Die eigene Kultur, mit der man sich über Jahrhunderte identifiziert hat, wird nach und nach durch den Massenkonsum verdrängt. Die „freie Welt" und mit ihr die Werbung als omnipräsentes Sprachrohr legt scheinbar großen Wert auf den Individualismus. Das muss natürlich zu einer Spannung in Bezug auf die eigene Identität führen. Wie kann ich mich mit meiner Heimat Identifizieren, wenn es dort die gleichen Dinge zu kaufen gibt und die gleichen Läden geöffnet haben, wie überall sonst auf der Welt. Wie sieht es dann mit der eigenen Identifizierung aus. Doch auch wenn der Kapitalismus sehr schnell nach Polen gekommen ist, so habe ich das Gefühl, dass in Polen behutsamer mit der eigenen Identität in Architektur, Kultur und Kunst umgegangen wird, als es in Deutschland der Fall war. Es bleibt die Frage: „Wer bin ich in einer neuen transzendenten Welt die sich immer mehr gleicht, aber auch neue Freiheiten bietet?" Wenn die Bräuche oder regionalen Besonderheiten verwässern oder verschwinden, muss ja etwas Neues gefunden werden mit dem man sich identifizieren kann. Diese Suche finde ich gut und wichtig und ist in meinen Augen alternativlos.

Ein Freund von mir, den ich seit meiner Studienzeit an der ASP in Poznań kenne, hat selbst einige HipHop-, und Rapvideos für die Polnische Rapszene gedreht. Wir habe die Deutsche und die Polnische Rap-Szene miteinander verglichen. Da ist in Polen viel in Bewegung. Am Anfang wird sich wie in Deutschland natürlich immer erst bei diesem Thema am amerikanischen Vorbild orientiert. Rap ist so etwas wie der Soundtrack der Globalisierung. Aber es gibt den Moment, wo das Eigene durchkommt, und plötzlich die regionalen Elemente wieder sichtbar werden und die eigene Identifikation Raum für eine Inszenierung findet. Diesen Prozess finde ich sehr spannend, und ich bin sehr gespannt, was da noch in der Polnischen HipHop Szene passieren wird.

sprzecznościami. Własna kultura, z którą można się było identyfikować przez stulenia, ulega w coraz większym stopniu wyparciu przez masową konsumpcję. „Wolny świat", a wraz z nim reklama jako wszechobecna tuba, zdaje się kłaść duży nacisk na indywidualizm. Musi to oczywiście prowadzić do napięć wobec własnej tożsamości. Jak mam się identyfikować z moją ziemią rodzinną, skoro można tam kupić dokładnie takie same rzeczy, w dokładnie takich samych sklepach, jak wszędzie indziej na świecie? Jak to się ma do tożsamości człowieka? Jednak nawet jeśli to prawda, że kapitalizm błyskawicznie zadomowił się w Polsce, to mam wrażenie, że Polacy znacznie ostrożniej obchodzą się ze swoją tożsamością w architekturze, kulturze i sztuce, niż czynią to Niemcy. Pozostaje pytanie: „Kim jestem w nowym, transcendentnym świecie, który jest coraz bardziej jednolity, ale jednocześnie oferuje coraz więcej nowych wolności?". Kiedy stare zwyczaje czy regionalna specyfika zanikają albo ulegają rozwodnieniu, trzeba znaleźć coś nowego, z czym można się będzie identyfikować. To poszukiwanie jest w mojej opinii czymś dobrym i ważnym, i sądzę, że nie ma dla niego alternatywy.

Jeden z moich przyjaciół, którego poznałem w czasie studiów na poznańskiej ASP, sam nakręcił kilka klipów hiphopowych i rapowych dla polskiego środowiska raperów. Porównaliśmy polski i niemiecki rap. W Polsce bardzo dużo się dzieje. Oczywiście na początku, podobnie jak to był w Niemczech, również Polacy będą spoglądać na amerykańskie wzorce. Rap to coś w rodzaju ścieżki dźwiękowej globalizacji. Ale później pojawia się moment, kiedy przez tę formę przebija się coś własnego i nagle znów widoczne są te regionalne elementy, znów jest miejsce na regionalną identyfikację w całej tej inscenizacji. Ten proces jest fascynujący i dlatego z wielkim zainteresowaniem będę się przyglądał temu, co jeszcze zdarzy się na polskiej scenie hiphopowej.

Tłumaczenie Grzegorz Kowalski

RECENZJE I OMÓWIENIA

Liryczne podzwonne. Żarskie Kunice w poetyckim zbliżeniu Janusza Werstlera

Jan Janusz Werstler, *Kunickie strofy,* Kunickie Stowarzyszenie Inicjatyw Pozarządowych, Żary–Kunice 2008, 53 s.

„Oddajemy do Państwa rąk kolejną publikację związaną tematycznie z Kunicami. Po monografii miejscowego zabytkowego kościoła, po lekturze tradycji szklarstwa, prezentujemy cząstkę historii ujętej w ramy strof wiersza."

Słowa wydawcy ze wstępu do książki poetyckiej Janusza Werstlera trafnie oddają charakter tej publikacji. *Kunickie strofy*, siódmy w dorobku autora tomik wierszy, w całości poświęcone zostały Kunicom – dzielnicy Żar, zlokalizowanej na południowo-wschodnich krańcach miasta. Do roku 1972 Kunice Żarskie funkcjonowały jako samodzielna, choć ściśle związana z Żarami, miejscowość, w latach 1969-1972 posiadały nawet prawa miejskie. Zwłaszcza koniec wieku XIX przyniósł znaczący rozwój tego miejsca, owocujący powstaniem kopalń, hut szkła, cegielni, licznych obiektów mieszkalnych, kąpieliska. Dzisiaj pokłady iłów i węgla brunatnego nie są już eksploatowane, przemysł związany z wydobyciem podupadł, pozostały natomiast pamiątki dawnej świetności, między innymi neogotycki kościół pw. Matki Bożej Szkaplerznej, wzniesiony pod koniec XIX wieku...

na fundamencie
modlitw do Pana (...)
z wieczną lampką
i parafialną golgotą
(*Kościół*)

Takimi słowami opisuje budynek świątyni Werstler, który w *Kunickich strofach* wciela się w rolę

poety przewodnika. W zamyśle kompozycyjnym tomik stanowi liryczną przechadzkę, obejmującą wszystkie ważne dla Kunic obiekty. Spacer rozpoczyna się przy kapliczce, gościnnie witającej przybyszów, kończy – obok usytuowanej na obrzeżach miasta willi. Obszerny katalog obiektów, które znalazły się na zarysowanym tutaj turystycznym szlaku, obejmuje: wspomniany wyżej kościół, dworzec, starą i nową hutę, szkoły, cmentarz, dom kultury, kopalnię Tereska, kaflarnię, cegielnię, glinianki, dawne kąpielisko, stadion, piaski lutynieckie, mauzoleum, nowe osiedle, wreszcie drogę wiodącą do sąsiedniego Łazowa. Uwadze poety nie umknęło żadne bodaj miejsce, każdy wyróżniający się element kunickiego krajobrazu znalazł tutaj swój liryczny ekwiwalent. W poetyckim zbliżeniu utrwalony został nawet pojedynczy szczegół – ołtarz, który „przyszedł / bez chorągiewnej procesji / z Zamkowej kaplicy" (*Ołtarz*).

Za sprawą lirycznej topografii seria miejsc rozciąga się niczym panorama. Próżno byłoby jednak dopatrywać się w niej reprezentacji w myśl zasady *ut pictura poesis*. Poeta został zresztą wyręczony z funkcji ilustratora. W jego wierszach sygnałem rozpoznawczym danego obiektu czy miejsca jest tytuł, natomiast rolę identyfikatora pełnią — wiernie oddające wygląd realnych miejsc — ilustracje. W tym sensie ów niecodzienny przewodnik ma wielu autorów: obok Werstlera są nimi także Beata Chuda, Anna Borowska, Ewa Bąk, Sylwia Dziadek, należące do sekcji plastycznej Żarskiego (mającego oddział w Kunicach) Domu Kultury. Podczas gdy grafiki działają na wyobraźnię, słowo poety ukierunkowane zostało na uczucia. Emotywność tej liryki łączy się z metodą obrazowania: w poetyckich ujęciach centralny element zazwyczaj zostaje prześwietlony reflektorem historii oraz opatrzony komentarzem, dotyczącym uczuciowych skojarzeń. Tak dzieje się np. w przedstawieniu dworca:

budynek
bez podróżnych
taki przystanek
na jedną
chwilę

ale także już na zawsze
pusty peron
bez ukochanej
(*Dworzec*)

Poetycka rekonstrukcja miejsc przemawia obrazami, biegunowo różnymi od tych choćby, za pomocą których Julian Przyboś ukazywał dworcowe rozstanie z ukochaną (w wierszu *Odjazd*). Obraz Werstlera – takie jest założenie jego poetyki – ma ewokować przede wszystkim doznanie opuszczenia, straty. „Porzucone włókniarki / już do nas / nie wrócą nigdy" – czytamy w wierszu *Bawełna*, „tam już tylko komin/ wierny stróż pozostał // i zamglone powidoki / wspomnienia / rodzinnego ciepła" – to fragment wiersza zatytułowanego *Kaflarnia*. Wyróżnikiem poetyckiej strategii Wertlera jest konfrontowanie tego, co było, z sytuacją „teraz", przy czym przestrzenią uprzywilejowaną pozostaje ta pierwsza, objawiającą dawną świetność, bujnie kwitnące życie. Po stronie „teraz" pozostaje głównie nostalgiczna aura.

W ten sposób strofy dla miasta układają się w liryczne podzwonne, w portrety trumienne, elegijne nenie. Kronikarz staje się tutaj poetą nagrobnym, twórcą inskrypcji utrwalających dawne kształty, a właściwie już tylko ich cienie. W tym obszarze słowem kluczem jest pamięć, pamięć „wątła", „krucha", „zatopiona", „zetlała" – takimi epitetami określa ją poeta. Przywołajmy kilka pierwszych z brzegu przykładów:

tam też czuwa
zatopiona **pamięć**
o czarnym urobku
(G*linianki*)

w ich **pamięci** jeszcze
puste wózki
i gęby łaknących pieców
szeroko otwarte ze zdziwienia
że żaru zabrakło
(C*egielnie*)

teraz tam
fedrunek wyobraźni
i przywracanie **pamięci**
o kopalnianym złocie
(*Kopalnia Tereska*)

Celem Werstlera jest ocalić i utrwalić w słowie związane z Kunicami nazwy i imiona. W tym pragnieniu, a raczej w dającej temu wyraz poetyce, czai się jednak pewne niebezpieczeństwo: petryfikacji po-

przez powtarzający się schemat, zastygnięcia rysów indywidualnych w pomnik. „Fedrunek wyobraźni", o którym mowa w wyżej cytowanym wierszu, łatwo przemienić się może... w wysiłek grabarza. Dlatego docenienia wymagają momenty, w których ocalone zostaje także piętno osobności, w których przywołane zostają nazwy miejsc, nazwiska, imiona. Tak dzieje się, gdy autor przypomina niegdyś żyjące w Kunicach niemieckie rody – Quos, Girke, Najork, Ringel (o których dziś opowiadają tylko cmentarne tablice), gdy portretuje osoby współcześnie tworzące kunicką społeczność (np. w wierszu poświęconym osobie muzyka, Mietka Świdkiewicza). Cenny jest także wymiar osobistego wspomnienia, które dochodzi do głosu np. w utworze mówiącym o dawnym kąpielisku: „już tylko zaskroniec / plażuje // i mój cień w krótkich majteczkach" (*Tam było kąpielisko*). W wielu innych miejscach – liryzm słabnie, a bywa, że całkiem ulatnia się pod wpływem elegijnej maniery. Trzeba jednak pamiętać, że *Kunickie strofy* powstały na zamówienie i – o czym wspomina wydawca – „z dużymi oporami" autora, który niegdyś wziął na siebie obowiązki „miejskiego liryka". Dość przypomnieć, że jego *Psalm o mieście* czy też książka *Żary. Krajobrazowo* powstawały właśnie jako liryczna kronika; autor *Najbliżej serca* pisał je, wolno przypuszczać, z wewnętrznej potrzeby. Tym razem seria obrazów ma odmienne korzenie. Układa się w tekst, który nosi piętno turystycznego przewodnika, kunickiej monografii. Walory poetyckie łączą się tu z wartością poznawczą, a wiersze reprezentują nie tyle sztukę słowa, co... żarskie Kunice. Mimo to warto sięgnąć do nich nie tylko dla krajoznawczej satysfakcji.

Małgorzata Mikołajczak

Bolesna prawda o *Wierszach rozproszonych* Henryka Szylkina

Henryk Szylkin, *Wiersze rozproszone,* Regionalne Centrum Animacji i Kultury, Zielona Góra 2009, 48 s.

Henryk Szylkin należy do najbardziej literacko płodnych lubuskich autorów. W swoim dorobku ma ponad trzydzieści książek, w tym – o ile dobrze policzyłam – dwadzieścia pięć tomików poetyckich. Dlatego pewne zaskoczenie budzić mogą jego *Wiersze rozproszone,* zbierające utwory, które nie zasiliły jeszcze żadnej książki.

Ów zbiór, pisze Dorota Szagun we wstępie, „zaplanowany został jako mozaika łącząca utwory wcześniejsze, rozproszone w różnych periodykach, antologiach oraz utwory najnowsze", dotąd, można przypuszczać, w ogóle niepublikowane. Rzeczywiście, trudno nie dostrzec „mozaikowego" charakteru zbiorku. Poetyckie obrazy zmieniają się tutaj jak w kalejdoskopie: obok „widokówki z Łagowa" mamy wspomnienie Ostrej Bramy; w sąsiedztwie krajobrazów wileńskich znaleźć można opisy codziennego na „Kresach Zachodnich" życia; przy czym obrazki arkadyjskie kontrastują z przedstawieniami, które autor kreśli szarymi, smutnymi barwami. Wśród tych ostatnich uwagę zwracają zwłaszcza takie:

Mój kraj mówi kolejką do sklepu
mój kraj mówi odłogiem pól
tramwajem co nie wyjechał z zajezdni
statkiem zamarłym na redzie

Mój kraj może maszynom nakazać milczenie
mój kraj krzyknąć potrafi głosem syreny
zacisnąć pieści i zęby
idąc przez kłody rzucane pod nogi

Mój kraj nie wznieca ognia za kordonem granic
mój kraj nie mąci Wody w rzekach narodów
chce tylko chleba i domu –
bez sublokatorów.

Ów utwór – bez tytułu, podpisany jedynie datą „sierpień, 1980" – w momencie napisania nie mógł się ukazać, podobnie jak powstały rok później, a zamieszczony kilka stron dalej wiersz *Posłanie*, w którym mowa jest o „gąsienicach czołgu" oraz „mogile przyjaciela". Te właśnie teksty zdają się najważniejsze dla

tomiku, bynajmniej nie ze względu na walory poetyckie: ich znaczenie oceniać trzeba miarą poetyckiego świadectwa, rangą „niepodległości" słowa pisanego.

Polityka jest ważnym kontekstem także innych Szylkinowskich wierszy. W utworach najnowszych (wolno przypuszczać, że są nimi ostanie, zamieszczone w tomie: *Inwokacja, Epoka, Widokówka z miasta, Epilog*) wątek polityczny łączy się z silną refleksją społeczną i znajduje wyraz pełnym wyrzutu tonie pod adresem rządzących. Taką wymową ma przede wszystkim *Epilog* – wiersz, który cechuje kolokwialna, utrzymana w niskim rejestrze stylistyka: „bo okłamali cwaniacy / bo wyprzedali łajdacy / ojczyznę naszą". Podobnych wypowiedzi znaleźć można więcej; ich bohaterami są „biedni ludzie" i to w ich imieniu wypowiada się podmiot.

Nie tylko współistnienie publicystyki i poezji, splot problemów społecznych i tradycyjnej liryczności wyróżnia tę publikację. Jest ona szczególna przede wszystkim dlatego, że pozwala pytać o przemiany w obrębie autorskiej poetyki – przemiany na przestrzeni pół wieku, zdawałoby się, oczywiste. I w pierwszym momencie można ulec takiemu złudzeniu, zestawiając rymowane teksty z pierwszych stron z wierszem wolnym, który dominuje w zakończeniu. To zderzenie jest jednak tylko wtedy widoczne, jeżeli weźmiemy pod uwagę wybrane utwory – np. majowy wizerunek ze, wspomnianej wcześniej, *Widokówki z Łagowa* (powstałej w roku 1958) i obraz odnotowany w *Majowym spacerze*:

Las szumiał majem: jedwabiste liście
Łapały słonce rozpostartą dłonią.
Srebrny wąż rzeki mienił się perliście
Dzieląc dolinę. Bratek kwitnął wonią.
(*Widokówka z Łagowa*)

Po dwusiecznej lasu
wśród leniwych godzin
szliśmy po niemej przestrzeni

Brzóz straż przyboczna
firanką zieleni
przysłoniła ci oczy
gdy zefiry głaskały czuprynę traw
(*Majowy spacer*)

W tym drugim podobny nastrój oddaje już inny rytm, inna składnia, inna poetyka. Inna? Tylko pozornie, bowiem – o czym dowodnie świadczy ta Szylkinowska książka – znakiem rozpoznawczym autora pozostaje typ poetyckiego idiomu: stylistyka, eksploatująca kolokwialne zwroty oraz poetyzmy; regularne (znamienne tak dla wczesnych, jak późnych wierszy) rytmizowanie, tradycyjny sposób wykorzystania rymu. Na kanwie zebranej tutaj, wierszowej reprezentacji, wskazać można ponadto inne – charakterystyczne dla twórczości Szylkina – wyróżniki: bezpośredniość w wypowiadaniu uczuć i przekonań; operowanie emocjami sytuującymi się na najwyższych strunach i dające temu wyraz – dosadne słownictwo; brak dystansu wobec budzących niechęć postaw i zachowań; wreszcie – impresywne nachylenie wypowiedzi i ściśle z tym sprzęgnięta funkcja dydaktyczna. Prawda Szylkina (ta, o której mówi w zakończeniu: „Poznałem trochę prawdy / zażyłem trochę prawdy / jak w zupie soli"), jest bowiem prawdą, która chce poruszać sumienia; nie tyle słoną, co gorzką i przede wszystkim – prawdą, która boli.

Małgorzata Mikołajczak

Zielona Góra w obiektywie młodych

***Zaułki Zielonej Góry 2000–2009*, MCKIE Dom Harcerza, Zielona Góra 2009, 72 s.**

Pochylam się nad książką, która „kupuje mnie" od pierwszego wejrzenia. Prosta, czarno-biała okładka, na niej zdjęcie – dynamiczne, pełne treści, tajemnicy. Biały tytuł: *Zaułki Zielonej Góry 2000-2009*. W środku – kredowy papier, parę słów i fotografie, jakich nie znajdziesz gdzie indziej.

Dlaczego ludzie robią czarno-białe zdjęcia dzisiaj, gdy w zasięgu ręki mają narzędzia proste i przyjazne, pozwalające nie tylko błysnąć kolorami, ale i sprytnym Photoshopem udoskonalić kształty lub dodać kompozycji jakichś szczególnych walorów? Dlaczego ślęczą w śmierdzącej chemikaliami ciemni, pochyleni nad karteluszkami, na których majaczą ani sławne, ani przepiękne jakoś szczególnie budynki i twarze? Po obejrzeniu albumu już wiem: z miłości. Jest to album czuły i bolesny, jak czułe jest przyglądanie się twarzy starego przyjaciela i bolesne – znajdowanie na niej coraz nowych bruzd niedoskonałości. Widziałam reakcję kilku osób, biorących *Zaułki...* pierwszy raz do ręki. Westchnienia, zachwyt, a potem długie, uważne oglądanie, krok po kroku, kartka po kartce. To dzieło chropowate, ale delikatne, nie wypieszczone przez żadne bogate wydawnictwo, nie aspiruje do rywalizacji z oficjalnie pyszniącymi się na półkach księgarń albumami o Zielonej Górze. Ma jednak niezwykłą siłę – to opowieść ludzi młodych, utalentowanych, czasem bezwzględnych, opowieść o ich rodzinnym (najczęściej) mieście, jak o starym przyjacielu, ale to też jak legenda o ginącej Atlantydzie. *Zaułki...* są zapisem całej dekady, wielu godzin wędrówek po ulicach, licznych wystaw, dyskusji, zapisem kilku pokoleń i wielu zmian. Nie wiemy, jakie zmiany dotknęły autorów albumu. Można się domyślać, że niektórzy porzucili swoją Atlantydę, szukając oparcia dla swoich planów życiowych w zupełnie innych stronach, niektórzy są ciągle tutaj, ale już nie mogą zbyt często wybiegać w miasto z aparatem, bo życie, bo studia, bo sprawy – dobrze, że zdążyli zostawić ślad, nie tylko na kliszy, ale i w tej książeczce. Tym śladem idzie czytelnik, tropiąc na zdjęciach znajome miejsca, chwile, własne wspomnienia. „[...] fotograf, on bardziej niż inny człowiek odczuwa żywo dwa punkty styczności ze światem: czas i przestrzeń [...] Dokumentowanie otaczającej rzeczywistości, bycie strażnikiem czasu jest przecież podstawą istnienia fotografii" – tak Kinga Krutulska, autorka samej idei *Zaułków...*, opiekunka fotografującej młodzieży i mentorka najwybitniejszych z nich, sformułowała swoje *credo* – jak widać – zarażając swoich podopiecznych ideą bycia właśnie strażnikiem czasu, władcą społecznej pamięci. Fotografia jest przecież dobrem wspólnym: pomaga zatrzymać w pamięci i sam moment naciśnięcia migawki, i przeczucia, że TO właśnie zdjęcie będzie niezwykłe; to dobrostan uratowania od niepamięci miejsc, które zaraz po wizycie fotografa zostały spychaczem zrównane z ziemią, to także to coś, czego poszukiwał bohater filmu *Amator* – prawda, nawet taka trwająca sekundę, uśmiechająca się tylko chwilę – na widok obiektywu, topniejąca jak brudny śnieg. Na tych zdjęciach nawet liszaje na ścianach wyglądają interesująco, dziura w chodniku wzrusza, a zrujnowana szopa w podwórzu udaje, że ukrywa coś więcej niż szpadel i wiadro... Ten świat się musi skończyć, to tymczasowe, skazane na niebyt, posprzątanie, udoskonalenie, już tego właściwie nie ma. Więc dlaczego tak porusza? Nie czujemy zapachu tych zaułków, nie słyszymy rozmów tamtejszych mieszkańców, nie wiemy, jak powitali młodych, fotografujących ich prywatność. Widzimy czyste, melancholijne obrazki, czernią i bielą uszlachetnione i szczególne. Na pewno mijaliśmy te miejsca wiele razy, ale tutaj zyskały na urodzie – bo ktoś spojrzał na nie z uwagą i podniósł do oka aparat. Czasem nie uzyskał doskonałej ostrości, czasem światło się nie spisało, to także złożyło się na niepowtarzalność i emocjonalność tych obrazków. Susan Sontag napisała w jakiejś swojej pracy o fotografii: „Zbierać fotografie, to zbierać świat". Tu mamy okruchy czegoś, nad czym inni się tak skwapliwie nie pochylili, ale bez tych okruchów obraz świata byłby przecież niepełny. Bardzo szkoda, że skromność Kingi Krutulskiej jako artystki – i wychowawcy artystów – nie pozwoliła się temu wydawnictwu „rozbuchać" i zaciążyć w rękach czytelnika większą ilością stron. Wiadomo jednak, że to niekoniecznie jest uzależnione od woli autora książki. Szkoda więc, że fundusze nie pozwoliły na swobodniejszy dobór dzieł, nie tylko według klucza „każdy uczestnik projektu ma tu choć jedno zdjęcie". Zostaję z niedosytem, w pół kroku zatrzymana w podróży, mając przecież w pamięci kilka wystaw, na których zdarzyło mi się być, gdy pracownia fotograficzna w Domu Harcerza podsumowywała kolejny etap swojej pracy. Niewielu czytelników miało to szczęście, a szkoda. Zostaję ze śladem tej trudnej miłości do swojego miasta, jaką wyrazili tu młodzi autorzy zdjęć, ale też zostaję z wrażeniem dotknięcia... magii. Nie bez powodu tak wielu ludzi na świecie poszukuje czarno-białych fotosów – z Nowego Yorku, Paryża, Krakowa – jakiekolwiek byłoby to miasto, miasteczko, czy industrialny to widok, czy błoto na wiejskiej drodze, szlachetniej i niewinniej wyglądają one choćby w sepii, wyeliminowanie zbędnych kolorów czyni je krystalicznymi,

bezbronnymi, jednocześnie daje im jakąś niezwykłą energię. To widać także na stronach tego albumu. I niezwykły staje się fotel przysypany śniegiem, i uśmiech starego szewca zza szyby, i magiczny jest kot na gałęzi, i krzywy chodnik, i niedomknięte drzwi do szopy. I plecy innego fotografa, pochylonego nad swoją lustrzanką, i cień na kałuży, i ten płot, którego dziś nie ma, bo stoi tam już wielka nowoczesna budowla... To jest przecież całkiem spore miasto, widzimy je na co dzień, jak się rozwija, błyszczy, tętni życiem. Tutaj przemówiło do nas szeptem, poniemieckim napisem, przyciszonym echem dalekiej arterii. Onieśmielone swoją nieładnością, a czasem zachwycone poświęceniem mu chwili uwagi. Grünberg jakiego nie było, Zielona Góra, jakiej oficjalnie nie ma.

Gratuluję wszystkim, których praca złożyła się na ten album, gratuluję mojemu miastu, że ma takich kronikarzy, gratuluję sobie, że mam na swojej półce ten album – tym, którzy też by tak chcieli, sugeruję udanie się na ulicę Dziką pod numer szósty, odszukanie tam Kingi Krutulskiej i jej podopiecznych, i za jakąś górę złota, albo dwie, uzyskanie *Zaułków...* na własność. W zwykłej księgarni są niedostępne, ale dla prawdziwego konesera to przecież żadna przeszkoda...

Ewa Andrzejewska

Zaułki okiem eksperta

***Zaułki Zielonej Góry 2000-2009*, MCKIE Dom Harcerza, Zielona Góra 2009, 72 s.**

Wydawnictwo *Zaułki Zielonej Góry 2000-2009*, które trzymam w rękach jest raczej obszernym katalogiem niż albumem. Na pierwszy rzut oka wydaje się on estetyczny i graficznie bardzo poprawny. Niestety tylko na pierwszy rzut oka, przy dokładnej analizie wychodzą mankamenty tego wydawnictwa.

Dla mnie, osoby, która wiele lat swojego życia poświeciła fotografii, pierwszym i rażącym błędem jest to, że wszystkie fotografie skadrowano do kwadratu, choć materiałem wyjściowym była standardowa klatka. Kwadratowy kadr jest niezmiernie trudny w fotografii, tylko niewielu fotografom udaje się wykorzystywać fenomen tego formatu zdjęć. Najważniejsze w kwadratowym kadrze jest to, żeby od samego początku budować obraz w oparciu o ten format. Kwadrat jest rzadko stosowany przez fotografujących, ponieważ większość aparatów skonstruowanych jest w oparciu o format prostokąta. Format kwadratowy, jeśli zostanie poprawnie użyty, przyniesie pozytywny efekt kompozycyjny. Do najbardziej udanych realizacji skomponowanych w kwadracie ze znanych mi polskich fotografów w ostatniej dekadzie, zaliczyłbym zdjęcia Pawła Żaka. Stosuje on ten rodzaj kompozycji przy zdjęciach studyjnych i martwych naturach. Inny fotograf, który stosował kadr kwadratowy, to nieżyjący Ireneusz Zjeżdżałka. Opanował on ten format do perfekcji. Stosował go w portrecie, architekturze, wnętrzach i krajobrazie. Ten format był jakby dla niego stworzony. Wyczuwał go w każdym aspekcie i każdym temacie, który podejmował. Innym przykładem świetnie wykorzystanego kwadratu są fotografie Adama Fleksa. Te perfekcyjnie skomponowane obrazy można było niedawno obejrzeć na wystawie w Zielonej Górze. Zdjęcia architektury miejskiej przedstawiające Gdańsk. Wystawie towarzyszył pięknie wydany katalog zatytułowany *Wieloświaty*.

Natomiast w niniejszym katalogu kwadrat jest dziełem edytorskim. Łatwo zorientować się, że większość zdjęć zrobiona była w formacie prostokąta, a dopiero na potrzeby wydawnictwa została przekadrowana do kwadratu. Nie rozumiem tego zabiegu. Moim zdaniem, zdjęcia powinny pozostać takimi, jakimi wykonali je autorzy, może wtedy tak by nie raziły niedostatkami kompozycji; może też wtedy by się obroniły.

Wielkie gratulacje należą się grafikowi, który starał się ratować wszelkie niedociągnięcia techniczne fotografii. Widać jego ciężką pracę, aby to wydawnictwo wyglądało poprawnie i jednorodnie. Niestety dobra ręka grafika nie była w stanie zrobić tego, czego fotograf nie uczynił na samym początku,

czyli przy robieniu zdjęcia. Niedoświetlenie, brak ostrości, zły dobór kontrastu to podstawowe błędy techniczne wielu zamieszczonych tu fotografii.

Drugim poważnym błędem tego katalogu jest sam dobór zdjęć. Jak na dziesięcioletnią pracę efekt nie jest zadowalający. Fotografie wybrano „na siłę", według zasady: aby każdy był reprezentować przynajmniej jednym zdjęciem. To poważny błąd. Lepiej było ograniczyć się do kilku autorów, ale o pewnej poprawności fotografowania niż zaprezentować tylu autorów i kiepskie zdjęcia. Znajdziemy tu wiele przykładów podstawowych błędów technicznych, niczym niewytłumaczonych nieostrości, źle wypracowanych planów oraz nieumiejętnie skomponowanych kadrów. Od razu należało wyeliminować te fotografie i dobrać bardziej poprawne. Nie wiem, po co w katalogu znalazły się zdjęcia pamiątkowe fotografujących „jak fotografują", tak samo jak przypadkowa jest jedyna fotografia sympatycznego staruszka.

Wiem, że te fotografie do katalogu robili młodzi ludzie, ale to żadne usprawiedliwienie. Doboru fotografii dokonała osoba dorosła, która ze sztuką ma już parę lat do czynienia. To na jej barkach leżał dobór i dopracowanie wydawnictwa, a tak niestety się nie stało. Hasło przewodnie katalogu: „Jak pokazać fotografią swoje miasto" od razu narzuca odpowiedź: NIE TAK!

Na koniec podam parę przykładów dobrej fotografii miejskiej, przedstawię kilka znakomitych realizacji wystawowych i wydawniczych. I tak Bogdan Konopka, polski fotograf mieszkający we Francji, zrealizował wystawę *Szary Paryż*. Znakomity materiał przedstawiający miasto z duszą. Na fotografiach nie zobaczymy znanego Paryża, tylko właśnie zaułki i zakamarki tego miasta, które stanowią właśnie o jego aurze. Wystawie towarzyszy publikacja zatytułowana *De rerum natura*, zresztą wydawnictwo towarzyszące każdemu z tych przykładów jest perełką edytorską. Następnym przykładem jest Wojciech Zawadzki i *Moja Ameryka*. Fotograf prezentuje Jelenią Górę, miasto, w którym osiedlił się po wyjeździe z Wrocławia. Tymi fotografiami rozlicza się z miastem, które z czasem polubił i które w końcu zaczęło go tolerować. Miejsca ulubione i miejsca niechciane to podstawa tej realizacji. Ostatnia realizacja to *Cisza* Waldemara Śliwczyńskiego. Dokument poświęcony zapomnianym i opuszczonym gospodarstwom wiejskim. Fotografie perfekcyjne w każdym calu. Fotografie, dzięki którym autor przybliża nam kawałek polskiego zaścianka. Album towarzyszący wystawie otrzymał wyróżnienie w konkursie Fotograficzna Publikacja Roku 2008. Wymienione przedsięwzięcia wskazują, że nawet w prostym temacie można zrobić coś, czym warto się pochwalić i co może być naprawdę ciekawie wykonaną realizacją.

Paweł Janczaruk

Złożone „wypowiedzi" Małgorzaty Tokarskiej

- **Małgorzata Tokarska, *Chemia na zlecenie*, Wydawnictwo Majus, Zielona Góra 2009, 402 s.**
- **Pierwsza publiczna odsłona realizacji M.T. nastąpiła 10 sierpnia br. we Wrocławiu (Galeria Miejska, DRUGA OFERTA, wystawa Studentów Pracowni Rysunku KSiKP UZ ad. R. Czarkowskiego).**
- **Druga publiczna odsłona realizacji M.T. nastąpiła 31 listopada br. w Zielonej Górze (Galeria Pro Arte, WYPOWIEDZI M. Tokarska & NIE BĘDZIESZ MIAŁ CUDZYCH BOGÓW PRZEDE MNĄ M. Krechowicz-Krutulska).**
- **Trzecia publiczna odsłona realizacji M.T. nastąpiła 3 grudnia br. w Zielonej Górze (Galeria Pro Arte, obrona magisterska M.Tokarskiej; promotor dr hab. R.Czarkowski).**

Afryka jest ważna w moim życiu, bo chociaż nigdy tam nie byłem, tyle stamtąd pamiętam!

Dali

Przyjrzyjmy się dziesięciu obrazom Małgorzaty Tokarskiej. To białe kartony o wymiarach 50 x 70. Każdy z nich został w całości, odręcznie zapisany

grafitem. W tym celu Małgosia powołała specjalny autorski język. Dla odbiorcy treść jest nie do rozszyfrowania. Dokonać tego potrafi jedynie sama autorka, choć jak twierdzi, wraz z upływającym czasem przestaje „czytać" swój spreparowany język. Musimy obyć się informacją, że teksty mają charakter pisanych wyznań. Upublicznianie ich nie zaspokaja więc podstawowej ciekawości odbiorcy. Pozostają nienaruszalne. Są sekretne. Gdy zwykle słowo, odwołując się do swojego znaczenia, odnajduje logiczne ulokowanie, tworząc z innymi zrozumiały tekst i wprowadza nas w ogólny kontekst, to w tym wypadku raczej układa się ono na płaszczyźnie białej strony i działa wyglądem. Małgosia zaprzeczyła podstawowej warstwie przekazu, jaką niesie tekst pisany i dostarczyła nam w ten sposób obrazów. Towarzyszą im nagrania – foniczne zapisy tekstów. Każdy karton posiada swoją ścieżkę dźwięku. Autorka każe nam słyszeć, jednak nie pozwala zrozumieć. Wędrujemy za brzmieniem, za melodią głosu. Zagłębiamy się w czynnościach słuchania, patrzenia, wolni od presji interpretacji.

Omówiona realizacja jest tylko częścią autorskiej całości M.T. Małgosia poprowadziła swoją koncepcję dalej. Doprowadziła do wydania własnej książki – obiektu *Chemia na zlecenie* (ISBN 978-83-60389-07-1). Biorąc pod uwagę silne tradycje i kanony, trzeba zauważyć, że w tym wypadku formuła książki dostarcza tylko zewnętrznej, acz niezbędnej, formy. To świadoma manifestacja początku i końca z pominięciem środka. *Chemia na zlecenie* liczy 440 stron, z których prawie połowa jest pusta (pomijając martwą i żywą paginę). Pozostała część została zadraśnięta raczej, niż zadrukowana, tekstem. Pisane ręcznie, choć powielone nakładem, zapiski ulokowane zostały głównie w polu klasycznego edytorskiego marginesu. Działają niczym „dowód obecności". Stają się grafologiczną sygnaturą, autorskim emblematem. Celowa rezygnacja z tekstu literackiego, tradycyjnie pojmowanej fabuły wyprowadza odbiorcę poza konkretne fakty oraz okoliczności; zmusza do kontaktu ze sferą emocji i uczuć.

Tej książki nie trzeba czytać. Można ją otwierać, zamykać, przeglądać. Można ją zignorować, a pomimo to łapać się na odczytywaniu. Myślę, że swobodny odbiór jest najlepszym, godnym polecenia, sposobem przyjęcia. W gruncie rzeczy najistotniejszą wydaje się mi czynność tworzenia, która w tym wypadku ma charakter oczyszczający. Porządkuje, buduje samowiedzę autorki. Ostatecznie prowadzi ją od przesilenia do przełomu.

Równoległym elementem *Wypowiedzi* Małgorzaty jest istniejący w wirtualnej rzeczywistości, stworzony i konsekwentnie prowadzony blog. Nabrzmiewająca, napędzająca całość, konieczność prostego i jednoznacznego opowiedzenia autentycznej historii zyskała także swoją manifestację. Pozostaje tylko odnaleźć ów blog.

Twórczość, niezmiennie zatrzymuje nas w codziennej organizacji, wytrąca ze standardów. Często podważa i weryfikuje przyzwyczajenia, burzy nasze wyobrażenia. Daje nam szansę i powód ku innej refleksji. Krystalizuje i wyzwala nasze oczekiwania. Odbiorca, jeśli chce, podąża za twórcą, by w stanie pobudzenia, uwrażliwienia poddać się konfrontacji. Sztuka nie zawsze coś odkrywa; bywa, że odsłania nas dla nas samych. Małgorzacie Tokarskiej udało się zrealizować ideę poszerzenia naszego udziału w jej jednostkowych, prywatnych losach. Wyprowadziła siłę z intymności. Nikogo nie ofiarowała. Nikogo nie poświęciła na ołtarzu sztuki. Zdystansowana może, jeśli zechce, tworzyć i kochać do końca życia.

Przyglądam się pustym stronom. Słucham bez konieczności poznania całej prawdy. Czytam. Nigdy nie byłam w Afryce...

Agnieszka Graczew-Czarkowska

Kurowicki na ścieżce

Jan Kurowicki, *W poranku słonecznej rosy*, Oficyna Wydawnicza ATUT, Wrocław 2009, 106 s.

Poczta, ta normalna, przyniosła mi kopertę, a w niej najnowszy zbiór wierszy Jana Kurowickiego pt. *W poranku słonecznej rosy*. Miałem przyjemność czytać tę pozycję wcześniej, w umownym maszynopisie (bo jak tu powiedzieć: w pliku wordowskim?), więc książka nie jest dla mnie zupełną nowością, jeśli idzie o treść.

Lubię wiersze Kurowickiego, są mi bliskie z powodu, rzekłbym, podobnego przeżywania rzeczywistości i oceny świata. Tak więc z ochotą przypomniałem sobie te zapisy, zwłaszcza celne *Klimaty*, *Niewydarzone godzinki*, *Martwy sezon*. Odczytuję w nich dylematy, które również i mnie męczą, a zarazem cieszę się z powodu też znajomego skądinąd dystansu do świata, Boga i siebie, jaki prezentuje Profesor, a także charakterystycznej dla niego ironii oraz sarkazmu. Jest w tych utworach jednakże dużo pesymistycznego subiektywizmu, w ślad za którym zauważam takie konotacje jak rozpad, odejście, „niewydarzone Godzinki". Też mi nieobce.

W tym kontekście nie dziwi rodzaj puenty, jaką jest czwarta strona okładki. Spodobał mi się (to nie jest może dobrze powiedziane, ale brak tu lepszych słów) ten pomysł na zamknięcie książki. Kurowicki plecami do czytelnika, odchodzi gdzieś w głąb leśnej ścieżki. Oczywiście za wcześnie na odejścia, ale metaforyczna fotografia mówi wszystko. Jest przeniesieniem treści wielu wierszy Poety. Kondensacją. Tak czy owak – do piachu, wydaje się twierdzić Autor, powtarzając za mistrzem Różewiczem.

Pozostaje więc durne pytanie: to po co to wszystko? I czy biologia jednak zwycięża idee?

Eugeniusz Kurzawa

Księga

Joanna Szczepaniak, *Po jasnej stronie myśli*, Wydawnictwo „Organon", Zielona Góra 2009, 304 s.

O życiu człowieka, zwłaszcza po jego dokonaniu się, często mówi się jak o księdze, którą sam swoim postępowaniem i wysiłkiem twórczym napisał, a zwłaszcza gdzieś zapisał, i dopiero w metafizycznej przestrzeni jest dostępny cały jej kształt, co do jednego zdania, którego nikt już nie może zmienić ani wymazać. Nawet jednej sylaby, bo wszystko już jest nieodwołalne. To może brzmi jak truizm, ale pozwala nam jednak uzmysłowić sobie metaforyczny kształt prawdy o człowieku. Nasunęło mi się tego rodzaju skojarzenie w związku z opublikowaniem nie tak dawno pokaźnego formatu książki pt. *Po jasnej stronie myśli*, której autorką niewątpliwie jest w ubiegłym roku zmarła Joanna Szczepaniak. Jest autorką, jako że wszystkie teksty w niej zawarte przez nią zostały napisane, tyle tylko, że mamy tu do czynienia w znacznym stopniu z drukiem z zasobu pozostawionych „papierów" pośmiertnych, swoistej pisarskiej spuścizny. Książka się ukazała, ale autorska ręka o jej kształcie już nie decydowała. Została z tego wszystkiego, co znalazło się w domowym jej rodzinnym archiwum, po prostu zredagowana i przygotowana w każdym szczególe, pod względem merytorycznym i kompozycyjnym. Chcę od razu zauważyć, że z tego niełatwego obowiązku dobrze merytorycznie wywiązała się Maria Miłek, o czym szczegółowo mówiła podczas promocyjnego wieczoru w Bibliotece. Książkę, co też chcę odnotować, poprzedziła wstępem Urszula M. Benka, która słusznie wskazuje, iż Joanna Szczepaniak obdarzona była niewątpliwie dużym talentem literackim i nieprzeciętną osobowością. Pozytywnie przy tej okazji należy ocenić podjęty przez Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów trud uchronienia od zapomnienia, a w praktyce, co się przecież często zdarza, od zniszczenia jakby nie było twórczości,

w której zapisana została pewna postawa światopoglądowa, jak i indywidualne doświadczenie życia. Te wszystkie wysiłki na pewno są wartościowe. Nasuwa się zarazem spostrzeżenie, że to wydawnictwo, zwłaszcza jego odbiór, czyli konkretne odczytywanie jego zdań dodatkowo wzmacnia i wspiera, zwłaszcza w kręgu członków Stowarzyszenia, pamięć niedawnej obecności i aktywnego udziału właśnie Joanny Szczepaniak w jego wielorakich przedsięwzięciach, spotkaniach i dyskusjach. To się czuło jako coś oczywistego i nieuchronnego właśnie podczas owej promocji. Niedawna śmierć Joanny, zarazem niedawna jej obecność, wpływała znacząco na stopień odczuwania tego wszystkiego, co się o niej samej mówiło oraz co mówiły (jakby obecnym na sali jej głosem) te utwory, inna rzecz, że bardzo przekonywająco wyartykułowane przez Marzenę Więcek. Znaczenia wydawały się mocniejsze i bardziej chyba zrozumiałe przez fakt, że towarzyszyła im pewna doza afektu. To daje się dostrzec zarówno w przedmowie Benki oraz zaistniało w omówieniu twórczości zaprezentowanym przez Marię Miłek. Nawet nie należy mieć o to pretensji. Trudno było w takim momencie twórczość Joanny Szczepaniak ujmować na chłodno, a więc wyzbyć się tonu żalu, czy też akcentowania mającej miejsce osobistej znajomości oraz przyjaźni. To właśnie mimowolnie zaowocowało efektem dowartościowywania tekstów. Mnie samemu też było dane nie całkowicie zdobywać się na pełną obiektywność percepcji. Prawdę mówiąc, twórczość Joanny Szczepaniak, jak i ona sama, do tej pory była mi znana fragmentarycznie. Fakt jej śmierci, jednak zaskakującej, wyzwolił pragnienie bliższego poznania świata kogoś, kogo trochę znało się osobiście. Stąd moje pragnienie poznania tej książki. Książka *Po jasnej stronie myśli* daje w tej sferze duże możliwości. Poezja, która książkę otwiera, wprowadza czytelnika niemal wprost do wnętrza „ja" poetyckiego autorki. I pozwala zobaczyć je od wielu stron. Odnajdujemy świat wewnętrznych kontemplacji istnienia tudzież fenomenu własnego jednostkowego bycia, to także zapisywanie otaczającej realności, wyrażenie pełnego adoracji stosunku do przyrody, jej wielkości i *sacrum*. A wreszcie poznajemy jak bardzo poetka osadzona była w rodzinnych, domowych związkach. Pisze bowiem sporo o domu, o swoim pokoju, o mężu, o własnych dzieciach. O swojej egzystencjalnej codzienności. Stara się także wykreować swoją kobiecość od strony najgłębszych emocji. Poznajemy całe spektrum jej wnikliwości duchowej i wrażliwości, choćby w wierszu *Mit o starej smutnej kobiecie*. W poezji zresztą J. Szczepaniak wypowiada siebie najpełniej. Widać, że dąży do objęcia maksymalnej skali doświadczenia oraz możliwej pełni wyrazu. Toteż raz wybiera poetykę tradycyjnego uporządkowania, czyli wzoru rytmu i rymu, a innym razem, najczęściej, jest to wiersz wolny. Niewątpliwie pokazują jej poezje, jakie poszukiwania i inspiracje ją cechowały. Owszem, z jednej strony poetce bliskie są wartości biblijne, ewangeliczne, ale także sięga do myśli i symboliki religii Wschodu czy starożytnej Grecji. Inspiruje ja również sztuka – *Perły Vermeera*, *Caravaggio*, *Klimt*, *Picasso*, *Breugel*. Myślę, że te różne nurty kulturowe i religijne naturalnie się u niej łączą (*Jestem*). Te wiersze zarazem zaświadczają, że wobec pełni duchowych przeżyć, którą była przeniknięta, potrafiła prowadzić grę z własną duchowością, patrzeć na siebie z dużego dystansu, starała się nadążać w tych wszystkich aktach duchowych ze swoim słowem. Raz doskonalej, innym razem mniej.

Nie wszystkie wiersze, np. jej haiku, są udane. Lepsze moim zdaniem są wiersze pisane w 2003 roku (*Na krawędzi myśli*) od pisanych w roku 2006 (*Szczeliny Duszy*). Nie ma tego co ukrywać. Jej spełnienie literackie nie polega zresztą na tym, że stworzyła swój oryginalny sposób wypowiedzi, bo dużo tu dopiero prób zbliżenia się ku czemuś wyjątkowemu, wiele wierszy ma zaledwie formę szkicu lub notatki, ale zdołała na pewno dać szeroki obraz swoich głównych pasji lirycznych i intelektualnych. Joannę Szczepaniak cechowało poszukiwanie własnej tożsamości. Próbowała ją określić także na innych polach. Także w wysiłku potwierdzania wartości. Przykładem może być reportaż-notatki z podróży na Białoruś oraz proza czy ważny dla jej drogi (obok poezji) żywioł eseistyczny, którego centrum stanowiła refleksja nad przekładami biblijnymi Romana Brandstaettera. Interesowało ją wszystko to, co dotyczyło heroicznej postawy wobec istnienia, co wynikało z graniczności doświadczenia, co wymykało się zimnej racjonalności, co posiadało naprawdę wysoki wymiar duchowy. Na pewno ta książka – *Po jasnej stronie myśli*, która mimowolnie stała się swoistą summą życia Joanny Szczepaniak, pokazuje jej nieprzeciętność. To widać także na załączonych zdjęciach. Nie chodzi tylko o wyraźnie dostrzegalną

dozę urody. Raczej o to, że Joanna Szczepaniak całą sobą patrzy na świat, na ludzi, których spotyka. Nie przybiera żadnej maski. Zdjęcia dodają do opublikowanych tekstów coś równie znaczącego, co wielokrotnie wypowiadane jest przy pomocy słowa – otwartość i ciekawość istnienia.

Czesław Sobkowiak

Czy to na pewno książka...

Małgorzata Tokarska, *Chemia na zlecenie*, Wydawnictwo Majus, Zielona Góra 2009, 402 s.

Takiej książki w Zielonej Górze jeszcze nikt do tej pory nie wydał. Różne już się ukazywały, zrobione na powielaczu lub – z pietyzmem – bardzo bogato ilustrowane, np. Szylkina, Solińskiego, Werstlera. Nigdy jednak nikomu nie przyszło na myśl wydać opasłej, swoistej „cegły" liczącej 402 strony, z których przeważającą większość stanowią w zasadzie puste stronice, jeśliby nie uwzględnić paginacji i towarzyszących jej tytułów rozdziałów. Sfera tekstu, bo taka tu oczywiście występuje, sprowadza się do zaprezentowania przez autorkę pojedynczych zdań, zdań zresztą nie będących typowym drukiem, ale napisanych najogólniej ręcznie (faksymile) drobnym pismem – długopisem, pisakiem, cienkopisem lub piórem (to zresztą nie jest tu istotne), jakby miała ich forma wzmacniać autentyczność zapisu. Napisanych bez szczególnej dbałości, raz ulokowanych na jakimś domyślnym marginesie jakiejś kartki (najczęściej na marginesie), raz zupełnie na dole. Niekiedy znajdujemy na jednej stronie dwa takie zwięzłe, jednozdaniowe zapiski, w których jest konkretna informacja, przekaz myśli i odczucia, i uczucia, a innym razem zaledwie sylaby. Myślę oczywiście o druku zwartym Małgorzaty Tokarskiej pt. *Chemia na zlecenie*, który niedawno się ukazał. Autorka „kończy studia w Katedrze Sztuki i Kultury Plastycznej Wydziału Artystycznego Uniwersytetu Zielonogórskiego". Czytelnik, bo jednak ktoś, kto tę książkę weźmie do ręki, ma szanse nim być, może doznać jakiegoś przynajmniej rodzaju zaskoczenia, jeśli nie szoku. Ta narzucająca się oryginalność wydania może zresztą wywołać albo odruch niechęci przed dalszym jej poznawaniem, albo wręcz odwrotnie – zaciekawić. Zaciekawić, choćby dlatego, że skoro w niej prawie niczego nie ma (tekstu tyle co kot napłakał), to wobec tego można zapytać, co w niej takiego jest, że trzeba było użyć kilkuset stron dobrego jakościowo papieru dla autorskiej, jakby nie było, wypowiedzi. W sensie czysto formalnym jest to oczywiście książka w określonym formacie, tytule, zaopatrzona w ISBN, fotografię autorki, biogram, celującą rekomendację Radosława Czarkowskiego, tytuły rozdziałów oraz imię i nazwisko autora, w tym przypadku autorki. Mam wrażenie jednak, że chodziło tu Małgorzacie Tokarskiej raczej o oryginalny żart, zabawne zachowanie, kpinę, może kaprys, może o próbę nadania jakiegoś niesamowitego hiperznaczenia swoim dość banalnym zapiskom, mającym niewiele wspólnego z rygorem sztuki słowa. W końcu forma wydania nie jest przypadkowa. Niewątpliwie chodziło tu o wybór innej formy graficznej wypowiedzi niż powszechnie stosowana. Tylko od razu nasuwa się pytanie, co tą innością udało się uzyskać? Sądzę, że w zasadzie nic. W rezultacie, jeśli czytamy zdania, np.: „W końcu znajduję telefon w kieszeni... sms, na który czekam już tam jest...", „Oj źle się dzieje", „Będę czekać. Mnie chyba też zauroczyło", „na zlecenie jedyna", „pragnę Cię tak mocno, że tylko sen uchroni mnie przed szaleństwem", to nie ma znaczenia lub ma zupełnie marginalne, gdy jest to podane drukiem lub pismem odręcznym, ale jedynie to, czy treść jest ważna, arcyważna. Czyli znaczenie i rodzaj refleksji. Cóż na to powiedzieć, gdy widać gołym okiem, że mamy tu do czynienia z przekazem płytkim myślowo i językowo, w którym nie ma niczego poza dość nużącą rejestracją emocji. Brak w tych zapiskach interesującej fabuły, czyli brak generalnie tego wszystkiego, co by uzasadniało przedstawienie na tak wielu stronach rozciągniętej w czasie, udokumentowanej historii kontaktu, można przypuszczać, autorki z jej uczu-

ciowym partnerem. Którym ona sama jest bardzo zaaferowana, jak to zresztą bywa w gorączce zakochania lub miłości, zwłaszcza w młodzieńczym wieku. Tylko czy taki poziom słowa, jeśli już decydujemy się je upublicznić, to nie jest przypadkiem chęć egzaltowanego wmówienia wyjątkowości znaczenia tam, gdzie zupełnie go nie ma. Słowo upublicznione, nawet gdy ekshibicjonistycznie przekracza granice prywatności, podlega twardej ocenie. Może więc być również zlekceważone. Jeśli tę publikację traktować jako książkę, to trzeba przyznać, że jest to bardzo lichutka książka, „cienka" w potocznym rozumieniu. Czy zdoła się w niej coś sensownego wyczytać? Wątpię. Czy wobec tego jest to książka do oglądania? Do oglądania puste stronice nie są na pewno. A tam gdzie, nazwę to, pojawiają się w szczątkowej formie zabiegi ilustracyjne; cztery lub pięć poziomych kresek bądź jakieś kreski pionowe, jakieś nawiasy, dwukropki, zawinięte linie, półkola, to też nic szczególnie zajmującego, tylko wzruszyć ramionami. Tak więc pożytek myślowy i przyjemność oglądania jest tu żadna. Można, owszem, jeśli ktoś to lubi, dorabiać do tego nic-znaczenia całkiem górnolotną filozofię i wykładnię nieistniejącego sensu, ale w ten sposób wystawia się samemu sobie nienajlepsze świadectwo. Nie twierdzę, że całe to zamierzenie jest bezsensowne. Może przynieść autorce nawet pewien pożytek. Taki mianowicie, że w pewnym momencie, za jakiś czas, sama nabierze do tego dokonania ozdrowieńczego dystansu.

Czesław Sobkowiak

Sobie a muzom

Jerzy Beniamin Zimny, *Zwrotnik Skorpiona*, Poznań 2009, 48 s.

Gdyby nie użyczenie mi tomiku wierszy Jerzego Beniamina Zimnego pt. *Zwrotnik Skorpiona*, to zapewne nigdy bym do niego nie dotarł. Dzisiaj większość książek wielu poetów jest niedostępna z bardzo prozaicznego powodu. Wydawane są przez lokalne wydawnictwa niemal zupełnie niezajmujące się dystrybucją na szerszą skalę, bo to przerasta ich możliwości. Także wiele książek wydają poeci własnym sumptem, by co najwyżej obdzielić nimi kilku swoich znajomych i przyjaciół. Wyżej wymieniony zbiorek otrzymałem właśnie od swojego zielonogórskiego kolegi (poety) z prośbą o omówienie w tym właśnie miejscu. Pretekst ma być mianowicie taki, że J. Beniamin Zimny, obecnie mieszkający w Poznaniu, podobno zamierza osiedlić się w Zielonej Górze. Powód dla kilku słów o tej książce jest też taki: otóż, tenże autor urodził się nie gdzie indziej, ale właśnie w Kargowej. Do tej pory niestety żadnej książki tego autora nie czytałem, a dowiaduję się z noty biograficznej, iż zdołał już wydać trzy zbiory: *Biały goździk na śniegu* (1991), *W sercu ciszy* (2005) oraz *Dystans* (2009). W przygotowaniu są dwie następne. Częstotliwość publikowania wskazuje na dużą inwencję twórczą. Gdy przeczytałem na okładce zdanie: „Niniejszy tom jest swoistym studium kobiety widzianej przez pryzmat poezji i też samej poezji, jej kobiecych cech", to, muszę przyznać, poczułem się zachęcony do lektury. Jakby nie patrzeć, kobieta i poezja mają wiele punktów stycznych. Właśnie to mnie ciekawiło. Przeczytałem cały zbiorek i, cóż, widać, że tę rekomendację trzeba raczej traktować z przymrużeniem oka, wedle znanego powiedzenia: „Reklama dźwignią handlu" (na chwytliwy temat ktoś się skusi). Niestety zaledwie w kilku wierszach kobieta się marginalnie przejawia lub jest nieco szerzej przedstawiona w kontekście erotycznej sytuacji. O żadnym poetyckim studium kobiety tu nie może być mowy. Przede wszystkim wiersze są napisane jako swoista ekspozycja „ja" mówiącego poety, który wyrzuca z siebie kłębiące się myśli i celowo niezbyt skoordynowane skojarzenia, niekoniecznie na serio przejmując się logiką swojego retorycznego wywodu. Jakby mało interesowało go definiowanie sensu. Co się nasunie na myśl, poeta uznaje za słuszne i od razu to mówi. Nie ma w tych tekstach czegoś takiego jak namysł, wyważanie znaczenia, budowanie przedmiotu dla całego tekstu. Priorytetem jest ekspozycja chaosu, mizerii rzeczy-

wistości, ale o dziwo, bo w tym kontekście, byłoby to zrozumiałe, jednak do roli bycia poetą J. B. Zimny przykłada wagę: „Rozgrzane dłonie / biorą się za pióro" (*Rapsodia*). Dostrzega swoje własne miejsce, po swojemu realizowane. Jego rewelacje odbieram jednak często jako bardzo pretensjonalne, np.: „Za nas grają emocje przez świat wyszukane, przez / fronty przelotne, nasze niże nikogo nie dziwią, / chyba, że coś wysoko zawisło" (pustosłowie) lub: „bo życie na końcu pióra nie potrzebuje krwi" (brzmi to dziwacznie). Pracy nad pogłębieniem myśli raczej nie widać. Nie mówiąc już o warsztatowej, stylistycznej obróbce. Zdecydowana większość tych, nazwijmy tak mimo wszystko, wierszy pozbawiona jest jakiegoś centrum, którego miałyby dotyczyć. Owszem poeta mówi o otaczającym świecie, często ironicznie, sarkastycznie, inwencja u niego nawet spora i ułożenie utworu nie sprawia mu żadnej trudności, ale niestety mówi powierzchownie, tylko sygnalizuje, nie wdaje się w analizę. Język oczywiście sprawny, pełen wigoru, nie żadne tam pierwociny kogoś, kto stawia pierwsze kroki. Po lekturze jednak nie zostaje wiele, do czego chciałoby się ponownie wrócić, podziwiając jakąś właściwość obrazową, tematyczną lub ze sfery refleksji. Nic z tych rzeczy. Chciałoby się za poetą powtórzyć: „Pod kołami legnie / mój strach i staje się jasne, że jestem tutaj bez / istotnej rzeczy." (*Zaklinacz poezji*). Już tylko ten mały fragment pokazuje, że słowa dość dowolnie się wzajemnie warunkują. A takich oryginalności jest tu zatrzęsienie. Może mnie ktoś posądzić, że zdanie wyrywam z kontekstu, więc przytaczam nieco większy kawałek: „I tak od piersi do piersiówki przechodzą palce. / Na wysokości pelargonii za oknem dniówka. / Miasto musi się mocować z wiatrem, a deszcz / jeżeli pozwoli na tęczę, przejdzie po niej sójka. / Nie czujesz końca a to uśmiecha się początek." (*Akwarela ostatnia*). Kto chce, to niech tu się czegoś głębszego próbuje dopatrzyć. Ja nie widzę niczego poza pozoracją poezji: „Toczy się średnica sama / tylko. Wewnątrz nic, po promieniu, płaszczyźnie". Takie po prostu banalizowanie. Czy to ma wystarczyć na miano dobrej książki?

Czesław Sobkowiak

Czesi/Słowacy atakują!

David Drábek, *Pływanie synchroniczne*, premiera w Lubuskim Teatrze w Zielonej Górze, listopad 2009. Reż. Brano Mazuch, scenografia Jan Polivka, muzyka Hanna Klepacka, choreografia Iwona Pasińska. Grają: Piotr Lizak, Marcin Wiśniewski, Przemysław Kosiński, Hanna Klepacka, Anna Chabowska, Dawid Rafalski, Elżbieta Donimirska, Jerzy Kaczmarowski, Beata Małecka, Miłosz Karbownik, Andrzej Andrałojć, Damian Der i Filip Kałuża.

W repertuarze Lubuskiego Teatru co kilka lat pojawia się spektakl oparty na tekście czeskiego dramaturga. Od listopada zobaczyć możemy dramat Dawida Drábka zatytułowany *Pływanie synchroniczne*.

Teatrowi nieobcy był w ostatnim czasie kontakt z najnowszą czeską literaturą. Przypomnijmy dobrą inscenizację *Opowieści o zwyczajnym szaleństwie* Petra Zelenki w reżyserii Małgorzaty Bogajewskiej (m.in. udział w Festiwalu *Sąsiedzi* w Lublinie, Letniej Akademii Filmowej w Zwierzyńcu przy retrospektywie filmów Zelenki). W 2006 roku w ramach Powinobraniowych Spotkań Teatralnych „Niemcy – Austria – Czechy" widzowie znów zetknęli się z tematyką czeskiego dramatu. Zielonogórski spektakl Zelenki wprowadził zresztą tego autora na salony polskiego teatru. Autor miał już renomę europejską, a zielonogórska prapremiera przyspieszyła tylko jego obecność na scenach w naszym kraju. Także obecność członków grupy Skutr (2009) przy realizacji projektu *Teraz na zawsze* potwierdza wspomnianą prawidłowość.

David Drábek (rocznik 1970) nie ma może takiej charyzmy jak Zelenka, ale ma w Czechach swoje

osiągnięcia. Debiutował w 1994 tekstem *Joanna z parku*. *Pływanie synchroniczne* napisał w 2003 roku.

W tym przypadku nie mamy co prawda do czynienia z prapremierą, bowiem ta odbyła się w kaliskim teatrze im. W. Bogusławskiego w 2008 roku. Także Centrala 71 – Dramatyczna Rura z Wrocławia czytała tekst Davida Drábka w reżyserii Gabriela Gietzky'ego. A wcześniej w 2006 przedstawiano go w Wałbrzychu podczas VII Dni Dramaturgii – Bracia Czesi (w reżyserii Piotra Kruszczyńskiego).

Drábka interesują problemy kultury masowej i mass mediów. Społeczeństwo po przełomie. „Właśnie dlatego, że takie rzeczy – na przykład drobnomieszczaństwo i mass media – nam zagrażają, ludzie muszą się bronić, muszą krzyczeć. Teatru, który tego nie robi, nie rozumiem" – mówił Drábek.

Zrazu też przypomina mi się okładka wydania *The Mechanical Bride* Marshalla McLuhana. Amerykański, typowy urzędnik, z teczką i w krawacie, unosi się jakby frunął, wśród świateł, rozbłysków, reklam, zamieszania obrazów, które przynosi z sobą kultura elektroniczna, na twarzy tego człowieka jednak, zamiast paniki, maluje się wyraz zadowolenia, poddawszy się fali znajduje w niej rozkosz. Czyli to, co McLuhan nazwie potem „odpoczynkiem w biegu".

Reżyser zielonogórskiego spektaklu Brano Mazuch, Słowak, próbuje zanurzać się w świecie mass mediów, zanurzać jednego z bohaterów opowieści – Kajetana. No i oczywiście nas – widzów spektaklu (podwójnie). Również wtedy, kiedy stanowimy element inscenizacji. Kiedy gramy, nie do końca z własnej woli, oglądaczy talk-show. Motyw wody pojawia się (jest wszechobecny) w przedstawieniu jako symbol nieuchronnie mijającej przeszłości, ale też jako coś, co nas zasysa, pochłania, zatapia. Wreszcie jako symbol nadziei, odnowienia i witalności (woda życia).

Scenografia (autor Jan Polivka) uzupełnia budowany obraz. Jesteśmy jakby w surrealistycznym świecie łazienki, basenu (!?). Przestrzeń sceny, a właściwie Sali Kameralnej została zabudowana ścianą z kafelkami. Krany i prysznice oraz symboliczne trzy wanny. Zwisające korki nadają pomysłowi scenograficznemu znamiona iluzji, w ten sposób nieco odciągając nas od skrzeczącej rzeczywistości.

Bohaterowie to Filip (Piotr Lizak), Kajetan (Marcin Wiśniewski) i Paweł (Przemysław Kosiński). Złączeni w młodości pasją wspólnego uprawiania sportu, konkretnie pływania synchronicznego, teraz stają się ofiarami nowego porządku społecznego. Autor opisuje moment życia, w jakim znaleźli się po trzydziestce. Ich traumę, w świecie rywalizacji i konkurencji.

Odnotowałem w przedstawieniu spektakularny powrót na zielonogórską scenę Hanny Klepackiej, aktorki, która w 1998 roku zaangażowała się do Lubuskiego Teatru i zagrała pamiętną rolę w *Narkomanach* Barbary Rosiek w reżyserii Krzysztofa Rościszewskiego. Zresztą jest to powrót podwójny, również w roli autorki dobrej muzyki i opracowania muzycznego omawianego spektaklu.

Nieźle w przedstawieniu wypada, w epizodycznej postaci, Elżbieta Donimirska. W roli zahukanej nauczycielki z prowincji, Pani Magdy. Pikanterii tej scenie dodaje dobrze wykorzystana inscenizacyjnie obecność córki bohaterki (w tej roli Beata Małecka – adeptka).

Natomiast, od jakiegoś czasu, moje duże współczucie, trochę prywatnie, wzbudza Jerzy Kaczmarowski. Ten niezły aktor, znany z wielu dobrych ról, od dwóch lat nie zagrał nic istotnego w Teatrze. W roli wieśniaka, też i tym razem, ma niewiele do powiedzenia.

Widzowie, nieco bardziej obeznani z „produkcją" dramaturgów pokolenia porno i pokolenia brutalistów, w kontakcie z tekstem Drábka nie doznają i nie odkrywają zbyt wielu zaskoczeń czy też artystycznych uniesień. Postaci nie mają tu zbyt wyrafinowanej konstrukcji. Są nijakie, przeciętne, ale usprawiedliwia to nijaka rzeczywistość „rzeczywistości przedstawionej". To nawet dobrze pasujące tutaj określenie: rzeczywistość. Dlatego że materiał dramaturgiczny, najczęściej dzisiaj proponowany na teatralnej scenie przez młodych, kreuje, a właściwie odzwierciedla rzeczywistość otaczającą nas na co dzień.

Stałe elementy we współczesnej inscenizacji teatralnej określa nieformalny katalog możliwych, acz powtarzalnych rozwiązań. To z pewnością multimedialna prezentacja, grający na żywo zespół muzyczny...

W odróżnieniu od wielu widzów, nie porywa mnie w inscenizacji zielonogórskiej ciało trzech głównych bohaterów. Ich fizyczność. Zaopatrzeni w kostiumy (autorka Elżbieta Terlikowska) charakterystyczne dla pływaków synchronicznych, które – co tu ukrywać – dają szanse na wyjątkowo ekspansywną jego ekspozycję, od pierwszej sceny narzucają nam określoną poetykę odbioru. Dodajmy, nieco

wykrzywiając ją. Kabaret, farsa to proponowany kierunek. Szczególnie Marcin Wiśniewski prezentuje nam swoje dorodne walory. Na jego twarzy, maluje się w takim momencie, bezgraniczne zadowolenie. Ale czy ten zabieg nie jest zbyt łatwy, przez co banalny? Wiem, że Czesi patrzą na wszystko z dystansem i właściwym dla siebie humorem, groteską. Forma w tym przedstawieniu zdaje się jednak niepotrzebnie przykrywać traumę trójki bohaterów. Przekierowuje uwagę, szczególnie leniwego widza, w kierunku powierzchniowej interpretacji.

W scenie telewizyjnego show Marcin Wiśniewski, przypomnę Kajetan, znakomicie buduje osobowość telewizyjnego showmana, modnie określanego dzisiaj mianem celebryty. Prowadzi program *Dokopcie im*. Zatraca się w tej roli. Potrafi być bezwzględny, szczególnie w stosunku do przybyłej z innego świata Magdy. Tu pojawia się banalna scena, z udziałem dwójki kibiców (Andrzej Andrakojć, Damian Der), zwiastująca motyw regionalny żużla, jaki ma się pojawić wkrótce w Lubuskim Teatrze..

Pozostali dwaj bohaterowie to Filip i Paweł. Ich biografie są inne niż Kajetana. Paweł nie zgadza się na korupcję i *public relation*. Walczy z wszechobecną konsumpcją. Został wiecznym opozycjonistą, wiecznie pijany. Zapamiętujemy dobrą, wzruszającą scenę z Przemysławem Kosińskim i Anną Chabowską, pokazującą dramat relacji pomiędzy bohaterem a rodziną.

Filip natomiast przepoczwarza się, rosną mu błony pławne, przekształca się w wydrę, wybrał emigrację wewnętrzną. Ucieczka jest dla niego rozwiązaniem?

FILIP Powinienem wam coś powiedzieć. Nie wychodziłem stąd od ostatniego treningu.

PAWEŁ Jak – nie wychodziłeś?

FILIP Nie poszedłem do domu. Zostałem w wodzie. Kiedy poszliście, skoczyłem do kibla, wróciłem, zgasiłem światło i wlazłem z powrotem do wody.

KAJETAN Ty tu siedziałeś, ile... sześć dni

Zastanawiam się, czego współczesny odbiorca oczekuje od teatru? Zwierciadła czy iluzji? Obserwuję teatr od jakiegoś czasu. Po sukcesie *Made in Poland* Przemysława Wojcieszka ogarnęły mnie wątpliwości, czy aby teatr nie odtwarza jej zbyt dosłownie. Natomiast pomysł z zespołem w scenie finałowej jest trafiony, choć nie jestem pewien, czy logicznością scenicznych i dramaturgicznych zdarzeń uzasadniony? Pewne jest, że można go uznać za pointę spektaklu. Daje też bezwzględnie szansę aktorom na bis, gdyż piosenka jest urocza. Szczególnie chcę tu wyróżnić Filipa Kałużę na gitarze. Jego obecność sprawiła mi dużą przyjemność, była też, nie ukrywam, zaskoczeniem. Ale widz zdziwiony jest również, kiedy za bass chwyta Marcin Wiśniewski a w chórku zauważa, obdarzoną niepowtarzalną ekspresją, Hankę Klepacką.

Andrzej Buck

Detektyw Gloria Kosz na tropie

Viktoria Korb, *Śmierć naukowca*, Wydawnictwo L&L, Gdańsk 2008, 201 s.

Polityka i kryminał, takie zestawienie chyba nikogo już nie dziwi. Miłośnicy zagadek kryminalnych z kluczem politycznym powinni sięgnąć po najnowszą książkę Viktorii Korb. Autorka wielu publikacji w Niemczech, urodziła się w Kazachstanie i wychowała w Warszawie. W Polsce ukazała się jej powieść: *Ni pies, ni wydra... Marzec 68 we wspomnieniach warszawskiej studentki*. Korb studiowała handel zagraniczny w Szkole Głównej Planowania i Statystyki (obecnie SGH). Za sprawą nagonki antysemickiej wywołanej przez władze komunistyczne została zmuszona do wyjazdu z Polski. W rozrachunkowej książce, napisanej swobodnym językiem, bez cienia patosu, zagląda za kulisy tamtych haniebnych wydarzeń jako ich bezpośredni obserwator.

Trauma Marca '68 nie pozostaje bez wpływu na twórczość Korb. Autorka konsekwentnie „załatwia" prywatne porachunki z politykami. W *Śmierci Naukowca* dostało się niemieckim elitom politycznym, pokolenia '68. Kryminalna fabuła jest tylko pre-

tekstem do ukazania degrengolady moralnej ludzi, którzy szermowali odnowionymi hasłami zaczerpniętymi z rewolucji francuskiej. Z Wolnością, Równością i Braterstwem na ustach wyzwalali klasę robotniczą spod ucisku kapitału i przy okazji rozprawiali się z drobnomieszczańskim porządkiem moralnym, czego wyrazem była rewolucja seksualna. Dawni buntownicy w nowym systemie gospodarczym opartym na pieniądzu trochę się zmienili: „(...) to pokolenie byłych studenckich rewolucjonistów, też obyczajowych, z 1968 roku po prostu chodziło na kurwy. W ten sposób nie musieli starać się o kobiety i mogli zostawić wszystkie swe zahamowania za drzwiami (s. 10). Oni przecież zawsze sławili wolny seks, bez takich obciążeń jak poznawanie się i witanie (...) Dzieci Marksa i coca-coli stały się coraz bardziej dziećmi coca-coli, a nawet burdeli. Bez Marksa" (s. 11).

Przedstawiciele pokolenia studenckiej rewolty nieoczekiwanie zostają wplątani w morderstwo. Śmierć profesora Adalberta Donnemua ma wyraźny związek z polskimi aferami lat 90., pośród których na pierwszy plan wysuwają się: aresztowanie dyrektora polskiego Łucznika w Niemczech za rzekome złamanie embarga na eksport broni do Iraku i zabójstwo generała Papały. Jest morderstwo, musi być też i detektyw, a konkretnie para detektywów: Gloria Kosz, która podobnie jak autorka mieszka w Berlinie i Knut Wegor, nudny niemiecki prawnik, jej partner życiowy. Czytelnicy wychowani na klasycznych kryminałach autorstwa: Agaty Christie czy Conana Doyle'a mogą poczuć się rozczarowani. Akcja powieści niestety nie trzyma w napięciu, a narracja jest przewidywalna. Nawet średnio wyrobiony czytelnik zauważy w książce liczne szwy, które miały wiązać fabułę. Autorka dzieli się też swoimi przemyśleniami odnośnie polskiej transformacji ustrojowej. Potrzeba dużo dobrej woli, aby dostrzec w nich głębię. Rażą banałem i powierzchownością osądów. Nic odkrywczego nie ma w twierdzeniach, że politycy różnych partii nie kierują się dobrem państwa, a własnym partykularnym interesem.

Dla książki warto jednak poświęcić zimowy wieczór. Autorka w mistrzowski sposób portretuje społeczeństwo niemieckie po upadku muru berlińskiego. Sarkazm i groteska w połączeniu z trafną analizą niemieckich lęków i obaw okresu przełomu 1989 z pewnością zrekompensują czytelnikowi wątłą intrygę. Zaletą książki jest też bezkompromisowość w walce z ideologią politycznej poprawności. Autorka szydzi z ekologów, feministek, podśmiechuje się z gejów. Z drugiej strony pokazuje hipokryzję osób, które pod płaszczykiem tolerancji kryją uprzedzenia wobec wszelkich mniejszości. Bawi się też stereotypami narodowymi i ośmiesza ich autorów.

Jednym słowem, jak na kryminał trochę za mało. Cała reszta gwarantuje rozrywkę na poziomie i dostarcza solidnej porcji refleksji. To z kolei więcej niż można by oczekiwać po powieści kryminalnej.

Rafał Krzymiński

Mądzik dokumentowany

***Leszek Mądzik. Teatr, scenografia, warsztaty, fotografia, plakat*, Wydawnictwo Jedność, Lublin 2009, 174 s.**

Ukazała się efektowna książka – album *Leszek Mądzik...* dokumentująca dokonania artystyczne Leszka Mądzika (teatr, scenografia, warsztaty, fotografia, plakaty). Autorami tekstów, które poprzedzają poszczególne rozdziały, są reprezentujący najwyższą klasę autorytetów: wprowadzenie Wojciech Skrodzki, Teatr (Janusz Degler), Scenografia (Agnieszka Koecher-Hensel), Warsztaty (Krystyna Zachwatowicz-Wajda), Fotografia (Adam Bujak), Plakaty (Stanisław Wieczorek).

Po monografii Dominiki Łarionow zatytułowanej *Przestrzenie obrazów Leszka Mądzika*, wiemy o twórczości autora *Ecce homo* coraz więcej. Jednak album znakomicie uzupełnia ikonograficznie pracę autorki.

Ostatnio obserwujemy wysyp prac o twórcy Sceny Plastycznej KUL w Lublinie: Leszek Mądzik *Mój teatr*, Leszek Mądzik *Fotografie*, *Teatr obrazu Leszka Mądzika* (40 lat twórczości), *Pejzaże wyobraźni* (sztuka, teatr, fotografia, plakat) i in.

Co ciekawe, świeżo pojawiła się na rynku praca zupełnie odmienna od dotychczasowych autorstwa Dominiki Leszczyńskiej, zatytułowana *Podróż*, dodajmy zapis dziejów rodziny Mądzików oraz drogi artystycznej, jaką odbył reżyser i scenograf. Zresztą jest to podróż, która się jeszcze nie skończyła.

Leszek Mądzik jest przedstawicielem teatru obrazu, bezsłownej prawdy, teatru wyobraźni, twórcą Sceny Plastycznej KUL Prezentował swoje spektakle na kilkuset festiwalach teatralnych na całym świecie. W swej twórczości krąży wokół tematu czasu, przemijania, jego wpływu na kondycję ludzką pomiędzy sferą *sacrum* i *profanum*. Poszukując najlepszego sposobu wyrażenia napięć i lęków ukrytych głęboko w człowieku – artysta odszedł od słowa, zwrócił się w stronę teatru wizualnego, który umożliwia współodczuwanie z widzami.

Ale jest w tej książce – albumie coś, na co chcę zwrócić uwagę z perspektywy zielonogórskiej małej ojczyzny, mianowicie cykl fotografii (autorstwa Andrzeja Wierdaka) ze spektaklu *Strumień* Leszka Mądzika w jego reżyserii i scenografii, z muzyką Andrzeja Zaryckiego (wybitnego kompozytora krakowskiej Piwnicy pod Baranami). Prapremiera odbyła się 30 września i 1 października 2006 w Lubuskim Teatrze. Jest też plakat, którego projekt Mądzik przygotował na premierę. Wszystko to wśród fotografii ze spektakli realizowanych przez artystę poza Sceną Plastyczną Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. A takich przedstawień zrobił Mądzik niewiele. Przypomnijmy: *Korozja* w Teatrze Pleciuga w Szczecinie, *Źródło* i *Blask* we Wrocławskim Teatrze Lalek, *Tygiel* dla 18 Festiwalu Muzyki Chrześcijańskiej w Częstochowie oraz *Namanha Makbunhe* wg *Makbeta* Szekspira w Teatrze Narodowym w Lizbonie. Zatem spektakl zielonogórski mieści się w precedensie artystycznym i przekroczeniu granicy dotąd nieprzekraczalnej przez Mądzika.

Leszek Mądzik znalazł się w Zielonej Górze nieprzypadkowo. Wcześniej Mądzik w Zielonej Górze prezentował prawie wszystkie spektakle Sceny Plastycznej KUL (m.in. *Wrota, Odchodzi, Bruzda*), prezentował wystawy plakatu i fotografii, a też poprowadził warsztaty z aktorami Lubuskiego Teatru (etiuda prezentowana była podczas Nocy Poetów w roku 2004).

O kulisach swojej pracy w Lubuskim Teatrze mówił w wywiadzie dla „Gazety Lubuskiej": „Rzeczywiście, niewiele było przypadków, gdy opuszczałem swój teatr. Ostatnio doświadczam tego częściej, zachęcony konfrontacją z innym sposobem pracy. Jednym z powodów, dla którego podjąłem próbę w Zielonej Górze jest to, że trochę ten teatr znam. Dwa lata temu zrealizowałem tu warsztat teatralny. Mam też poczucie, że teatr, jaki uprawiam, nie jest obcy zielonogórskiej publiczności, która oglądała większość przedstawień Sceny Plastycznej. Pokusą była też przestrzeń; inna od tej, jaką mam w swoim teatrze. Umożliwiająca pokazanie totalnego obrazu".

Mądzik nigdy nie formułuje scenariusza swoich przedstawień. Twórca natomiast chętnie mówi o idei każdego przedstawienia. Ideę ową zawiera zawsze w tytule. To jest trop. Przytoczmy jego wypowiedzi dotyczące idei realizowanej w Zielonej Górze:

„Strumień – zawsze jest życiodajny, jest pragnieniem spełnienia. Ono realizuje się też wobec drugiej osoby. Zamknięty w skorupie człowiek opuszcza ją w poszukiwaniu bliskiej osoby, strumień nadziei i wielka motywacja bohatera powodują, że pancerz lęku pęka i odpada – warstwa po warstwie ukazuje się prawie nagie ciało, zanurzając się w tajemniczy ogród, witalny, pełen ufności i nadziei. Czas płynie i weryfikuje pragnienia. Iluzja pięknej, powabnej przygody znika, ulatnia się jak upragnione marzenia. Na swojej drodze nasz bohater napotyka na pierwszą przeszkodę. Będą się one teraz mnożyć. Otchłań samotności i braku zrozumienia zbiera pierwsze żniwo. Trakt, którym człowiek podąża staje się mało przyjazny. Próby nawiązania kontaktu z drugim człowiekiem są daremne. Na szachownicy życia choć spotyka wiele postaci z żadną z nich nie udaje się spotkać. A jeżeli już rodzi się nić relacji – nie wytrzymuje próby czasu. On jest bezwzględny, zabiera nam urodę, patynuje. Pozostaje tylko sfera tęsknot, marzeń, czyli sfera ideału – odległego od rzeczywistości. Zanurzamy się w ten dziwny świat iluzji. On nas pochłania i ogrania. A strumień nadziei oddala się, wygasa. Zastępuje go cisza i samotność. Jakaś dziwna pustka, choć postaci wkoło nas wiele. Dostrzegamy je jak za dziwną taflą szkła. Jakaś niemoc w dotarciu do drugiego człowieka. Kiedy nam się wydaje, że go dotykamy, jakaś przeszkoda tę perspektywę oddala. Pustka jest jedyną konkluzją z tych pragnień. Zamykamy się w swoich wnętrzach pełnych beznadziejności, w których perspektywie nie widać światła. Czerń nas pochłania i prowadzi na kolejne bocznice kolei życia. Nie mamy

już nic do stracenia. Możemy się pozbyć ostatniego przyodzienia, które ujawni naszą bezradność, nagość. To co ubieramy przez lata w pragnieniach, snach, teraz zdejmujemy, wieszamy na wieszaku przegranej, której na imię samotność" – twierdzi L. Mądzik.

„Kamień, głaz, a może porzucony wór. Niepokoi swoim kształtem i martwotą. Milczy. Po jego grzbiecie płynie strumień czystej, srebrzystej wody. Płynie długo i monotonnie. Ma swoje rezultaty. Nasącza skorupę ledwo widocznego garbu, powoduje jej ożywienie. Korpus bryły pulsuje odrzucając poszczególne warstwy. Ujawnia ukrytą męską postać. Kiedy wydawało się, że droga przed naszym bohaterem stoi otworem, pełna nadziei, witalności i uczuć, następuje nieoczekiwany upadek. Pęka iluzja rajskiego ogrodu, pełnego tajemnic. Czas zbiera swoje żniwo. Wędrówka trwa, ale ogród już nie ten, poszarzał. I choć pełen postaci, nie koi on zapachem, wonią ani powabem. To dziwna samotność ludzi jakby sobie obcych. Zatrzymane w kadrze patrzą gdzieś daleko Wzrok nie spoczywa na drugim człowieku. Te postaci płyną w dziwnej przestrzeni. Dryfują w różnych kierunkach, a gdy się przez przypadek spotkają nie rodzą żadnych uczuć. Każda ma swoją próżnię, swój świat – dziwny pozbawiony uczuć" – definiuje dalej swoje myślenie Mądzik.

„Ludzkie ciało... prowokuje, kusi, podnieca. Zachwyca i wzbudza szacunek. Przez spojrzenie i dotyk na nie reagujemy. Jest zapisem, który je przeistacza, aż w końcu unicestwia. Na tę refleksję najbardziej podatne jest ciało kobiety. Zdobywamy je, kiedy jest jego pora, a później żywimy się tylko wspomnieniem. Czy tylko wspomnieniem? Czy jego szlachetność nie jest silniejsza i pełniejsza, kiedy czas zbiera na nim swoje żniwo? Uroda patyny, tej dziwnej korozji, to tajemny fenomen przemijania. Odmierzane godziny przewartościowują podniety, jakie to ciało w nas wyzwala. Wspaniały symbol tajemnicy czasu. Tajemnicy, z którą choć trudno się pogodzić, dostarcza impulsu do tworzenia; każe się przed nią pokłonić" – tak z kolei Leszek Mądzik pisał w programie o swoim spektaklu.

W *Strumieniu* wystąpili aktorzy Lubuskiego Teatru: Marta Artymiak, Beata Beling, Marta Frąckowiak, Tatiana Kołodziejska, Kinga Kaszewska-Brawer, Wojciech Brawer, Wojciech Czarnota, Tomasz Karasiński, Andrzej Nowak.

Premierę *Strumienia* (przygotowaną z okazji 55-lecia Sceny Zawodowej Lubuskiego Teatru w Zielonej Górze) poprzedziło otwarcie wystawy fotograficznej Leszka Mądzika pt. *Spojrzenia*, bardzo osobisty zapis z teatralnych podróży po świecie.

Autor napisał wówczas w katalogu:

„Spojrzenia. Na osobę, przedmiot, przestrzeń, naturę. Wzrok biegnie po tym, co kusi, intryguje. Ślad zniszczenia, korozji, patyny umiejscawia przedstawione obrazy (fotografie) w jakiejś logice, porządku, rzeczywistości. Dopiero przez przeczucie, by nie powiedzieć rozumienie upływających chwil dostajemy komunikat o nas samych, o naszej przygodności. Ostatnie moje wędrowanie w 2006 roku przez Nowy Jork, Edmonton, Calgary, Teherean, Persepolis, Shiraz czy Tibilisi pomimo, że dotyka różnych kultur, religii i miejsc, znajduje w swych mikro-scenach przekaz o naszej tajemnicy zanurzonej w czasie".

Spektakl teatralny jest tworem ulotnym. Dlatego warto też przy tej okazji prześledzić dokumentację prasową tego wydarzenia**.**

Leszek Mądzik w rozmowie Danuty Piekarskiej w „Gazecie Lubuskiej" z 28 września 2006:

„Pewnym wprowadzeniem w świat mojego teatru i metody pracy były trzy filmy poświęcone Scenie Plastycznej KUL, które pokazałem. (...) Mam wrażenie, że już po paru dniach miałem od aktorów duży kredyt zaufania. Dziś mogę mówić o więzi, która nie żąda zbyt wielu pytań. Opiera się bardziej na zawierzeniu niż wiedzy. Na gotowości do wejścia w pewną tajemnicę niż pewności, co z tej próby wyniknie. Bardzo jestem rad, że nie tylko aktorzy, ale zespół techniczny oraz pracownie teatru, dla których spektakl był dużym wyzwaniem, poradziły sobie z tym bardzo dobrze" (o pracy i przygotowaniach do przedstawienia).

(...)

„O tajemnicy czasu, wpisanej w ludzkie ciało. O tym, jak na nie patrzymy i jak je odczuwamy w różnych porach wieku... Nie lubię mówić o swoich spektaklach. Słowo jest zbyt ubogie, by oddać najgłębsze emocje. Dlatego wyrażam je przez obraz, światło dźwięk, fakturę, muzykę" (o tym, czym będzie *Strumień*).

Widz musi być gotowy na więcej (rozmowa Doroty Żuberek w „Gazecie Wyborczej" z 5 października 2006):

„Uciekam świadomie od warstwy fabularnej w moich spektaklach i opowieści, która snuje się ze

sceny. Poruszam problem przemijania bliski przecież nam wszystkim. Tym razem opowiadam o momentach w życiu kobiety, które mijają" (spektakl w ciemnościach, bez słów).

(...)

„Dla mnie ciemność, mrok, noc to synonimy wyciszenia, czasu, jaki mamy dla siebie. Kiedy już nic nas nie zajmuje, wszystkie bodźce z zewnątrz przestają nas dotykać, odrywać od sedna. Noc niesie ukojenie, uspokojenie, równowagę. Bardzo tego potrzebujemy. Ten spokój chciałem dać widzom podczas spektaklu. Dlatego bezwzględnie prosimy o wyłączenie telefonów i nie otwieramy drzwi od początku do końca spektaklu. Niekontrolowane światło mogłoby zburzyć nastrój."

Teatr światła i ciemności Anny Agnieszki Wójcik (miesięcznik „Puls", styczeń 2007):

„Ciemność, głęboka, dostatecznie gęsta, by widz siłą w nią wrzucony, poczuł się nieswojo. Nie sposób nie odczuwać mimowolnej ulgi, kiedy pojawia się pierwsze wątłe światło. Z ledwie wydartego mroku kokonu powoli, z precyzją naśladującą bezduszny mechanizm przyrody wyłania się postać. Mężczyzna. Odwraca się, podchodzi do przegradzającej całą scenę ściany liści, wczepia się w nią dłońmi i powoli z widocznym wysiłkiem, wprawia ją w ruch. Wrażenie jest niesamowite.

Obrazy Leszka Mądzika, twórcy Sceny Plastycznej KUL, utrzymane są w stałej konwencji. Pierwszoplanowymi aktorami są niezmiennie światło i mrok. Przestrzeń jest plastyczna w niemniejszym stopniu niż przedmioty i odhumanizowane ludzkie ciało. Wszystkie elementy współgrają tworząc organiczną całość. Czas, przemijanie, narodziny i śmierć, sacrum i profanum, boskość i zwierzęcość człowieka to tematy, do których autor wciąż, różnymi drogami powraca. W *Strumieniu* uwypuklony jest dodatkowo element kobiecy. Ona jest tą, z której wyłania się człowiek, tak jak z Boga wyłonił się świat. Rozchylone uda leżącej na wznak kobiety przywodzą na myśl seks i proces narodzin. Mądzik nie rozjaśnia tej sceny, stawiając na przenikającą do szpiku kości niejednoznaczność. Ubóstwienie kobiety sięga szczytu, kiedy na scenie pojawia się okryta wyłącznie przepaską na biodrach postać kobieca naśladująca ułożeniem ciała złożonego w grobie Chrystusa. Niezaprzeczalnym atutem *Strumienia* jest otoczka scenograficzno-choreograficzna. Ruch, światło i dźwięk doskonale ze sobą współgrają. Zielona, otwierana i zamykana przestrzeń zadziwia wielowymiarowością (...)".

Po premierze lubelskiej w Teatrze Juliusza Osterwy Grzegorz Józefczuk napisał w „Gazecie Wyborczej" – Lublin: *Zaskakujący Mądzik* (10 stycznia 2007):

„Mądzik znowu zaskoczył miłośników teatru mroku. W nowy sposób potraktował przestrzeń teatru i aktora. Możemy być pewni, że w teatrze Leszka Mądzika nie znajdziemy najmniejszego śladu wiadomości z dziennika telewizyjnego czy z pierwszych stron gazet. Teatr ten nie jest dokumentem tak rozumianego dnia codziennego, niemniej w niezwykły sposób do tej codzienności się odnosi. Bo Mądzik zderza naszą konieczną przygodność, przypadkowość, chwilowość i owo obarczenie codziennością – z wiecznością i transcendencją. W *Strumieniu* powrócił – jakby nawiązując do *Zielnika* sprzed 30 lat – do kwestii biologii człowieka (...).

Ale to nieco inny teatr Mądzika niż go znamy. W spektaklach zrealizowanych przez Scenę Plastyczną KUL Mądzik budował czarne, wąskie i długie tunele, w których perspektywie dzieją się kreowane przez niego obrazy. W spektaklu *Strumień* obok perspektywy skorzystał z plastycznych walorów panoramy, jakie daje szerokie pudło sceny teatru repertuarowego. Swoboda tego wielokierunkowego zagospodarowania przestrzeni obrazami jest doprawdy zaskakująca. Nie poetyka mroku budowana na powidokowych obrazach, rodzących się na krawędzi oka, ale sama wizyjność, wizualność i plastyczność niemal krystaliczna stały się esencją tego spektaklu. Czyste malarstwo, w którym pędzlem jest światło. Za tym innym budowaniem obrazu idzie nowe wykorzystanie aktora, wciąż niemego, który jednak nie jest ludzką kukłą, a aktorem grającym swoje ciało. Nadal aura widowiska ma wymowę głęboko chrześcijańską, ale chwilami uzyskiwaną obrazami o charakterze niemal hollywoodzkim. I wciąż ta sama pozostaje, mimo wszystko, tajemniczość i niejednoznaczność wizji jego teatru".

Warto odnotować, że *Strumień* przyniósł Lubuskiemu Teatrowi nagrody i udział w festiwalach teatralnych podobnie jak w przypadku *Zabijania Gomułki* wg Pilcha (Festiwal Prapremier w Bydgoszczy, Festiwal Komedii Talia w Tarnowie, Festiwal Genius Loci w Nowej Hucie, Konkurs

na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej w Warszawie, itd.).

Strumień brał udział w Festiwal Sztuki Sakralnej w Częstochowie (2007) pokazywany w Teatrze im. Adama Mickiewicza, w Festiwalu Kultury Chrześcijańskiej w Łodzi (2007) prezentowany na scenie Teatru Nowego im. Kazimierza Dejmka. Peregrynację ze *Strumieniem* zespół LT kontynuował w Lublinie, mieście, w którym od 40 lat tworzy Leszek Mądzik, gdzie w Teatrze Juliusza Osterwy (2007) odbyła się lubelska premiera spektaklu Mądzika. Wreszcie dzięki *Strumieniowi* została zdobyta – w rozumieniu symbolicznym – scena legnicka, na którą zaprosił spektakl Jacek Głomb (2007).

Przy tej okazji warto na koniec podjąć próbę zapisu tego spektaklu, który epatuje obrazem, światłem i dźwiękiem. Nie ma on jednak rejestracji wizualnej ani też scenariusza w tradycyjnym rozumieniu.

Oto zapis w którym wykorzystuję wypowiedzi samego reżysera i scenografa tego zdarzenia oraz obserwację uczestniczącą.

Idea i obrazy plastyczne

W moim teatrze nie ma słów. Jedynym słowem jest tytuł na afiszu, który ma uruchomić i ukierunkować wyobraźnię widza. Bezgłośne dialogi odbywają się pomiędzy postaciami. Bohaterami, którzy grają własnym ciałem. Pomiędzy wykreowanymi obrazami. W przestrzeni znaczonej ciemnością i światłem. Zanurzonej w muzyce.

Drążę temat *sacrum*, odchodzenie od biologii, erotyki – to przecież towarzyszy nam przez całe życie. Pewne stany i sytuacje są w życiu wieczne. Były i będą. Perspektywa czasu, zdobytego doświadczenia pozwala nam w każdym spektaklu mówić o tym w inny sposób. Staram się, aby coraz głębiej drążyć nieznane nam warstwy struktury człowieka. Aby wydzierać – Bogu i Kosmosowi – ukryte w nas tajemnice. Staje się to za sprawą głębokiego przeżycia, które pozostaje na krawędzi zrozumienia.

Nowa przestrzeń teatralna umożliwia pokazanie totalnego obrazu. Strumień zawsze jest życiodajnym pragnieniem ludzkiego spełnienia. Człowiek myśli o spełnieniu własnym i nie zapomina o najbliższych osobach.

Ciemność, mrok, noc to synonimy wyciszenia, czasu, jaki mamy dla siebie. Kiedy już nic nas nie zajmuje, wszystkie bodźce z zewnątrz przestają nas dotykać, odrywać od sedna. Noc niesie ukojenie, uspokojenie, równowagę. Bardzo tego potrzebujemy.

Zasłona pełni rolę znaku, który wskazuje na głębię tajemnic, jaką kryje świat wobec człowieka i jego zagadki bytu najpierw w biologicznym, a potem metafizycznym wymiarze.

Zanurzamy się w muzyce. Bohater poddaje się losowi. Porusza się wolno, jego stopy określają kierunek wędrówki. Czas wyznacza rytm ludzkich przemian.

Skorupa

Kamień, głaz, a może porzucony wór. Niepokoi swym kształtem i martwotą. Milczy. Człowiek bywa zamknięty w organicznej przestrzeni. Po jego grzbiecie płynie strumień czystej, srebrzystej wody. Płynie długo, monotonnie. Nasącza i ożywia skorupę ledwo widocznego garbu. Strumień nadziei to wielka motywacja bezbronnego człowieka. Sprawia, że pęka pancerz lęku. Korpus bryły pulsuje. Ujawnia ukrytą męską postać.

Bohater opuszcza skorupę w poszukiwaniu bliskiej osoby. Opadają kolejne warstwy troski. Spod nich wyłania się prawie nagie ciało. Wola życia jest tak ogromna, że bohater zanurza się w tajemniczy ogród. Daje mu się wchłonąć i pozostaje pełen ufności i nadziei. Rozświetlone klatki ukazują postaci, ludzkie części ciała, nogi, dłonie, głowy.

Brama

Bohater przechodzi do innej świetlistej przestrzeni. Przekracza bramę, granice samotności i lęku. Pokonuje ograniczoną wyobraźnię i otwiera się na nowe przeżycia. W spokoju i z rezygnacją odbiera wszelkie razy, przyjmuje ciosy, poddaje się losowi. Z mroku wyłaniają się inne postaci, które żyją.

Zderzenie naszej koniecznej przypadkowości, chwilowości z wiecznością i transcendencją.

Czas płynie i weryfikuje pragnienia. Iluzja pięknej powabnej przygody znika, ulatnia się jak upragnione niedosiężne marzenia. Doznane uprzednio cierpienie potęguje w człowieku świadomość przemijania i ziemskiej ułudy. Bohater ustępuje miejsca Kobietom. Leżą na ziemi, czują się zjednoczone.

Kobieta – Matka

Noc niesie ukojenie, uspokojenie, równowagę. Przygotowuje do spełnienia snu o miłości i macierzyństwie. Jest symbolem aktu oddania ciała i duszy.

Biologiczność, która jest ziemskim, poniekąd banalnym, lecz i dokuczliwym aspektem bytu ludzkiego, zostaje ukazana jako coś sprzężonego z transcendencją. Poprzez biologię doświadczamy piękna, miłości oraz czasu. To z biologii bierze się nasz egzystencjalny niepokój. To biologia czyni chwile życia dwuznacznymi, tak jak rozchylone nogi kobiety mogą przywodzić na myśl i narodziny, i seks. Kobieta jest istotą naznaczoną. Kocha. To, co dzieje się z duszą i ciałem w kolejnych fazach życia, można pokonać.

Narodziny

Kiedy wydawało się, że przed bohaterem, pełnym nadziei, witalności i uczuć, wieczność stoi otworem, następuje nieoczekiwany upadek. Bohater napotyka na swojej drodze pierwszą przeszkodę. Przeszkody będą się teraz mnożyć. Otchłań samotności i braku wzajemnego zrozumienia zbiera pierwsze żniwa. Świat, którym człowiek podąża, jest mało przyjazny. Daremne też są próby nawiązania kontaktu z drugim człowiekiem. Mimo że w swoim życiu bohater spotyka wielu ludzi, to z żadnym z nich nie udaje mu się spotkać. Jeśli nawiązuje się nić porozumienia, nie wytrzymuje ona próby czasu.

Pęka iluzja rajskiego ogrodu, pełnego tajemnic i piękna. Czas zbiera swoje żniwo.

Miłość

Czas jest bezwzględny. Zabiera kobiecie urodę. Patynuje. Pozostaje sfera wspomnień, marzeń, tęsknot. Sfera ideału jest bardzo odległa od rzeczywistości. Intymne spotkanie z ludzkim ciałem przynosi gorzkie rozczarowania. Tymczasem tajemnica czasu wpisana jest w ludzkie ciało. Tajemnica spojrzeń i odczuwania w różnym wieku. Zanurzamy się w dziwny świat iluzji, który nas pochłania i ogarnia.

Wędrówka trwa, ale ogród nie jest już ten sam. Poszarzał, posmutniał, zmienił się. Jest pełen postaci, jednak już nie pachnie wonią życia.

Obcość

Strumień nadziei oddala się. Wygasa. Zastępuje go cisza i samotność. Dziwna, obca pustka, choć ruchu i światła wokół tak wiele. Wszystkie postaci dostrzegamy niczym za dziwną taflą szkła. Prosty obraz człowieka samotnego pod nieboskłonem ma porażającą moc. Wyczuwamy niemoc w próbie dotarcia do drugiego człowieka. Kiedy zdaje nam się, że już go poznaliśmy, nieznana przeszkoda oddala perspektywę porozumienia. Jedynym efektem tych pragnień jest wszechogarniająca pustka. Zamykamy się w swoich własnych, pełnych złości urazach. W ich perspektywie nie widać światła, które dotąd sprzyjało wędrowcom.

Starość

Jesteśmy skazani na przemijanie i śmierć. Każda upływająca minuta, każdy nasz krok nieustannie ku niej zmierza. Ciemność etyczna to symbol zła, grzechu, tego co bezbożne, odległe od Boga. Ciemność to symbol niewiedzy, ale i lęku. Wrogo usposobionych do człowieka mocy, symbol nieszczęść i nadchodzącej śmierci.

Odejście

Czerń nas pochłania i prowadzi w miejsca nieprzyjazne. Odstawia na bocznicę życia. Nie mamy już nic do stracenia. Możemy się pozbyć ostatniego odzienia, bo ujawni naszą bezradność. Wstydliwą nagość. Nadszedł moment, w którym to, co przez lata uzbieraliśmy w najskrytszych pragnieniach i snach, tracimy. Czujemy się zmieszani i pokonani. Wieszamy na przedziwnym wieszaku, któremu na imię samotność. To dziwna samotność ludzi bliskich, ale jednak obcych sobie wzajemnie.

Postaci są zatrzymane w kadrze, a jednocześnie gdzieś daleko. Wzrok nie spoczywa na drugim człowieku. Bohaterowie płyną. Dryfują w różnych kierunkach. Jednak nawet podczas przypadkowego spotkania nie mają dla siebie cieplejszych uczuć. Pozostali nieczuli i obcy. Żyją własnym, pozbawionym miłości, życiem. Przegrani.

Andrzej Buck

Kiczowaty bestseller

Stephenie Meyer, *Zmierzch*, przeł. J. Urban, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2008, 413 s.

Na czarnej okładce dwie trupioblade dłonie oferujące apetycznie wyglądające czerwone jabłko. Oto propozycja skosztowania zakazanego owocu, jakim jest romans z... wampirem. Taką też lakoniczną informację Stephenie Meyer umieszcza na swojej książce, co nie pozostawia cienia wątpliwości, o czym traktuje *Zmierzch.* Możemy doczytać się jeszcze na odwrocie okładki, że jest to połączenie romansu z horrorem, a wszystko wplecione w tok narracyjny powieści o dojrzewaniu.

Główną bohaterką utworu jest młoda dziewczyna – co do ostatecznej wersji jej imienia można mieć wątpliwości przez całą powieść, gdyż rówieśników notorycznie poprawia ze złością, że na imię ma Bella, kiedy zwracają się do niej Isabella, podczas gdy w sekretariacie szkoły przedstawia się jako Isabella Swan. Zamysł autorki w tym względzie nie jest do końca jasny. Niemniej jednak powieść rozpoczyna się przybyciem Belli do Forks do swojego ojca, gdzie w nowej szkole poznaje przystojnego młodzieńca o imieniu Edward, w którym się zakochuje od pierwszego wejrzenia. Komplikacje zaczynają się wówczas, gdy się okazuje, że jest on wampirem, którego dręczy niepohamowane pragnienie skosztowania jej krwi. Od tej pory bohaterowie wikłają się w różne intrygi, nadprzyrodzone zdarzenia oraz nieprawdopodobne zbiegi okoliczności, których akcja rozciąga się aż na cztery tomy powieści: *Zmierzch, Księżyc w nowiu, Zaćmienie, Przed świtem.*

Fabuła pierwszego tomu, aczkolwiek szumnie nazwana romansem, podporządkowana jest jednak schematowi harlequina i realizuje wzorzec kiczu, zarówno w pomyśle fabularnym, jak i warstwie językowej. Biorąc pod uwagę zasady kiczu zdefiniowane przez Abrahama Moles'a[1], możemy powiedzieć, że powieść spełnia te wymogi, odwołując się do zasady synestezyjnej percepcji, gdyż obliczona jest na wywoływanie chwilowego zachwytu przy oddziaływaniu na kilka zmysłów jednocześnie, zasady przeciętności, jako że opiera się na utartych schematach oraz zasady komfortu.

Zmierzch realizuje literacki schemat „księcia i kopciuszka". Bohaterów dzieli pochodzenie, gdyż Edward, chociaż wywodzi się z rodu ludzkiego i kiedyś był człowiekiem, teraz jest wampirem. Jest to pierwsza przeszkoda na drodze do spełnienia idealnej miłości. Istota ludzka i istota nieludzka – wampir – popełniają mezalians.

Ona, przeciętna (bynajmniej we własnych oczach, bo później on ją nobilituje i nadaje tożsamość kobiecą poprzez uświadomienie jej własnej wartości), mało atrakcyjna (znów we własnych oczach), niezdarna i niezgrabna, ale dziewicza i niewinna. Daleko jej do księżniczki.

On – wcielenie ideału. Wysoki, muskularny, atrakcyjny, tajemniczy, wysportowany, gwałtowny, zmienny w nastrojach, co go czyni dodatkowo interesującym, pretenduje do roli bohatera i wybawcy, jako że kilkakrotnie znajduje się we właściwym momencie, aby Isabellę wybawić od problemów, a nawet śmierci. Ratuje ją z kolizji samochodowej i z rąk niecnych opryszków. Nie trzeba wspominać, że motyw ratowania ukochanej zawdzięcza własnej intuicji i nadprzyrodzonej zdolności czytania w ludzkich myślach. Będąc wcieleniem rycerza, nie ma co prawda białego rumaka, ale w zamian srebrne volvo. W dzisiejszych czasach wystarczy. To dzięki niemu ona przechodzi drogę do uświadomienia sobie tego, że nie jest kopciuszkiem, lecz księżniczką. Otrzepawszy się z pyłu niewiedzy, zdobywszy poczucie kobiecej, czy raczej dziewczęco-kobiecej tożsamości, nie zdołała jednak otrząsnąć się z iluzji idealizowania ukochanego.

W powieści S. Meyer nie można mówić o portretach psychologicznych, a jeśli już, to o uproszczonych i stypizowanych, jako że mamy do czynienia ze stereotypami psychologicznymi.

Schemat harlequina realizuje się dalej w kreacji bohatera męskiego. Oczami bohaterki widzimy go przez pryzmat ideału, przy czym ów ideał odnosi się zarówno do osobowości, jak i do wyglądu. Opis ubioru często ma na celu uwydatnienie jego fizycznej atrakcyjności.

1 A. Moles, *Kicz czyli sztuka szczęścia*, Warszawa 1978.

„Miał rozpiętą koszulę. Musiałam zdusić westchnienie zachwytu. Muskularny tors, który do tej pory miałam okazję podziwiać jedynie pod obcisłymi pulowerami, teraz prezentował się w całej okazałości. Zarówno kolorytem skóry, jak i budową ciała, Edward przypominał marmurowe greckie posągi. Jest zbyt idealny, pomyślałam z rozpaczą. Nie powinnam była się łudzić, że ktoś taki jest mi przeznaczony". „Oczy miał zamknięte, rzecz jasna, nie spał. Bladofioletowe powieki również wyglądały na pokryte brokatem. Przypominała wspaniały posąg o idealnych proporcjach, wyrzeźbiony z nieznanego kamienia – gładkiego niczym marmur, połyskującego jak kryształ". „Miał na sobie tylko obcisły szary podkoszulek z dekoltem w serek i długimi rękawami, podobnie jak golf, podkreślający idealną muskulaturę właściciela. Tylko dzięki wyjątkowej urodzie twarzy Edwarda byłam w stanie oderwać wzrok od jego umięśnionego ciała".

Podobnymi opisami przeplatana jest fabuła całego utworu. Peany na cześć umięśnionego ciała wampira nie mają końca, aż trudno uwierzyć, że to właśnie dziewczynie przypadło wychwalanie walorów fizycznych. Zachwyt nad pięknem zewnętrznym jest przecież domeną mężczyzn. Nie trzeba dodawać, że literatura niższej półki – w tym harlequiny – epatuje opisami tego samego rodzaju.

Osobowość Edwarda łączy w sobie binarność cech: jest czuły i twardy, gwałtowny i wrażliwy, szorstki i troskliwy, wybuchowy i delikatny, ale przede wszystkim w sposób nieświadomy jest uwodzicielski. Belli przypomina „posąg Adonisa, który przycupnął na jej wyblakłej kanapie", „półboga", siedzącego na „odrapanym krześle w kuchni Charliego" (Charlie to ojciec), patrzącego na nią „oczami o porażającej mocy", o „aksamitnym głosie" i „idealnym wykroju ust", od którego „bije elektryzująca aura". Nieludzkie piękno Edwarda „jest nie do zniesienia", kontrastuje z nieciekawą rzeczywistością, odrywa od miałkiej egzystencji. Dosyć często widzimy go przeżywającego silne emocje, gdy jest wzburzony, „warczy rozwścieczony" i mówi „cierpko", co mu tylko przydaje uroku.

Kolejną kwestią są nieśmiałe opisy doznań erotycznych, charakterystyczne dla harlequina oraz motyw kolejnej przeszkody w spełnieniu miłosnym. Są tu bezprecedensowe pytania o wcześniejsze doświadczenia, o niewinność dziewczyny, a potem pełne napięcia i oczekiwania noce z ukochanym, który z racji bycia wampirem w ogóle nie sypia, lecz leży u boku dziewczyny i powstrzymuje swoje pożądanie oraz popędliwość, aby przypadkiem nie stały się przyczyną śmierci ukochanej. W porankach pełnych entuzjazmu i radości na swój widok nie ma mowy o przykrym zapachu z ust, gdyż tacy bohaterowie nie mają potrzeby używania pasty do zębów. Pocałunki zaś kończą się dla Belli rzeczywistą utratą przytomności, nie trzeba dodawać, że z wrażenia.

Język utworu obliczony jest na wywołanie łatwych wzruszeń, nie należy się spodziewać polotu literackiego. Przesycony kiczowatymi porównaniami, obfituje w spłycone próby opisywania wewnętrznego świata bohaterki. Obliczony jest na niewybredny gust masowego odbiorcy, a raczej – odbiorczyń. Kolejne rozczarowanie. A już czytelnik mógłby mieć nadzieję na bardziej wysublimowany język autorki z racji ukończonych studiów na wydziale literatury angielskiej na Brigham Young University. Kwestia języka nie dawała mi spokoju, więc sięgnęłam do oryginału *Twilight*, aby się przekonać, czy płytkość warstwy artystycznej jest tylko błędem tłumacza i ku mojemu zdziwieniu okazało się, że te same określenie w języku angielskim nie budzą takiej grozy. Czyżby kiczowatość gorzej brzmiała w polskim języku? A może to tłumaczka sięgnęła do kanonu tandetnych wyobrażeń harlequinowo-romansowych? Zasada jest niezłomna, że kicz jest kiczem na wszystkich płaszczyznach.

Zakończenie powieści odnajdziemy w tomie ostatnim. Czy starcie dobra ze złem skończy się baśniowym happy endem, aby tradycji harlequina stało się zadość?

Kicz zyskał miano bestsellera. Prawdziwa literatura, ta z wysokiej półki, nie ma z tym nic wspólnego. Zaskakujące jest to, iż sfilmowana wersja *Zmierzchu* wykracza poza ramy harlequina. Niewiele cech książkowej bohaterki, szczególnie tych spod znaku zakompleksionego kopciuszka, możemy odnaleźć w jej filmowym odpowiedniku. Podobnie Edward jest ukazany inaczej, niż przez pryzmat Kena. Tym razem to film ma ostatnie zdanie w kwestii jakości. A na marginesie dodać trzeba, że firma Mattel już wypuściła na rynek laki ustylizowane na bohaterów *Zmierzchu* i teraz Edward Cullen stoi u boku Barbie...

Marta Wiatrzyk-Iwaniec

KRONIKA LUBUSKA

wrzesień – listopad 2009

- Uroczystości związane z rocznicą 1 września odchodzono m.in. w Zielonej Górze i w Gorzowie. W obu miastach mszę celebrował bp P. Socha, a potem odbywały się przemarsze wojskowe i apele.
- 2 września w Muzeum Ziemi Lubuskiej otwarto wystawy: *Zielona Góra – miasto i ludzie*, *Kolekcja fotografii winobraniowych*, *Zielonogórskie winiarstwo w obrazach Jerzego Fedry*.
- Również w Muzeum 4 września zainaugurowano wystawę *Art-ziny – zielonogórska twórczość alternatywna lat 90*.
- Maję Komorowską i Jerzego Hoffmana – gwiazdy 5. Międzynarodowego Festiwalu Kina Autorskiego w Zielonej Górze można było spotkać w kinie Nysa 5 września.
- Podczas Dni Zielonej Góry (5-13 września) miały miejsce liczne imprezy. Całemu Winobraniu towarzyszył Jarmark, czynny był Lunapark oraz Strefa Turystyki i Promocji Lubuskiego Trójmiasta. Imprezy odbywały się na Scenie Głównej i w Miasteczku Winiarskim. Ponadto zorganizowano wiele imprez kulturalnych i sportowych w różnych obiektach miasta.
- W pierwszym dniu Winobrania (5 września) uroczyście otwarto imprezę. Na Scenie Głównej zagrał DJ Sentez, prócz tego odbył się Zlot Miłośników Volkswagena Garbusa. Koncert dali Samowar i September. W konkatedrze pw. św. Jadwigi koncertowało Zielonogórskie Towarzystwo Śpiewacze Cantores.
- Także 5 września w Lubuskim Teatrze odbyła się premiera *Przyjaznych dusz*.
- Korowód Winobraniowy przeszedł przez miasto 6 września, a gwiazdą wieczoru był zespół Myslowitz.
- 7 września w Miasteczku Winiarskim na Starym Rynku zaśpiewała Magda Umer.
- W Muzeum Ziemi Lubuskiej 7 września rozpoczęła się konferencja ph. *Rola Polonii w uzyskaniu pomocy przez naród polski od społeczności międzynarodowej w latach 1981-1989*.
- 9 września na Scenie Głównej zagrali: Robert Janowski i Patrycja Markowska.
- 10 września zielonogórzanie mogli posłuchać kultowych kawałków. Na Scenie Głównej zaśpiewał się Piotr Bugzel jako Elvis Presley. Gwiazdą wieczoru był czeski The Beatles Revival.
- Winobraniowy Bal Bachusa miał miejsce 11 września w Palmiarni Zielonogórskiej.
- W tym też dniu wiele atrakcji było na Scenie Głównej: zaprezentowały się zielonogórskie kluby taneczne, ponadto wystąpił zespół Niepokonani, Mate, Bad Boys Blue. Wybrano Miss Winnego Grodu.
- W gorzowskim amfiteatrze natomiast wystąpił Myslowitz (11 września).
- 11 września w kościele pw. Pięciu Braci Męczenników Międzyrzeckich w Gorzowie zaśpiewała sopranistka Izabella Kłosińska w towarzystwie Filharmonii Zielonogórskiej. Był to pierwszy koncert w ramach Gorzowskich Dni Muzyki.
- 12 września na zielonogórskim rynku odbył się Koncert Laureatów Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenki Dziecięcej i Młodzieżowej FUMA. Ponadto na Scenie Głównej zaśpiewał zespół Czekolada oraz legenda polskiej muzyki – Czerwone Gitary.
- Uroczyste zakończenie Winobrania nastąpiło 13 września. Zaprezentowano na Scenie Głównej Widowisko ZielonaGóra.pl. Wystąpił charyzmatyczny zespół Lucy One oraz poznańska kapela grająca alternatywnego rocka – UnderGround Fly.
- 13 września w gorzowskim Parku Róż spotkały się orkiestry dęte i zespoły śpiewacze. W tej imprezie wzięło udział 18 grup.
- W Starej Plebanii w Białowicach, 13 września odbyło się dziesiąte, jubileuszowe spotkanie polsko-niemieckiego Projektu „Domi". Uczestnicy mogli obejrzeć wystawę prac 15 artystów z różnych krajów Europy i świata z kolekcji Jacka Wesołowskiego oraz wysłuchać koncertu Stanisława Deji, pianisty zamieszkałego w Monachium i w Żarach.
- W Muzeum Ziemi Lubuskiej 16 września otwarto wystawę *Polskie powojenne motocykle – ambitne konstrukcje w niełatwych czasach*.
- 17 września Narodowy Bank Polski oraz WiMBP im. C. Norwida zaprosiły na wieczór poetycko-muzyczny *Tamten wrzesień*. Uroczystość upamiętniająca 70. rocznicę wybuchu II wojny światowej odbyła się w sali widowiskowej. Połączono ją z promocją monet kolekcjonerskich z serii Polska Droga do Wolności.

- W dniach 13-19 września na terenie Muzeum Archeologicznego w Świdnicy trwał plener rzeźbiarski ph. *Postacie z baśni i legend*.
- 18 września w Chacie Bukowińskiej w Ochli otwarto wystawę dotyczącą środowisk etnicznych. Przygotowali ją wolontariusze z Polski, Niemiec i Ukrainy w ramach projektu *Zrozumieć historię – ocalić pamięć*.
- W zielonogórskim Klubie Jazzowym „U Ojca" 18 września koncert dał pochodzący z Łagowa zespół bluesowy 5 Rano.
- W Żaganiu, podczas corocznie organizowanego Jarmarku Michała gwiazdą wieczoru był Sebastian Kurpiel-Bułecka i grupa Zakopower (20 września).
- 23 września po raz drugi obchodzono Dzień Spadającego Liścia, którego pomysłodawcą jest Jerzy Szewczyk.
- W Grodzkim Domu Kultury w Gorzowie 25 września odbył się liryczny koncert *O miłości*. Zaśpiewała m.in. Dagmara Barna z zespołu Preambulum. Katarzyna Borysowska zaprezentowała monodram *Projekt człowiek*, a Anna Duk i Elżbieta Kuczyńska zagrały sztukę *Persopolis*.
- Przez trzy dni (25-27 września) Lubuski Teatr wystawił swoje cztery najlepsze sztuki ostatnich sezonów – *Teraz na zawsze* (czeskiej grupy SKUTR) oraz wyreżyserowane przez Roberta Czechowskiego: *Wizyta starszej pani*, *Stworzenia sceniczne* i *Kaspar Hauser*.
- 25 września w Salonie Wystaw Artystycznych Żarskiego Domu Kultury zainaugurowano wystawę poplenerową Międzynarodowego Pleneru Malarstwa i Rzeźby – Żary 2009.
- Instytut Politologii UZ zorganizował międzynarodową konferencję naukową *Łemkowie, Bojkowie, Huculi, Rusini – historia, współczesność, kultura materialna i duchowa*, która rozpoczęła się 26 września.
- 26 września w Galerii Pro Arte odbył się finisaż wystawy Roberta Szecówki *Rysunek satyryczny*.
- Tego też dnia w gorzowskim klubie Magnat wystąpił zespół Muzyka Końca Lata.
- W Muzeum Miejskim w Nowej Soli 26 września otwarto wystawę obrazów Patryka Lewkowicza *W przestrzeni świadomości*.
- Kultowy zespół Lombard zagrał 30 września w Klubie Uniwersyteckim Kotłownia w Zielonej Górze.
- W Bibliotece Norwida 1 października gościła Maria Czubaszek. Spotkanie autorskie w klubie Pro Libris poprowadził Konrad Stanglewicz.
- 1 października w Kawonie koncert dał zespół Akurat, a 4 października Riverside.
- 2 października w Filharmonii Zielonogórskiej wystąpiła solistka Dominika Falger. Artystce towarzyszyła orkiestra FZ pod batutą Vladimira Kiradjiewa.
- Gorzowskie Dni Muzyki zakończono dwoma koncertami. W Miejskim Centrum Kultury 2 października zagrał kwartet smyczkowy Akademos, pianista Marcin Sikorski oraz trio fortepianowe Szkoły Muzycznej I i II stopnia w Gorzowie. Zaś 4 października wystąpiła wiolonczelistka Małgorzata Smyczyńska wraz z pianistką i klawesynistką Marią Bryłą.
- 3 października w gorzowskiej Galerii BWA zainaugurowano jubileuszową wystawę rzeźbiarki Anny Szymanek. Zaprezentowano ceramikę, rysunek oraz malarstwo artystki.
- Od 7 października w holu Biblioteki Norwida można było oglądać wystawę rysunków zatytułowaną *W świecie satyrycznym Jerzego Fedry*.
- W Galerii Młodych WiMBP im. C. Norwida otwarto malarsko-graficzną wystawę Joanny Materek *Po drugiej stronie lustra*.
- W Tawernie Bosman w Gorzowie 8 października koncertowała grupa PIH promujący najnowszą płytę *Kwiaty zła*.
- 9 października w Filharmonii Zielonogórskiej miał miejsce koncert symfoniczny. Orkiestra wystąpiła pod batutą Czesława Grabowskiego. Zagrał uznany pianista Paweł Kowalski.
- W Galerii Kostrzyńskiego Centrum Kultury 9 października wystawiono prace Joanny Stępień. Artystka maluje portrety ludzi, koni, a także martwą naturę.
- W Zbąszyniu przez trzy dni (9-11 października) trwała biesiada koźlarska. Duże zainteresowanie słuchaczy wzbudziła grupa dudziarzy z Edynburga.
- W gorzowskiej Galerii Sztuki Najnowszej 10 października wystawiono prace Lecha Twardowskiego.
- Koncert Jubileuszowy Zielonogórskiego Towarzystwa Śpiewaczego Cantores pod dyr. Czesława Markiewicza miał miejsce w konkatedrze pw. św. Jadwigi 10 października.
- 13 października na UZ rozpoczęła się dwudniowa konferencja naukowa ph. *Pamięć czasu zagłady*. Zorganizował ją Instytut Filologii Polskiej.
- 14 października w klubie 4 Róże dla Lucienne wystąpiła wokalistka Julia Marcell. Był to jedyny w Polsce koncert artystki.

- Kobranocka ze swoimi największymi hitami zaprezentowała się w Klubie Uniwersyteckim Kotłownia 14 października.
- Trzy koncerty – 14, 16 i 18 października – dał skrzypek Konstanty A. Kulka. Wybitny muzyk był gwiazdą XIX Festiwalu Smyczkowego *Mistrzowie polskiej wiolinistyki*. Gospodarzem koncertów był Roman Lasocki, a Orkiestra Symfoniczna zagrała pod dyr. Piotra Sułkowskiego i Czesława Grabowskiego.
- Katarzyna Groniec 16 października w zielonogórskiej Hydro(za)gadce zaprezentowała spektakl *Listy Julii* z piosenkami Elvisa Costello.
- Przez trzy dni (16-18 października) Lubuskie gościło 150 śpiewaków i muzyków z Białorusi, Ukrainy, Mołdawii i Polski. Spotkania odbywały się w ramach II Prezentacji Kultury Polaków z Kresów Wschodnich i Bukowiny. Zespoły koncertowały w Zielonej Górze, Żarach, Kożuchowie, Nowej Soli i Szprotawie.
- 17 października w Ruben Hotel w Zielonej Górze wystąpił Henryk Miśkiewicz z projektem Henryk Miśkiewicz/Majewski Kwintet Plays Komeda. Artysta zagrał kompozycje Krzysztofa Komedy.
- Z okazji 15 urodzin gorzowskiego chóru Cantabile w Miejskim Ośrodku Sztuki odbył się koncert (17 października).
- 19 października w Kawonie wystąpił zespół Syndrom.
- 22 października w Jazz Clubie Pod Filarami w Gorzowie odbył się wieczór z klasyczną muzyką fortepianową. Kompozycje Chopina, Haydna i Scarlattiego zagrał poznański pianista Grzegorz Rudny.
- W zielonogórskim Uniwersytecie Trzeciego Wieku 22 października otwarto wystawę Stanisławy Widzickiej-Chmiel zatytułowaną *Po niebie i ziemi*.
- 23 października w klubie 4 Róże dla Lucienne odbył się koncert wpisujący się w cykl Maximum Punkrocka. Zagrali: Grünberg, Jakoś To Będzie, Leniwiec, a także Jugosławia. Z kolei 25 października w klubie zagościła Anja Orthodox i Closterkeller. Muzycy promowali swój najnowszy krążek *Aurum*. Jako suport wystąpił The Chilloud.
- Przez dwa dni (23-24 października) w Grodzkim Domu Kultury w Gorzowie odbywał się Festiwal Małych Form Teatralnych i Monodramatów „Bamberka". Pozakonkursowo pokazano *Letnie małżeństwo* Teatru Kreatury.
- 24 października w Teatrze Osterwy odbyła się premiera *Bardzo zwyczajnej historii* Mariji Łado. Sztukę wyreżyserował Rafał Matusz.
- 28 października, w 20. rocznicę śmierci, w MBP w Żaganiu Janusz Koniusz prowadził spotkanie poświęcone pamięci żagańskiego pisarza Pawła Wiktorskiego – autora czterech książek prozatorskich.
- *Sinfonie i koncerty na smyczki* – zagrała orkiestra festiwalowa Arte dei Suonatori w Paradyżu (28 października). Koncert wpisał się w Festiwal Muzyka Dawna – Persona Grata.
- Na 30 października Cinema City (Zielona Góra) przygotowało specjalną ofertę dla miłośników horroru: *Grindhouse: Death Proof* Q. Tarantino, *Grindhouse: Planet Terror* R. Rodrigueza i *Rec* J. Balaguero. Maraton grozy odbywał się w halloweenowej scenerii.
- Klub 4 Róże dla Lucienne zorganizował Wieczór Zaduszkowy 30 października. Był on dedykowany Jerzemu Bechyne. Wystąpił zielonogórski bard Maciej Wróblewski.
- W Zielonej Górze 1 listopada w kościele pw. Najświętszego Zbawiciela na koncercie zaduszkowym wystąpiła Orkiestra Symfoniczna FZ.
- W listopadzie w salonie wystawowym Biblioteki Norwida można było obejrzeć ekspozycje prac lubuskich artystów, byłych i obecnych członków Okręgu Zielonogórskiego Związku Polskich Artystów Plastyków. Ponadto w holu Biblioteki zaprezentowano wystawę fotografii Łukasza Sawickiego *Kibice na obiektach sportowych* (2-30 listopada).
- Jan Ptaszyn Wróblewski był gwiazdą I Lubuskich Zaduszek Jazzowych. Muzyk zagrał w Zielonej Górze (AwangardaStu, Ruben Hotel, 5 listopada), Krośnie Odrz. (Zamek Piastowski, 6 listopada) i Gubinie (Gubiński Dom Kultury, 7 listopada).
- W gorzowskim Klubie Myśli Twórczej Lamus 5 listopada odbyły się artystyczne Zaduszki. W koncercie wzięli udział: Marcin Nowak, Magda Turłaj, Adrianna Góralska, Elżbieta Kuczyńska i Monika Kowalska.
- 5 listopada w Klubie Uniwersyteckim Kotłownia koncertowali: Attack of The Mad Axeman, Before A Burning Earth, Sophie Scholl i The Lacrois.
- W Piwnicy Artystycznej Kawon wystąpił zespół Coma ze swoją debiutancką płytą *Pierwsze wyjście z mroku* (6 listopada).
- 6 listopada w gorzowskim Jazz Clubie Pod Filarami zagrał amerykański klarnecista Brad Terry i polski pianista Joachim Menzel.
- Od 6 listopada w gorzowskiej Galerii BWA można było oglądać wystawę czarno-białych aktów autorstwa Wacława Wantucha.

- W Filharmonii Zielonogórskiej 6 listopada miał miejsce koncert *Makowicz gra Chopina*. Adamowi Makowiczowi towarzyszyła orkiestra symfoniczna pod dyr. Czesława Grabowskiego.
- 7 listopada w Żarach w restauracji odbył się wieczór literacki. Członkowie Klubu Literackiego skupionego przy MBP w Żarach czytali swoje wiersze i fragmenty prozy. Moderatorem spotkania była Janina Jurga.
- 8 listopada w klubie 4 Róże dla Lucienne odbył się koncert The Complainer & The Complainers.
- Stowarzyszenie Łemków już po raz 17 zorganizowało *Spotkania z Kulturą Łemkowską*. W Teatrze Osterwy zaśpiewał i zatańczył Zespół Pieśni i Tańca Puls ze Słowacji.
- Z okazji Narodowego Święta Niepodległości 11 listopada odbył się w Filharmonii Zielonogórskiej koncert jazzmana Andrzeja Jagodzińskiego *Chopin – Pragnienie Wolności*.
- 11 listopada w Lubuskim Teatrze wystąpiła aktorka Iwona Loranc i bard Grzegorz Tomczak we wspólnym projekcie *Szukałem cię wśród jabłek*.
- W Piwnicy Artystycznej Kawon zespół Happysad promował swoją najnowszą płytę *Mów mi dobrze* (12 listopada).
- 13 listopada w Strasznym Dworze w Zielonej Górze wystąpiła Novika, czyli Kasia Nowicka oraz Lexus, Brat Mat, Novicky.
- W Jazz Clubie Pod Filarami 13 listopada spotkali się muzycy: trębacz Josh Lawrence, kontrabasista Krzysztof Ciesielski, saksofonista Mack Goldsbury i perkusista Roman Ślebarski.
- W zielonogórskim kinie Newa i gorzowskim Miejskim Ośrodku Sztuki odbywał się *Sputnik*, czyli przegląd rosyjskiego i radzieckiego kina.
- 13 listopada w Galerii Pro Arte w Zielonej Górze otwarto wystawę malarstwa Barbary Domagały-Wilson.
- W gorzowskiej Galerii Sztuki Najnowszej 14 listopada zaprezentowano instalacje i wideoinstalcje Małgorzaty Kazimierczak.
- Gorzowskie Spotkania Teatralne (14-22 listopada) otworzył spektakl *Niżyński* w wykonaniu Kamila Maćkowiaka z Teatru Jaracza w Łodzi. W programie znalazło się kilka warszawskich przedstawień z udziałem takich artystów jak Adam Ferency, Rafał Królikowski, Beata Ścibakówna i Teresa Budzisz-Krzyżanowska.
- W dniach 14-15 listopada w Sali widowiskowej Zboru w Sulechowie trwał Festiwal Muzyki Fryderyka Chopina. Zagościli na nim: Zbigniew Raubo i Jan Popis.
- 19 listopada w Piwnicy Artystycznej Kawon wystąpili: Czesław Śpiewa, Czesław Mozil, Gaba Kulka i Dick4Dick.
- Promocja książki poetyckiej Waldemara Gersona Raka *Powietrze gęste od znaczeń* miała miejsce w MBP w Żaganiu 19 listopada.
- 20 listopada Galeria BWA w Zielonej Górze zaprosiła na podwójny wernisaż: Agaty Agatowskiej – *Rzeźba* i Basi Bańdy – *Było tak cudownie*.
- W Filharmonii Zielonogórskiej 20 listopada odbył się koncert muzyki operowej. Izabeli Kłosińskiej i Aleksandrze Orłowskiej towarzyszyła Orkiestra Symfoniczna pod dyr. Cz. Grabowskiego. W programie znalazły się duety do oper: *Wesele Figara*, *Cyganeria*, *Tosca* i *Traviata*.
- 20 listopada w gorzowskim spichlerzu odbył się wernisaż Michała Bajsarowicza i Wojciech Plusta. Wystawa nosiła tytuł *W drodze*.
- 21 listopada w Żaganiu w Piwnicy pod Maszkaronem, podczas literackiego wieczoru członkowie żarskiego Klubu Literackiego czytali swoje wiersze oraz fragmenty prozy. Spotkanie prowadziła Janina Jurga.
- W Filharmonii Zielonogórskiej 27 listopada miał miejsce koncert Tango Forever. Orkiestra zagrała pod batutą Bohdana Jarmołowicza. Wystąpili: Maria Nowak (skrzypce), Wiesław Prządka (akordeon), Filip Wojciechowski (fortepian). W programie znalazły się tanga A. Piazzolli i W. Szpilmana.
- 27 listopada w studenckiej Kotłowni GrubSon promował swój album *O.R.S.*
- Tego też dnia w klubie 4 Róże dla Lucienne utwory ze swojej nowej płyty zagrała formacja Zakręt.
- 29 listopada w Filharmonii Zielonogórskiej odbył się XXXV Konkurs Bachowski im. S. Hajzera. Wzięło w nim udział ponad 120 młodych skrzypków. Zwyciężył Jakub Przybycień.
- Ania Dąbrowska zaśpiewała w Kawonie 29 listopada.
- 30 listopada w Lubuskim Teatrze andrzejki obchodzono wraz z Lubuskim Zespołem Pieśni i Tańca im. L. Figasa.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Zbigniew Bartkowiak, *Graffiti – sztuka czy wandalizm*, Zielona Góra 2008, 132 s.

Zbigniew Bartkowiak, *Graffiti Zielona Góra*, Zielona Góra 2009, 80 s.

Kazimierz Bobowski, *Dokumenty, kancelarie i ośrodki skrypcyjne na obszarze Księstwa Rugijskiego do 1325 roku*, Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2009, 256 s.

Halina Bohuta-Stąpel, *I kto to zaśpiewa. Teksty piosenek i skeczy kabaretowych*, Lubuska Agencja Elblask, Zielona Góra 2009, 396 s.

Edukacja literacka wobec przemian cywilizacyjnych i kulturowych, pod red. M. Sinicy i L. Jazownika, Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2008, 418 s.

Fantasy w badaniach naukowych, pod red. T. Ratajczaka i B. Trochy, Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2009, 230 s.

Andrzej Gillmeister, *Strażnicy Ksiąg Sybillińskich. Collegium viri sacris faciundis w rzymskiej religii publicznej*, Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2009, 256 s.

Leszek Kania, *W cieniu Orląt Lwowskich. Polskie sądy wojskowe, kontrwywiadu i służby policyjne w bitwie o Lwów 1918-1919,* Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2008, 370 s.

Kreatywny krąg Literat – Mecenas, eMBePe, Żary 2008, 56 s.

Iwona Pałucka-Czerniak, *Zmagania z dystansem. O języku przedmów do polskich publikacji naukowych,* Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2008, 284 s.

Ireneusz Sikora, *Młoda Polska i okolice*, Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2009, 214 s.

Socjologia jako społeczna terapia, pod red. A. Wachowiaka, Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2007, 274 s.

Śląsk. Rzeczywistości wyobrażone, pod red. W. Kunickiego przy współpracy N. i K. Żarskich, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2009, 562 s.

AUTORZY NUMERU

Ewa Andrzejewska
Zielonogórska poetka, autorka tekstów piosenek, a także rysunków i satyr publikowanych w miesięczniku „Puls". Prowadzi Klub poetycki Szufladera w MDK „Dom Harcerza".

Andrzej Buck
Literaturoznawca, teatrolog, edytor, dziennikarz, bibliotekoznawca, autor książek i artykułów naukowych oraz prac dokumentacyjnych dotyczących teatru, autor adaptacji teatralnych i scenariuszy, twórca przeglądów, spotkań i festiwali teatralnych, redaktor czasopism, nauczyciel akademicki, doktor nauk humanistycznych.

Zbigniew Czarnuch
Historyk, publicysta, regionalista, znawca dziejów Ziemi Lubuskiej, inicjator cennych przedsięwzięć promujących historię regionu (m.in. Debat Witnickich). Zorganizował i przez wiele lat prowadził szczep harcerski Makusyny. Mieszka w Witnicy.

Agnieszka Graczew-Czarkowska
Ur. 1970 r. w Zielonej Górze, zawód wolny – artystka.

Marek Grewling
Ur. się w 1963 r. w Gorzowie Wlkp. Z zawodu nauczyciel historii; absolwent teologii biblijnej. Autor 6 książek poetyckich, inicjator wydania antologii, autor aforyzmów, wierszy, esejów, recenzji i artykułów publicystycznych; współpracownik „Pegaza Lubuskiego". Od roku 2003 jest członkiem Związku Literatów Polskich.

Wojciech Jachimowicz
Organomistrz, znawca i kolekcjoner instrumentów muzycznych, właściciel XVII-wiecznego dworu w Szybie. Regionalista, autor wielu publikacji fachowych, laureat licznych nagród społeczno-kulturalnych.

Paweł Janczaruk
Ur. się w 1964 r. Fotoreporter „Gazety Lubuskiej", członek Lubuskiego Towarzystwa Fotograficznego, artysta Fotoklubu Rzeczypospolitej Polskiej, członek Związku Polskich Artystów Fotografików i Rady Artystycznej „Galerii Jednego Dnia". Uczestnik wystaw zbiorowych, laureat nagród.

Krystyna Kamińska
Gorzowska dziennikarka (m.in.: „Ziemia Gorzowska", „Arsenał Gorzowski", „Głos Wielkopolski", „Kurier Gorzowski", Radio Zachód, Telewizja „Vigor"),
właścicielka Wydawnictwa Artystyczno-Graficznego „Arsenał". Popularyzatorka kultury regionu.

Konrad Krakowiak
Ur. w 1979; redaktor telewizyjny, copywriter, organizator działań kulturalnych, lektor radiowy i telewizyjny.

Rafał Krzymiński
Absolwent politologii UZ; dziennikarz, reportażysta, autor opowiadań, redaktor bądź współpracownik lokalnych periodyków („Polska The Times Lubuskie", „Tydzień Lubuski", „Życie Nad Odrą" i „Twój Rynek.pl.", „LiteraT").

Eugeniusz Kurzawa
Poeta, dziennikarz. Prezes Lubuskiego Oddziału ZLP. Pracuje w „Gazecie Lubuskiej". Mieszka w Wilkanowie pod Zieloną Górą.

Michael Kurzwelly
Ur. w 1963 r. Niemiecki artysta (dyplom z malarstwa w Alanus Kunsthochschule w Alfter/Bonn); studia ukończył w Poznaniu, gdzie prowadził Międzynarodowe Centrum Sztuki. Wykładowca na Uniwersytecie Viadrina we Frankfurcie n.O (kulturoznawstwo), współpracownik Stowarzyszenia Artystyczno-Edukacyjnego Magazyn. Najbardziej znane projekty to: „Słubfurt" oraz „Biała strefa".

Władysław Łazuka
Ur. w 1946 r. poeta, prozaik, laureat nagród i wyróżnień literackich. Często publikuje w prasie, a także na antenie PR. Autor zbiorów wierszy. Mieszka w Choszcznie.

Kinga Mazur
Ur. się w 1989 r., licealistka z Sulęcina, poetka. Debiutowała cyklem wierszy w „Pegazie Lubuskim". Mieszka we wsi Kownaty.

Małgorzata Mikołajczak
Dr hab., kierownik Pracowni Badań nad Literaturą Regionalną działającej przy Zakładzie Teorii i Antropologii Literatury UZ. Autorka książek poświęconych twórczości Urszuli Kozioł i Zbigniewa Herberta oraz antologii poezji lubuskiej i licznych prac krytycznoliterackich.

Alina Polak
Doktorantka w Zakładzie Nauk Pomocniczych Historii UZ.

Maria Radziszewska
Bibliotekoznawca, historyk, starszy kustosz w Dziale Zbiorów Specjalnych WiMBP w Zielonej Górze.

Czesław Sobkowiak
Ur. w 1950 r., poeta, krytyk literacki, współpracownik regionalnych i ogólnopolskich pism literackich.

Olga Świderska
Ur. w 1992 r. w Poznaniu; licealistka, autorka opowiadań; pisze po polsku i hiszpańsku.

Bernard Świderski
Inżynier rolnik; pracował na kierowniczych stanowiskach w rolnictwie.

Stanisław Turowski
Prezes Gubińskiego Towarzystwa Kultury, nauczyciel, publicysta, regionalista, działacz kultury.

Mieczysław Warszawski
Ur. w 1950 r. w Laskach Odrzańskich k. Zielonej Góry, poeta, prozaik. Laureat Lubuskiego Wawrzynu Literackiego w 1995 r.

Jacek Wesołowski
Artysta i teoretyk nowej sztuki, literaturoznawca, doktor nauk humanistycznych. Mieszka w Berlinie i Białowicach w Lubuskiem.

Marta Wiatrzyk-Iwaniec
Absolwentka zielonogórskiej polonistyki, doktorantka z zakresu literatury kobiecej w Zakładzie Teorii Literatury XX Wieku i Sztuki Przekładu na UAM w Poznaniu.

Elżbieta Wozowczyk-Leszko
Dziennikarka Radia Zachód w Zielonej Górze.

Grażyna Zwolińska
Dziennikarka. 25 lat pracowała w prasie wrocławskiej. Po przeprowadzce w 1994 r. do Zielonej Góry, związała się z „Gazetą Lubuską". Specjalizuje się w szeroko pojętej tematyce społecznej.

KSIĄŻKI OFICYNY WYDAWNICZEJ
WOJEWÓDZKIEJ I MIEJSKIEJ BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ
IM. C. NORWIDA W ZIELONEJ GÓRZE

PRO LIBRIS

PRO LIBRIS